

**FRANCISZEK KLON**

**BAJECZNI KŁAMCY**



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1969

## JEŚLI KTOŚ POMYLI SZARĄ WIEŚ ZE STARĄ WSIĄ

Z balkonu wielkiego domu osiedlowego widział Jędrzek Duszka płachtę ugoru wypłowiego od słońca, a zdeptanego takim mnóstwem nóg dziecięcych, że wyglądał jak doszczętnie zdarty dywan. Za ugorom, w zielonej wyspie śliw i grusz, jaśniał mały domek, w którym mieszkał jego przyjaciel Olek Plecionka. Ugór przecinała Leśniówka: brudna, wodna taśma pozszywana fastrygami mostków i kładek. Rzeczka ta płynęła wartko, rozsiewając wokół zapach węglowego mułu i fenolu. Południe Szarej Wsi było bardziej urozmaicone. Na ciemnym wzgórzu wyskakiwały gdzieniegdzie jasne zagajniki brzożowe, podchodząc zarazem ochoczo do niepozornych, pudełkowatych domków, wbitych w regularnie skrojone sadziki jak czerw w pszczeli plaster. Wszystkie te zgrabne cacka znowu maszerowały w kierunku masywnych budynków kopalni, które grupowały się pod granatowym stożkiem hałdy.

W całości podobne to było do barwnej planszy. Ale wujek Olka, stary Szymon, twierdził, że Szara Wieś — ten węglowy kopciuszek — jest przerażająco szarą, a stąd najbrzydszą miejscowością pod słońcem. Na ten stanowczy sąd wpłynęły wszakże osobiste urazy starego górnika do miasta i do świata w ogóle. Ojciec Jędrka, który się urodził w sąsiedniej Starej Wsi, bronił jednak przemysłowego brzydala, jakby był jego prawowitym dzieckiem. Według niego Szara Wieś była po prostu interesującym obiektem, wyróżniającym się urodą w inny sposób. Prawdę powiedziawszy nie różniła się ona wcale od wielu osad na Śląsku, tak samo pracowitych i tak samo szarych. Jędrzek był czternastoletnim smukłym wyrostkiem, który po wakacjach chodzić miał do ósmej klasy. Mierzył on wygląd swego górniczego miasta różnaitością i ciekawością rozrywek, jakich mu dostarczało. Ostatecznie wyrok sprawiedliwy w mniemaniu Jędrka mógłby wydać tylko ten, co by się wzniosł nad szyb kopalni i stąd oczy prawdziwie sokole zapuścił na ziemię, upstrzoną kominami, hałdami, bateriami koksowniczymi i zabudowaniami kopalni.

Ale Jędrzek miał inne kłopoty niżli ocenianie walorów swej rodzinnej miejscowości. Sięgnął za siebie i błysnął dwiema jasnymi chorągiewkami. Telegrafował do Olka sygnałacją semaforową.

„CZEKAM CZWARTA”.

Olek odebrał telegram, bo po krótkim czasie odpowiedział również łyskaniem białych plam.

„NIE MOGĘ”.

„PILNE UWAGA PILNE CZEKAM”.

„DOBRZE”.

Olek wpadł zadyszany na podwórze. Starł podartym rękawem koszuli pot i proch z zapłoniętego oblicza, opadł zmęczony na ławę pod płotem, odsapnął trochę przesadnie, jak miech kowalski i zapytał rzeczowo:

— Gdzie się pali?

— Jest telegram od Piotrusia.

— Aha, od tego twojego wujka, który skończył technikum, a teraz ma pracować w tutejszej kopalni.

— Mam iść na stację...

— No to ruszajmy. Muszę się spieszyć, bo pomagam wujkowi w ogrodzie.

Olek przyklepał swe jasne a niesforne włosy, potem za pomocą odłamka lustra zbadał krytycznie swą twarz. Wykrzywił się do niego, w końcu usunął poślinionym palcem brelokową rysę pod okiem i — był gotowy do drogi.

— Jędrzek — rzekł już w czasie marszu — zauważyłeś tego człowieka, który wałęsa się

z psem na ugorze przy kolejce linowej?

— Tak, jest tam codziennie. Ma zupełnie siwe włosy.

— Właśnie dzisiaj znowu go widziałem. Mówisz: siwe włosy. Pewnie długie. Jędrak, nie potrafiłem zajrzeć mu w twarz. Przeczuję, że to dziwny gość... Rozumiesz?

— Eee, chyba jakiś nowy. Mało tu ludzi z całej Polski?

— Wiem, ale on obraca głową, gdy koło niego przechodzę.

Jędrak uśmiechnął się pod nosem. Olek często przesadzał, zmyślał. Z igły majstrował widły. Ponieważ sprawa nieznanego pod kolejką linową nie była jeszcze zagadnieniem, temat prędko się wyczerpał. Chłopcy dotarli szybko do stacji. Mieli jeszcze czas, więc usadowili się na ławce i gawędzili o różnych sprawach. W końcu Olek rzeczowo zapytał:

— Jędrak, jak mam tytułować twojego wujka: wielmożny panie, kochany wujku, czy też po prostu Piotruś?

— Mój wujek to wesoły chłopak, ma dopiero dziewiętnaście lat. Pochodzi ze wsi. Interesuje go technika, przemysł. Wiesz? I wcale nie jest zarozumiały. Sam mówię do niego: Piotruś. On wyszedł jednak ze szkół.

— Rozumiem. Należy mu się „Pan”. Porządny choć facet?...

— Swoją chłop. Zresztą zobaczysz. Polubisz go na pewno.

Zamilkli na chwilę. Jędrak wydłużał szyję, by zobaczyć, czy nadjeżdża pociąg. Olek wyciągnął na poręczu ławki długie ramiona, medytował coś, a rezultatem tego było nowe, niespodziewane pytanie:

— Jędrak, a gdyby on miał brodę? Długą, siwą brodę?

— Piotruś? — Jędrak krztusił się od śmiechu, potem raptem urwał.

— Mam na myśli tego tam z psem — rzekł Olek nieco zgorszony wesołością przyjaciela. — Nie masz się czego śmiać. Rozumiesz? Nie widziałem jeszcze tak dziwnego człowieka. To może być... Skarbnik...

Olek czekał. Jego przyjaciel śmiał się teraz kącikami oczu, ale milczał. Nie chciał zmyślacza urazić. W tej chwili głośnik zapowiadał charkotliwie zbliżanie się pociągu. Chłopcy wstali i wyruszyli naprzeciw parowozu prującego szeroką pierś powietrze Szarej Wsi. Po pół minucie wtoczył się zadyszany przed małą stacyjkę, w tej samej sekundzie z dziesiątka drzwi wysypywać się poczęli ludzie. Olek znalazł się w środku żywej strugi, wyrzucił głowę w górę i strzygł równocześnie pracowicie oczyma, choć nie znał technika Piotrusia.

— Jędrak! — darł się na cały głos — jak wygląda ten twój wujek?

— Przystojny, elegancki kawaler z walizą — wołał Jędrak.

— Ma wąsy?

— Podobny do mojej mamusi.

— W sukience?

Peron i stacja opustoszały. Nikogo już nie było. Piotruś nie przyjechał. Chłopcy odprowadzali zawiedzionymi oczyma oddalający się spieszenie pociąg, który rozpędzał się w stronę Starej Wsi. Ostatni wagon wpadł w paszczę wielkiego wąwozu, a tym samym nikła nadzieja ujrzenia Piotrusia, tlejąca się mechanicznie w sercu Jędrka, wypaliła się do cna.

— Nabrał cię ten twój wuj — śmiał się Olek.

— Zawsze jest słowny. Musiało coś zająć. Ale co?

— Wiem, że w duszy drwiłeś z mojego Skarbnika. A ja zaraz wyczułem, że coś się stanie.

— Olek, przesadzasz.

— Ja przesadzam? Przedwczoraj zderzyłem się z tym jegomościem na rogu domu i wiesz, co było? Stłukłem szybę w inspekcje wujka. A podnosiłem to tałałajstwo jak delikatne cacko. Mówię ci.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Mógł się spóźnić na pociąg. Razu jednego przylecieliśmy z wujkiem w ostatniej

chwili na stację. Wujek złapał jeszcze drzwi, a ja przylepiłem się jak kłajster do stopnia. I na brzuchu dojechałem do następnej stacji, gdzie mnie kolejarz kopnął... Ty, może ten pan technik wisi tam gdzieś na zderzaku...

Olek dosiadł swego konika i wyprawiał na nim takie harce, że zmartwienie Jędrka przysło dźwięcznie jak szkło. Nawet się roześmiał. Znaleźli się właśnie na wprost portierni kopalni. Spłoszył ich klakson wyjący potępięcym zawodzeniem, więc uskoczyli na chodnik. Obok nich zatrzymał się zielony „żubr”, potwornie wielkie smoczysko. Drzwiczki auta szczęknęły, Olek gotował się właśnie do ucieczki, gdy nagle uderzył w niego triumfalny okrzyk Jędrka.

— Piotruś!

Jędrak rzucił się na młodego człowieka, stojącego z modną walizką na krawędzi chodnika, jakby go chciał okładać kulakami. Olek okręcił się niby fryga i wlepił swoje wytrzeszczone oczy w przedmiot ataku Jędrka.

Piotruś, młodzieniec trochę więcej niż średniego wzrostu, był bez czapki. Z rozpiętego, ciemnozielonego płaszcza błysnęła śnieżna koszula w otoce granatu ubrania. Olek wygładził momentalnie charakterystycznym ruchem ręki skłócony ze sobą włos i ruszył zdecydowanie na spotkanie technika.

— Pomyśl — śmiał się młody człowiek do Jędrka — pomyliłem stacje. Pojechałem do Starej Wsi, gdzie jak sobie teraz przypominam, mieszka twoja babcia. Tam zatrzymuję pie-rwszy lepszy wóz i pędzę z powrotem.

— Opowiadali niektórzy, że jedziesz przylepiony do zderzaka — przekomarzał się Jędrak, zezując przy tym w stronę Olka. — O, to mój przyjaciel Olek. Cały czas myśleliśmy, że wrócisz powalany smarem...

Olek szastnął nogami, a młody technik podał mu rękę, którą chłopak potrząsnął kordialnie.

Chłopcy wpadli z hałasem do sieni domu, toteż zaraz otworzyły się drzwi i wyjrzała matka Jędrka, a siostra gościa. Za nią wysunęła się mała Basia. Zatrzymała się jednak z rękami założonymi na plecach, a usta jej rozchyliły się lekko.

— Ty mnie chyba nie poznajesz? — żartował Piotruś.

— A coś mi przywiózł? — zapytała w miejsce odpowiedzi.

— O, tom ci przywiózł — zawołał i wydobył z walizy małą karuzelę, która po nakręceniu kołowała w zawiadziaki sposób.

— Dlaczego nie mówisz do niego: wujek? — skarciła małą dziewczynkę matka.

— Przecież to Piotruś. Mój Piotruś czarodziej...

— Czarodziej... Rzeczywiście, karuzelę sam zmaistrowałem. Pamiętasz, Basiu, jak ci zrobiłem misia, który krzyczał aj, aj!

W pokoju Piotruś wypakował resztę niespodzianek. Była to maszyna parowa jego pomysłu dla Jędrka oraz mały kuter rybacki o napędzie odrzutowym, który dostał się Olkowi. Tym podarunkiem Piotruś podbił sobie serce wielkiego zmyślacza.

Jędrak z Olkiem zaprowadzili szczodrego gościa na poddasze, gdzie znajdowała się jego izba lokatorska. Było to bardzo skromne, ale przytulne pomieszczenie z łóżkiem, stołem, krzesłem i pustą, zieloną etażerką. Jędrak pchnął od niechcienia drzwi w prawej ścianie, a oczom obecnych ukazał się ogromny model kopalni, zajmujący więcej niżli dwie trzecie drugiej izdebki.

— Fantastyczne! — zawołał Piotruś. — Parę lat wstecz szwagier budował dopiero drugi pokład, teraz jest ich już cztery.

Jędrak nacisnął na guziczek wyłącznika, a wtedy na wieży wyciągowej zapaliło się szmaragdowe światło, równocześnie kopalnia roziskrzyła się jak rój gwiazd. Wszystko ożyło, wszystko się poruszało, w chodnikach zgrzytały lokomotywki ciągnąc za sobą sznury wagoników, w przodkach węgiel kruszyli górnicy. A wtedy szyb począł drgać i dyszcę chęcią

pracy, wkrótce też po jego linie wspinać się jęła klatka wyciągowa, druga niby aksamitny cień zapadała się w głąb.

— Fantastyczne — powtórzył Piotruś. — Mój pierwszy dzień w Szarej Wsi zaczął się przygodą. Myślę, że będę tutaj zadowolony.

## W ZAPOMNIANEJ SZTOLNI

Praca technika Piotra Wałęgi zacząć się miała w kopalni dopiero za tydzień. Wolne dni poświęcił na zwiedzanie Starej Wsi. We wszystkich tych wędrówkach towarzyszyli mu obaj chłopcy, którzy przejęci rolą przewodników, prowadzili Piotrusia do najciekawszych obiektów. W jednej z tych wycieczek dotarli za kopalnię, na przedpole sieniej hałdy, gdzie rosły zasieki czerwieniejących jeżyn i sosny tak smutne, że Piotruś — dziecko pól i lasów — westchnął nad ich dolą.

— Ej, chucha na nie zła hałda, chucha.

Najciekawszym rekwizytem kopalni była stara kolejka linowa, nieczynna od wielu już lat. Na obwisłych, zniechęconych linach drzemały zasepione wózki. Jeden obrał sobie na miejsce żelaznego snu pomost, obejmujący jak klamra pełną drózkę. Trójka dostała się tam przy pomocy zardzewiałej drabiny. Podczas gdy Piotruś zaglądał do żelaznej skrzyni, chłopcy zapuścili bystre spojrzenia na północ. Tam ciągnęło się oryginalne wzgórze, długie, obłe jak wałek ciasta, porośnięte gąszczem krzaków i pojedynczych drzew. Olek szturchnął Jędrka w bok.

— Co się stało?

— Przecież widzisz: nasz Matusz. Niby ten Skarbnik...

Olek zadudnił krokami po zmurszałych dylach pomostu i zsunął się szybko na ziemię. Jędrak zastygł na chwilę, potem skoczył za nim.

— No, czego wam tak spieszo? — rzucił Piotruś zajęty jeszcze badaniem stalowego szwu na linie.

— Proszę pana — zawołał Olek przytłumionym głosem — niech pan zaraz zejdzie. Pokażemy coś panu...

— Jędrak, mówię ci, że Skarbnik. Patrz, jaką ma na głowie kapucę. Taki sam, jakiego widział mój wujek przed swoją niby śmiercią... Wyszedł z gąszczu. Co on robił w tych krzakach? Tam nikt nigdy nie wchodzi. Najwyżej rzuca się w nie stare garnki i wiadra... A ten pies...

— O co wam chodzi? — zapytał technik.

— Olek twierdzi, że ten człowiek to duch kopalni, Skarbnik, którego u nas górnicy nazywają Matuszem.

— Nonsens.

— Nie — mówił półgłosem Olek — ja się założę, że to jakiś nieczysty interes. Mój wujek opowiadał mi, że gdzieś tutaj była dawniej kopalnia. Nazywała się Strapiciel.

— Olek, to wzniesienie nazywa się Strapiciel.

— Wszystko jedno. Tam zaś gdzie coś starego, to wiadomo: duchy i tym podobne.

Człowiek, a za nim pies, oddalał się coraz bardziej, aż znikł między zabudowaniami. Piotruś gonił go spojrzeniem, a na jego smagłej twarzy błąkał się sceptyczny uśmiech.

— Zbadajmy krzaki — podsuwał Olek — a jeśli tam będzie ślad starej kopalni...

— Dobrze — rzekł młody człowiek, którego zelektryzowały słowa: „ślad” i „stara kopalnia”. — Mamy czas, wy macie jeszcze ferie, a ja urlop.

Olek skoczył pierwszy w bujną zieleń. Zaraz też odkrył wydeptaną ścieżkę, którą ktoś wygniał widocznie wielokrotnie ciężkimi buciorami. Piotruś i Jędrzek deptali mu niemal po piętach. W półmroku, pod baldachimem listowia, walały się rzeczywiście pogruchtane czerpy garnków, miednic, skorupy porcelanowych talerzy, butelki, a po chwili zobaczyli nawet obdarty wózek dziecięcy.

— Ha, cóż on mógł tutaj robić? — Pytał jakby sam siebie Jędrzek.

— Wiadomo co — odrzekł Olek z tajemniczym grymasem na twarzy. — Ani kroku dalej.

Ścieżki już nie było. Ucięto ją jakby nożycami krawieckimi. Olek macał wytrzeszczonymi oczyma dalszą połąkę gąszczu, potem obejrzał się za przyjaciółmi i zamrugał silnie powiekami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Hola. I co? Czy na wzgórzu gapił się Skarbnik?” Potem machnął ręką jak kosą, a przed zdumionym wzrokiem Jędrka i Piotrusia ukazał się ciemny otwór.

— Jaskinia — szepnął blady z przejęcia Jędrzek.

— Jaskinia — powtórzył Piotruś niby echo.

Jak na rozkaz poczęli trzebić naraz odporne krzaki, otwór rósł i zionął chłodem oraz piwnicznym zapachem. Gdy w końcu poodrywano liczne warkocze bluszczu, oczom trójki zaprezentował się okazały loch.

Wszyscy trzej stanęli jak wryci.

— A ja wam powiem, na cośmy tutaj trafili — rzekł Piotruś wolno, niemal skandując wyrazy, i spojrzał wyczekująco na towarzyszy.

— Piwnica.

— Brama do piekła — wymamrotał Olek.

— Hm, przypuszczam, że to sztolnia.

— Sztolnia? Co to sztolnia?

— Wyrobisko poziome, służące do przewietrzania starych kopalń lub nawet do ich odwadniania. Posłuchajcie: w niektórych kopalniach sztolnie służyły celom transportowym. Był to po prostu podziemny kanał głębokości około półtora metra wody, po której przesuwały się łodzie załadowane węglem.

— Ale o tej sztolni nikt przecież nie słyszał.

Piotruś schylił się i począł badać grunt pod nogami. Na jego wyciągniętej dłoni leżała blaszka siwego łupku.

— Łupek. Kto wie, czy ten pagórek nie jest dawną hałdą.

— Teraz już jasne — zawołał Olek — że gość w kapucy wchodził do sztolni. Skarbnik i tyle.

— Dajmy lepiej spokój temu Skarbnikowi. Gdybyśmy mieli latarkę, próbowalibyśmy wejść do tego lochu. Ale on na pewno zawalony rumowiskiem.

— Proszę pana — Olek ściszał swój głos do strwożonego szeptu — lepiej, żeby pan nie drwił ze Skarbnika. Wkrótce zacznie pan pracować na dole, to On gotów panu spłatać jakiegoś figla. Opowiadał mi Zelmek...

Piotruś uśmiechnął się spokojnie, ale Jędrzek przeciął nagle Olkowe wywody wołaniem o latarkę.

— Dobrze, skoczę do Janka Niemca, mieszka zaraz za Strapicielem. Ma na pewno latarkę!

Zapomniawszy o Skarbniku, Olek rzucił się jak wiatr w stronę wylotu ścieżki. Chlusnęły za nim zielone fale krzaków jak za pływakiem woda i było na chwilę cicho. Piotruś wydobyl zapalki i ruszył stanowczo naprzód. Słaby płomyczek chybotął się jak chory i gasł, ale przy jego krótkim świetle wyjrzały z ciemności ściany lśniące od wilgoci i poszarpany w strzępy strop. Wszystko to było jak w bajce.

— Wejście było zawalone gruzem — rzekł Piotruś. — Ktoś go niedawno usunął. O,

leżą tu obok pod liśćmi jakieś kamienie.

— Och, jakie to ciekawe, jakie ciekawe!

— Na razie nic jeszcze wielkiego. Nasza wyobraźnia pracuje, tym bardziej, że polotu tajemniczości dodały jej niemądre aluzje Olka.

Ale on już wracał. Najpierw ujrzeni wielką jak granat latarkę, która na kształt świdra torowała chłopcu drogę, potem wynurzyła się zaczerwieniona twarz, a w niej błyszczały, niesamowicie oczy.

— Nie powiedziałem, cośmy odkryli — rzekł — bo za chwilę mielibyśmy tutaj całą Starą Wieś. Nawet wujek by przygalopował.

— Zapomniałem o tym powiedzieć: obowiązuje nas wszystkich tajemnica. Rzeczywiście zariłoby się od „badaczy”, a przy tym zdarzyć by się mógł wypadek. Teraz rozumiecie ostrożność „Skarbnika”.

Piotruś, uosobienie rozwagi, odebrał dość powolnie latarkę i wszedł do sztolni. Obrócił się do chłopców i rzekł ostrzegawczo:

— Ostrożnie, trzeba się schylać!

Końcowe jednak wyrazy miały już brzmienie nieomal uroczyste. Co tu ukrywać: sędziwe otoczenie zaczęło na niego działać. Chłopcy posuwający się zrazu cicho, poczęli coś gorączkowo szeptać. Wszystkim były nieco silniej serca. Sztolnia wyskakiwała przed nimi etapami, wszędzie połyskując grubymi kroplami wody. Chwilami myśleli, że zwiedzają kryształową grootę. Szarozielonkawy piaskowiec, który mościł ściany, był powleczony krzemionkowym pancerzem. Chwytał cienkie strugi światła i miotał jego refleksami na wszystkie strony. Pod nogami wyrastały odłamki skał hebanowej czerni, które Olek kopał. Miejscami znowu podłoże było tak gładkie jak posadzka klasztornej refektarza.

Tę prawdziwie świąteczną ciszę zmącił Olek. Dwaj towarzysze zadarli głowy w kierunku jego wyciągniętej ręki. Na ścianie pod piaskowcowym sklepieniem wisiała lampa górnicza, była jednak inna niż współczesna. Piotruś wykruszył jej hak zrosnięty ze skałą i trzymał ją jak jakąś świętość. Bał się oddychać, by nie rozleciała się w okruszyny. Olek odgadł jego obawy, szepnął ze zgrozą:

— Wujek opowiadał raz jednego, że taka stara rzecz rozlatuje się jak nic, gdy ją wziąć nagle do ręki.

— To wszystko nie do wiary, nie do wiary ... Przecież to ... lampa olejna, jakiej używano w kopalniach przed prawie dwustu laty, albo więcej — mamrotał Piotruś oglądając swój skarb.

Była to rzeczywiście stara lampa olejna z długim gęsim dziobem. Jej kopulaste kształty pokryte były jakby szkliwem z oleju i krzemionki. Do niej przymocowano mocny łańcuszek z kabłąkowatym hakiem.

Ale Olkowi lampa nie wystarczyła, węszył naokoło jak wyżeł za zwierzyną. Rezultatem tego cierpliwego tropienia był kawałek niepozornego żelaza. Piotruś badał je z taką samą starannością jak lampę. W końcu rzekł:

— Żelazko, szpicak. Tym urabiano węgiel.

Latarka przeszła w całkowite posiadanie Olka. Jej ostry snop lizał stare ściany, wbijał się w nierówny strop, pełgał po chodniku, wścibiał wszędzie poszukując dalszych skarbów. Niespodziewanie oparło mu się wielkie rumowisko odgradzające dalszą drogę.

Trzeba było zawrócić. W niedługim czasie znaleźli się na powrót przed sztolnią. Światło słoneczne, choć filtrowane mocno sitem liści, raziło ich tak mocno, że musieli mrużyć oczy. Uporał się z nim najpierw Olek, który wskoczył na ugór i zapiał jak kogut w ranny świt.

## NIESAMOWITA LAMPA

Stara lampka górnicza stała na etażerze. Była brzydka, brudna, a jej gęsi dziob wprost raził. Mimo to zajmowała honorowe miejsce, gdyż tam właśnie stał zawsze szklany wazon z kwiatami. Teraz lampa przechodziła z rąk do rąk. Ojciec Jędrka potwierdził opinię Piotrusia, że lampa liczy przynajmniej dwieście lat.

— Trzeba by ją poddać jakiemuś fachowemu zabiegowi kosmetycznemu — rzekł ojciec Jędrka. — Wyszlachetnieje, dowiemy się nadto z jakiego jest materiału.

— Drzę cały na myśl, że rozpadnie się w proch.

— Nie będzie tak źle. Lampa pokryta jest grubo tłuszczem, a poza tym wytworzyła się na niej cała emalia z niewiadomych minerałów. Tlen nie mógł się do niej dostać. Zaczekajcie, jeszcze coś tutaj widzę...

— Tatusiu, co takiego?

— Inicjały. Tak, to litery. Dajcie no nóż, do licha.

— Ostrożnie, szwagier.

— Nic się nie stanie. O, już można odcyfrować: J D.

— Jot De, tatusiu, co to może znaczyć?

— Ot, choćby... Jędrak Duszka — roześmiał się ojciec. — Żartuję oczywiście, ale wszyscy moi przodkowie byli górnikami.

Olek pozalał w mig wszystkie prace ogrodowe wujka, w podskokach brał trzy schody naraz i wpadł jak burza do izby Piotra Wałęgi. On sam zabrał się wreszcie do czyszczenia lampy. Odślaniał mozolnie jej skalaną powłokę. Jędrak klęczał na podłodze i robił to samo ze szpicakiem. Byli sami.

— Cały czas myślałem o naszej lampie — zawołał Olek od progu. — Namalowałem ją wujkowi na desce altany, ale nie powiedziałem, żeśmy ją znaleźli. I wiecie, co na to mój wujek? Że to lampa Aladyna. Swoją drogą, jak ją tak pan czyści, można myśleć, że w każdej chwili zjawi się On...

— Kto?

— Duch kopalni: Skarbnik.

— Jest z miedzi... — myślał głośno Piotruś.

— Skarbnik?

— Nie, lampa. Patrzcie, jak błyszczy.

— I wiesz, Olek, że właścicielem lampy był ktoś, co nazywał się JD. Hura! — krzyknął nagle Jędrak. — Na szpicaku również litery...

— Pewnie: AP — rzucił drwiąco Olek.

— Nie żartuj. Widzisz?

— AP. Niech mnie kaczka kopnie. Pokażże ten mój szpicak.

Wałęga myślał dalej głośno:

— Można by myśleć, że się zaraz zaświeci...

— A gdyby tak ją zapalić, proszę pana? — odezwał się Olek.

— Spróbujmy, może jeszcze w niej olej...

— Olej? Dwieście lat? Prędzej by pszenica z grobów faraonów wykiełkowała.

— Co nam to szkodzi. Polecę po zapałki.

— No to leć do kuchni, bo je tam zostawiłem.

Olek zamienił się w błyskawicę, strzelił w drzwi, a po chwili był już z powrotem. Piotruś obracał lampę w rękach, a w jej miedzianej szacie paliły się promienie słoneczne wpadające przez okno do izby. W tej chwili zajęło go nowe odkrycie. Lampa miała na spojeniu kilka dziwnych nacięć. Wziął machinalnie zapałki od Olka, odkręcił nieco lampę, aż



szczęknęła na jednym z jej tajemniczych znaków, i błysnął zapalką.

— Iii — mrucał — przecież to głupstwo. Jakże może świecić pusta lampa?

Wtem drgnął. Miedziany dziob mlasnął. Chwilę później poczał cmokać, chlipać i siorbać jak żywe stworzenie. Chłopcy przyskoczyli do Piotrusia, on zaś spojrzął na nich niepewnie, blade, z zagasającym uśmiechem na zaciśniętych wargach.

— Świeci — szepnął, kącikiem oka obserwując gęsi palnik.

— Gdzie? — wrzasnęli obaj chłopcy.

— Och, ta cieniutka, fioletowa nitka. Nie widzicie?

Gdy pełni napięcia schylili się nad lampą, w górę strzeliła długa jaskrawa igła, która rosła w oka mgnieniu. Już, już dosięgła sufitu, przebiła go na wylot i — zdawało się — biegnie pod sam strop nieba, na spotkanie słońca, na spotkanie gwiazd. Było to tak nieoczekiwane, a tak zaskakujące, że chwilę panowało w izbie milczenie, przerywane gdzieś w dali jakimś przyduszonym łoskotem. Technik wciąż jeszcze obracał lampą jak wrzecionem, nie wiedząc w ogóle co robić, czy rzucić ją i uciec, czy też czekać co dalej będzie.

— To wcale nie jest płomyk oleju — wyrzekł cicho przez zęby.

— Więc co?

— Nie wiem.

Tymczasem ognista iglica przeistaczała się wciąż jeszcze. Oto u nasady, przy wyjściu płomyka z lampy, światło zaczęło się gwałtownie rozszerzać i rósć w górę. Niebawem objęło już pół izby, potem całą. Równocześnie barwa jego jaśniała coraz bardziej, aż stała się tak jaskrawa, że wymazała kontury izby.

Tego nie mógł wytrzymać nawet Piotruś. Zerwał się z krzesła i rzucił do okna, by je otworzyć, przy tym nie puszczał lampy z ręki, bo nie mógł.

— Co się dzieje? Co się dzieje? — wrzeszczał Olek. — Oszaleję, oszaleję!

Ale wtedy nie było już izby, nie było ścian, nie było dawnego otoczenia. Nie było niczego, co przypominałoby Szarą Wieś.

## W PUSZCZY KARBOŃSKIEJ

Z potopu światła wyrzynać się zaczęły nieokreślone cienie, majaczyły zarysy dziwnych drzew, wypuklały się jeszcze dziwniejsze barwy. Piotruś stał oniemiały. Milczał Jędrak, milczał zawsze żwawy Olek, milczało to zdumiewające otoczenie. Chociaż nie. Pod stopami trójki, głęboko i tłumione, rozlegało się jakby czkanie, lecz oni nie zwracali w tej chwili na to uwagi. Z parnych bowiem mgieł wyskakiwały prawdziwie niesamowite drzewa. Jedne nosiły potężne wachlarze na smukłych, wysokich pniach, inne podobne były do stożkowatych choin, które uroniły w jakiś sposób wszystkie szpilki. Ale znajdowały się przed nimi jeszcze osobliwsze zjawy: drzewa z kształtami kosmatych pał. Wiele z nich stało w marszczącej się wodzie.

Dopiero teraz spojrzął Piotruś na lampę — sprawczynię tego zaczarowanego świata: nie świeciła, ale mały dziób strzępiła prawie niewidoczna iskierka. Uspokoilo to nieco młodego człowieka. Za to podniecał go coraz bardziej fantastyczny krajobraz. Otarł machinalnie spoczone czoło i zamierzał usiąść na zgruchotanym pniu, by wreszcie opanować swoje wzburzenie, gdy doleciało go krzykliwe wołanie Olka o ratunek. Chłopiec tonął na pozornie suchym gruncie, prawdziwie tonął, Jędrak zaś łowił go wielkim kosturem — jak wędką. Wyciągnięty wreszcie na niewielki pagórek Olek prychał szlamem i brudną wodą. Wyglądał jak diabeł o północy. Jędrak parsknął niepohamowanym śmiechem. Olek zaperzył się i właśnie chciał go poczęstować porcją wyzwisk, kiedy nagle spostrzegł, że przyjaciela nie ma. Ujrzał go trochę

wyżej, jak pędził na złamanie karku w stronę pagórka wydętego jak włochaty kapelusz, pagórka, którego jeszcze przed chwilą tam nie było. Poszły również w ruch długie nogi Piotrusia. Olek nie czekał.

— Hej, dlaczego wiejecie? — wrzasnął złym głosem.

— Ziemia, ziemia kołysała się jak zwariowana.

— Nie chciałbym być złym prorokiem — rzekł Wałęga po namyśle — ale wydaje mi się, że to jak najbardziej autentyczne trzęsienie ziemi...

— Trzęsienie ziemi?

— Proszę pana, czy orientuje się pan, gdzie się właściwie znajdujemy?... Co to wszystko znaczy?

— Pozwólcie mi zebrać myśli — powiedział Piotruś i znowu otarł dłonią zroszone czoło. — Przecież to wszystko niemożliwe...

— Co jest niemożliwe?

Przed nimi roztaczała się tak niecodzienna panorama, że Piotruś w ogóle już nie odpowiadał. Przykuwało jego uwagę prawdziwe pobożowisko drzew w pobliżu. Leżały tam skłębione i pogmatwane pnie, które skosiły burze, a może konwulsje chorej widocznie ziemi. Nieco dalej błyszczała w mrocznej zadumie tafla wody, z której wynurzały się owe charakterystyczne choiny bez igliwa, w głębi natomiast wznosiły się nagie, poszarpane góry, przyprószone mgłą kredowego pyłu. Widoczne były liczne bajorka.

— Boże — jęknął nagle Olek tonem entuzjazmu — przecież to minarety. Minarety. Jędreku, przysięgam, że jesteśmy w oazie arabskiej. Patrzcie, patrzcie: na każdym minarecie muezzin w zielonym turbanie. O Allah, o Wielki, o Wspaniały!...

— To przecie drzewa, Olek.

Znowu zapanowało milczenie. W skupieniu obserwowano niewymowne, zachwycające widoki. Lecz już po paru minutach Olek zaczął wołać zdenerwowanym głosem:

— Kominy. Dym. Ogień. Proszę pana, hałdy i koksownie.

Piotruś roześmiał się tak gwałtownie, że lampa w jego ręku podrygiwała jak zabawny pajac. Jędreku wtórował mu niby echo, choć nie wiedział, dlaczego się śmieje.

— Olek — odezwał się wreszcie technik poważnie — to... wulkany. Tak. I zieją niebezpiecznie ogniem. Całe warkocze płomieni.

— Ale tamte drzewa to na pewno palmy, kaktusy i eukaliptusy...

— Nie, nie.

— Więc co to w końcu za drzewa, Piotruś?

— Nie śmiecie się ze mnie. Wydaje mi się, że to prawdziwy karbon. Prawdziwy karbon. Czy rozumiecie? Myślę, że to paprocie, skrzypy i widłaki. Teraz wiecie już dokądęśmy zabłądzili...

— Do Konga — rzekł Olek wycierając przy tym zawzięcie resztki mazi z twarzy.

— A ty, Jędreku?

— Nie wiem. Może to puszcza znad Amazonki.

— Mówiłem przecież, że to karbon. Jesteśmy w lesie karbońskim czyli w puszczy węglowej. Z takich drzew powstał węgiel...

— Piotruś — pytał zdumiony Jędreku — chyba nie twierdzisz, żeśmy się cofnęli do tych odległych czasów?

— Potwornie gorąco — westchnął Piotruś, rozchełstał koszulę na piersiach, a potem dopiero odpowiedział: — Nic wam jeszcze nie powiem, muszę się rozejrzeć. W każdym razie to paprocie, a w bajorkach skrzypy.

— Paproć wielkości naszej wieży kościelnej? — powątpiewał Olek. — Pan się chyba myli.

— Olek, uczyłem się o tym. Te twoje minarety to sigilarie, rodzaj widłaków.

— Uff, jak parno! Nie wytrzymam, trochę powietrza, trochę zimy! — krzyczał Olek.

— W puszczy paprociowej nie ma zimy. Jest wieczne lato, gorące jak pod równikiem. Drzewa węglowe nie mają słoï. Nie znają bowiem, co to zastój we wzroście.

— Piotruś, znajdujemy się chyba tysiąc mil od Szarej Wsi.

— Myślę, że to właśnie... Szara Wieś.

— Co? — wrzasnęli chłopcy.

— Z tymi wulkanami, górami? — dodał po chwili Jędrek.

— Jędrek — rzekł po namyśle Olek — pamiętaj, co ci powiedziałem. To On... Rozumiesz? On.

— Kto?

— Nie rozumiesz? Skarbnik. Śmiałeś się, a teraz masz. To Jego lampa sprawiła, że te dziwy oglądamy...

— Więc myślisz, że On ją w sztolni zostawił?

— Ależ to jasne. Widzisz: zawsze się ze mnie śmiał. Czy jeszcze powiesz, że zmyślam?

— Noo, nie wiem. Może... rzeczywiście nie zmyślasz. Wszystko to przecież tak niesamowicie zaskakujące, że w ogóle nie wiem co powiedzieć. Ooch, duszę się, duszę...

Było istotnie tak parno, tak gorąco, że pot lał się z nich strużkami. Powietrze bowiem jakby stało w miejscu, nie było przewiewu, nie było rześkiego zefirku, który nawet w upalne lata łaskocze chłodem rozgrzane ciała. Jędrek zrobił to co Olek przed chwilą. Zerwał z siebie koszulkę i zamienił ją w wirujące skrzydło wiatraka. Nie przyniosło to jednak ochłody.

Piotruś ruszył naprzód. Wyglądał na tle egzotycznej przyrody trochę śmiesznie. W jego prawej ręce kołysał się stary rupieć-lampa, bezsensowny instrument wobec piekielnej jaskrawości światła. Jego mokrą koszulkę przecinał ciemny pasek z zgrabnym aparacikiem fotograficznym.

Szli wszyscy ostrożnie jakby się czegoś bali. Wciąż bowiem pod ich nogami ziemia zmagala się ze swoją chorobliwą czkawką. Zdawało się, że udzielała się ona drzewnym olbrzymom z wspaniałymi wstęgami-liśćmi, które wydzierały się ku rozżarzonemu niebu. Pod nimi niskie paprocie, podobne do kryjących się dzieci, rozczapierały wielkie kapuce głów, pełne fantazyjnych liści. Inny gatunek paproci motał pnie lepidodendronów girlandą zieleni i jak liany piął się ku górze. Widłaki niby kosmate węże płożyły się po bujnej runi leśnej, te zaś dosiadały osobliwe klinolisty.

— Proszę pana — odezwał się Olek — a gdyby pan ten raj węglowy sfotografował. Zapomniał pan, że niesie pan swój aparat.

Piotrusiowi, być może, nie przyszło to w ogóle do głowy. Toteż zatrzymał się natychmiast i skierował obiektyw na strzeliste pnie, podobne do ozdobnych kolumn w kościele. Olek i Jędrek ustawili się obok parasolowatego „karła” i pozowali uroczyście do fotografii.

— Nie wiem tylko — rzekł Piotruś — czy co z tego będzie. Wciąż mi się wydaje, że jestem w kinie panoramicznym, albo że śnię.

— Ale dlaczego ciągle tak duszno? — pytał Olek. — Pewnie zanosi się na burzę.

— Powietrze przesycone jest dwutlenkiem węgla. Sporo go z wydechów licznych wulkanów, z procesów butwienia drzew.

Słońce, które wybitnie przyczyniało się do tworzenia takiego klimatu, miało inny odcień i — jakby plastyczną tarczę. Jego ogniste promienie inaczej też prześwietlały osobliwe krzewiaste rośliny, których korony ginęły het w granacie nieba.

Chłopcy wypatrywali nieustannie objawów jakiegoś życia w lesie, ale w czasie tego męczącego marszu wszędzie panowała jednostajna, głucha cisza. Wysiłki chłopców nie były jednak daremne, bo oto Jędrek odkrył na korzeniu drzewa pierwsze żywe stworzenie. Był to wielki, zadzierzysty pająk.

— Uwaga — ostrzegł ich Piotruś — to mi wygląda na skorpiona. Na odwłoku może być żądło.

— Wędrujmy dalej — zawołał Olek. — Może natrafimy na jakiego smoka.

Naraz objął ich gęsty półmrok, wędrowali jak w zielonym tunelu, czy też jak turyści zwiedzający mroczny tum z fantastycznymi witrażami. Światło słoneczne ślizgało się głównie po górnych piętrach egzotycznych drzew, a tylko szczęśliwym trafem przedostawało się na grunt leśny. Niezwykłość drzew skłoniła ich znowu do zadarcia głów. Szli więc i potykali się o wielkie szyszki, chłonąc zarazem balsamiczny oddech olbrzymów — iglastych araukarii.

— Cudowny zapach — rzekł Jędrek, nabożnie tłumiąc głos, jakby się bał zmącić tę wszechwładną ciszę, która panowała w lesie karbońskim.

— Wspaniale. Nawet lżej teraz oddychać.

Olek schylił się po jedną z wielu rozsianych wszędzie szyszek, wyłuskał zręcznie nasienie z niej i z przyzwyczajenia włożył do ust. Żuł ten dar posępnej araukarii z widoczną przyjemnością.

— Gdyby to dziwo zmieściło się w mojej kieszeni, zabrałbym szyszkę dla wujka — mówił Olek. — Inaczej stuknie się w czoło i powie, że zwariowałem, gdy mu opowiem naszą przygodę.

— Raczej milczmy — rzekł Piotruś. — Niech to będzie na razie nasza tajemnica. Wzieliby nas rzeczywiście za wariatów. — Przypatrzmy się pniom tych drzew. Nie widzieliśmy nigdy tak wysokich.

— Niech mnie kura rąbnie dziobem, jeśli nie mają po siedemdziesiąt metrów — mówił Olek posługując się niewyczerpanym bogactwem swego słownika. — To pewnie cedry z Libanu... Pełno na nich pieczętek...

— Nie, to araukarie.

Weszli w końcu w las tak ciemny z araukariami jeszcze posępniejszymi, że znowu przystanęli na chwilę. Pnie tych gigantów pokryte były wielkimi ciemnobrązowymi łuskami. Ściekały z nich gęste żółtobiałe żywice. Drzewa stały nieme, sztywne i żałobne w swoim osobliwym skupieniu.

Znowu poczuli duszność powietrza. Olek młynkował swoją koszulą, Jędrek ocierał szyję i piersi, oczywiście bez skutku. Technik Wałęga nie mógł sobie pozwolić na żadną ulgę. Zajmowała go teraz niemal całkowicie lampa, która ledwo, ledwo się tliła. Bał się wielu rzeczy. Nie chciał płoszyć fantastycznego krajobrazu, równocześnie przejmował go zabobonny lęk, że... na zawsze pozostaną w tej cudownej, a zarazem strasznej puszczy. Jego radość odkrywcy tłumilo cierpienie; cierpienie fizyczne z powodu upału i lekka gorycz niepewności.

Zatrzymywali się coraz częściej, żeby odpocząć. W swoim pochodzie natrafiali na coraz nowe drzewa o jeszcze osobliwszym wyglądzie. Zresztą cóż tu nie było osobliwe? Teraz były to kordaity o silnie rozgałęzionych pniach. Na czubkach gałęzi tkwiły kiście soczystych liści, a wśród nich jaśniały nagie kwiatostany o postaci śmiesznych pączków. Olek, który wszystko mierzył użytecznością rzeczy, mruczał już znowu niezadowolony:

— Nawet usiąść nie ma gdzie. Ani śladu mchu. Żadnego podszycia. A wszędzie mokro.

— To dość łatwe do wytłumaczenia — odparł wszystkowiedzący Piotruś. — Słońce zatrzymuje się na dachu listowia, a bez światła nie będzie podszycia.

— Dziękuję za ten karbon. Niech go lichy porwie.

W odpowiedzi na to przekleństwo rozległ się gwałtowny huk. Martwym powietrzem szarpnął potężny wystrzał armatni, po nim nastąpił drugi, trzeci, czwarty, który wreszcie przerodził się w długi warkot. Zdawało się, że ponad niebosiężnymi drzewami ktoś pruje granatową poszewkę, zasklepiającą radosny błękit Szarej Wsi.

— Wiwat! — wrzasnął Olek. — Wojna! Nareszcie się coś dzieje!

— Nie. To zupełnie coś innego.

Huu, huuu!... wył nad nimi, wysoko ponad węglowym lasem, jakiś nieznany potwór. Ale w puszczy karbońskiej panowała głęboka cisza. A na górze łoskot wzrastał się z każdą chwilą.

— Tylko czekać, jak spadnie bomba — prorokował złowrogo Olek.

— Nie, Olek — zaprzeczył Jędrzek z oczyma utkwionymi w twarzy swego wujka — to zupełnie coś innego.

— Tak — oświadczył Piotruś.

Miało to brzmieć autorytatywnie, ale w głosie mądrego Piotrusia wyczuć można było wahanie i niepewność.

— Pędźmy do jakiej wsi... zaproponował znowu Olek, ale przyjęte to zostało gromkim śmiechem obu towarzyszy.

— Wsi?... Olek — śmiał się Jędrzek — nie ma wsi. Nie ma domów, nie ma miast...

— I nie ma nawet ludzi — dodał Piotruś. — Na całej kuli ziemskiej nie ma ani jednego człowieka. Rozumiesz?

Jędrzek zrozumiał w lot, że daremnie oczekiwać pomocy człowieka, kiedy go w ogóle nie ma. Olek, nie ma jesz-cze lu-dzi na świe-cie.

— Chyba mnie nabieracie. Proszę pana...

— To prawda.

— Wobec tego straszny ten karbon, straszny las węglowy, straszna ta martwota. Idziemy, idziemy całą pewnie godzinę w kompletnej ciszy. Żebyż choć lew ryknął... Czy zauważyliście, że nie ma ptaków?

— Przecież nie ma ptaków — uśmiechał się do swej lampy Piotruś. — Nie ma zwierząt w naszym pojęciu. Wędrujemy przecież po karbońskiej krainie...

— Setki milionów lat wstecz — uzupełnił Jędrzek.

— Mam tego dość.

Cisza była tu jednak względnym pojęciem. Przez cały bowiem czas nie ustawał armatni harmider nad pułapem karbońskich drapaczy chmur. Łomotały tarabany, pękały granaty, terkotały karabiny maszynowe.

Jędrzek trącił nagle Olka łokciem.

— Masz nareszcie, jest zwierzę. Ale jakie!...

Olek wytrzeszczył, jak to zwykle robił, oczy skupione i uważne.

— Więc jest ptak: odmiana bociana albo czapli. Czapla. Nie: bocian. Albo to po prostu smok z błoniastymi skrzydłami.

— To owad — powiedział Piotruś — rodzaj ważki.

— Ważka? Cóż to za ważka, która ma metrowe skrzydła? Szybowiec.

— Olek — zapewniał technik chłopca — w karbonie żyją tylko owady a w wodzie ryby pancerne. Zwierząt w znaczeniu kręgowców nie ujrzysz nigdzie.

Bitewny zgiełk na górze przeszedł w inną tonację. Był już bardziej podobny do zwielokrotnionej burzy. Prażące słońce zakryła szczelna kurtyna z chmur. Raz po raz pojawiały się na niej błyskawice. Grzmot dudnił basem tak silnie, że wibrowała ziemia. Chłopcy byli niemal pewni, że za chwilę będzie deszcz. Jakoż pękł nad nimi atramentowy wór obłoków i od razu woda szumieć poczęła jak wielki wodospad. Była to rzeka z taką obfitością cieczy, że drzewa, las, otoczenie przepadały w niej bez ratunku.

Chłopcy z Piotrusiem przytulili się do filaru wyniosłej sygilarii, której charakterystyczne torby w koronie kierowały potopy deszczu niby siklawy ku spadzistości pagórka. W szumie deszczu, w nieposkromionych wybuchach grzmotu, w poświście wichrów ginał trzask łamanych gałęzi, ginęło skrzypienie drzew, ginęły ich własne trwożne głosy. Jędrzek wyciągnął rękę do łachy wód, wzburzonej i rozkiełznanej do ostatnich granic. Na grupę skrzypów, wyłaniających się z topieli na kształt przytulonych do siebie pływaków, runął olbrzymi lepidodendron. Pioruny trzaskały bez przerwy w drzewa stojące nad brzegiem mokradła. Dwa z nich runęły do wody. Było to jakby ostrzeżenie dla kruchych istot ludzkich.

— Nie ma rady — odezwał się Piotruś — biegnijmy na jakąś wolną przestrzeń. Jesteśmy w największym niebezpieczeństwie. Boję się ponadto, że zgaśnie lampa, a zapalek

nie mam.

— Jazda do Szarej Wsi. Och, jak ją lubię!

Piotruś wybuchnął jeszcze raz śmiechem.

— Przecież to wciąż jeszcze Szara a może i Stara Wieś.

Biegli w największej ulewie. Raptem wszystko ucichło. Spoza opony chmur wyskoczyło słońce i cisnęło swój pierwszy gorący pocisk na polanę, do której dotarli chłopcy i Piotruś. Wszyscy trzej skoczyli pod skrzypowaty kalamit, wznoszący swe mątwkowe gałęzie ku niebu promiennie czystemu.

Olek wznosił swe wiecznie ciekawe oczy ku nowemu okazowi flory karbońskiej. Ogromna pałka zarodników na szczycie trzydziestometrowego drzewa kusiła go do wspinaczki, do złupienia pałki. Odwiódł go jednak od tej chęci Piotruś wskazując, że kalamit nie podarowałby takiej grabieżczej wyprawy. Kolanka bowiem skrzypu wyposażone są w zadzierzyste ostrza.

— Zresztą — dodał ze swym wyrozumiętym uśmiechem — to przecież nie istnieje.

— Jak to: nie istnieje? Mam przecież oczy. Dotykam się skrzypu, czuję woń lasu, zgnily zapach mokradła.

— Jesteśmy jak w kinie.

— Ale w kinie nie mogę wspiąć się na drzewo, nie czuję zapachu.

— No, to rób jak chcesz.

— Olek, Olek — wołał Jędrak — znowu ten owad, ta ważka.

Olek wetknął koszulkę za pas i rzucił się za żywym „szybowcem”, który pomknął nad taflą wody wciąż jeszcze zmaconej i niespokojnej.

— Dwie pary skrzydeł — anonsował z szyją wyciągniętą ku bagnie — i trzecia para małych na przedniej części tułowia. Skrzydła jak płyty samolotu. Jędrak, Jędrak, kołysz się przy choinkach...

Ale błonoskrzydły owad nie czekał. Szukał przygód jak i Olek. Po chwili unosił się nad środkiem topieliska. Olek pożegnał go zawiedzionym wzrokiem, potem zwrócił spojrzenie na bliską wodę.

— Mówił pan, że są ryby pancerne.

— Są, ale nie jestem pewny czy w tej wodzie. Raczej w morzu. Tutaj mogłyby żyć liliowce, trylobity, misterne raczki. Widzicie ile powalonych pni w tej wodzie? To ich wspólna mogiła. Kładą się do tego mokrego łoża, jedno na drugie. Z tego powstają tzw. warstwy torfowe. Brak tlenu nie pozwala drzewom na zwykłe gnicie.

— Czyli bez wody nie byłoby węgla?

— Tlen, powietrze, popsułyby sprawę.

Olek jednak już nie słuchał. W pobliżu krążył inny dziwny „szybowiec”. Ślicznie ubarwione stworzenie: pół motyla, pół ważki, zawisło w jednym miejscu jak helikopter. Skrzydełka drżały nieustannie. Chłopiec czatował, cofał się, prężył w sobie. Hops — plusnęła prosto do wody. Ważka zniknęła.

Nieudany skok wywołał i tym razem salwę śmiechu. Olek mełł zawzięcie wodę nogami. Wszystko dokoła niego bulgotało i wrzało jak w garnku. Jędrak podał mu wreszcie rękę i pechowy łowca stanął na twardym łądzie.

— Śmiesz się jak cymbalista do cymbałek — krzyknął do Jędraka.

— Olek, kto to widział skakać za ważką do wody. Teraz śmiesz mnie co innego. Jesteś cały oblepiony najrozmaitszymi muszelkami. O, ten ma kształt trójkącika, ten spirali, a ten — pięknego wrzeciona. A na licu siedzi ci raczek.

— Niech sobie siedzi, nic to nikogo nie obchodzi. O Jeruzalem, gdzie moja koszula?

Nie, koszuli nie było. Obaj chłopcy uzbroili się w gałęzie lepidodendronu i szturchali nimi wody jeziora, ale prócz małych raczków nie wyłowili z niej nic innego. Olek przebolewał jednak rychłą stratę, pełen animuszu postawił stopę na pierwszej gałęzi kalamitu.

— Ej — krzyknął za nim Piotruś — lepiej nie ryzykować.

Wielki skrzyp kołysał się leciuchno, niedaleko niego mrugała woda, a z jej mulistego dna pykały wciąż nowe bańki. Patrzący za Olkiem sądzili początkowo, że wywołuje je wstrząsane wciąż drzewo. Niebawem jednak spostrzegli, że tańczyła woda, tańczył wielki skrzyp, tańczyły brzegi jeziora. Wreszcie kołysać się poczęła pod ich nogami ziemia, chwiał się i wydymał jak balon niedaleki pagórek, kłaniały się drzewa. Z brzucha ziemi wydobywało się głucho burczenie, które przechodziło w urywane pomruki, w gniewny bełkot, w ryk.

— Olek — krzyczeli Piotruś i Jędrzek — uciekaj!

— Przestańcie mną kołysać.

— Olek, trzęsienie ziemi!

— Zaraz...

Olek spadał w popłochu z piętra na piętro, wreszcie chlapnął siedzeniem siarczyście w wodę, aż przysła jak fontanna. Skoczył na ląd, biegł, potykał się, upadał i znowu pędził. Wreszcie położył się jak długi na pagórku, gdzie już stali Piotruś z Jędrkiem.

Przed nimi rozciągało się jezioro: niespokojne, falujące, z podskakującymi skrzypami, kurczące się i rozszerzające, błyskające niby omdlewająca źrenica, potem znowu zachodząca bielmem.

Któż może zrozumieć, co się dokoła dzieje? Chylą się w czołobitnym pokłonie olbrzymie neuropterisy i lepidodendrony, zapadają się gwałtownie w topieli skrzypowate kalamity, owe „plastykowe” choinki karbonu i wynurzają znowu stopniowo ociekające wodą. A obok wyrastają nad ludzką miarę pochylone sygilarie, bez gałęzi, bez ozdób jak macki potwora ukrytego w niespokojnej ziemi. Nad wodami unoszą się chmury owadów. Pomykają to w tę, to w ową stronę, rozbełtane, skłócone, jak skłócona i rozbełtana jest woda. Gdzieś ta gwałtowna deformacja wyzwala groblę laguny, z łoskotem więc wałą rzeki do jeziora.

Straszne.

Straszniejsze, gdy jęczą i pękają drzewa. Tnie je kosa tej fatalnej potęgi, a równocześnie klaszcze woda, biczuje bezradne ważki, chłoscze ląd, strzela wodotryskami ku górze. Las karboński kładzie się do mogiły.

— Boże, jakie to niezwykle, jakie niezwykle. Boję się, a chciałbym wciąż na to patrzeć — wzdychał Jędrzek.

— Tak — rzekł poważnie Piotruś — ale kołysze nami coraz bardziej.

Fascynujący był widok jeziora. Wyczyniało w tej chwili podobne harce jak dziecko stojące na kładce. W dół, w górę, w dół, w górę. Długie warkoczki wody trzepały już górkę, na której stała trójka. Wałęga dzielił swą uwagę między jezioro i lampę. Naraz plasnęła u jego nóg jakaś żywa istota. Była to ryba. Olek siedział już na niej, ale natychmiast odwrócił od niej z odrazą oczy. W rzeczywistości był to mały potwór z pyskiem maszkarą, a w tej nieznośnej „twarzy” mrugały wielkie, smutne raczej, niż złośliwe oczy. Ciało potworka pokrywały grube rogowe płytki. Z przodu sterczało coś, co przypominało płetwy albo może odnóża. Ryba poruszyła tymi właśnie odnóżami i — wygramoliwszy się spod Olka, poczęła wędrówkę w stronę wody. Było to tak niesłychane, że chłopiec oniemiał. Już, już miał skoczyć za uciekinierem, gdy górką pod nim wywróciła koziołka i — wuup! — zrzuciła ich wprost na szalejącą wodę. Poderwali się jednak jak na ostry rozkaz i już stali na chwiejnych nogach. Piotruś, kompletnie wyczerpany, otarł spocone oblicze, potem zaczął nerwowo zakręcać lampę.

— Prędzej — wrzaśli obaj chłopcy.

Z palnika wystrzeliła wreszcie ognista nitka, która już po chwili pękać zaczęła od dołu. Śmigwały tęczowe race jak fajerwerki bengalskie, zalewając otoczenie stopniowo morzem jasności. Gasły przesłoneczone korony paproci, kurczyły się węglowe drzewa. Piotruś odetchnął z ulgą, zamknął na sekundę zmęczone oczy, potem je łąpczywie rozwarł. Było po wszystkim. Znajdował się po północnej stronie Strapiciela. Gdy zaś spojrzął na wzgórze, zobaczył na nim koszulkę Olka.

Chłopiec również ją spostrzegł, pędził bowiem uradowany po nią. Kiedy wrócił, zapytał niemal z wyrzutem:

— No co, czy było to kino, czy prawda?

Wałęga westchnął.

— To jedyne niezrozumiałe w tej całej sprawie. Ale patrz, Olek, twoja koszulka jest czysta, choć była w błotnistej kąpielii...

## SPOTKANIE ZE SKARBNIKIEM

Piotr Wałęga pracował już od kilku dni w kopalni. Chłopcy widywali się z nim tylko wieczorami. Młody górnik zjadał wtedy z apetytem obiad na dole u siostry, potem zabierał przyjaciół do izdebki na górze. Była ona przytulniejsza, stół nakrywał kolorowy obrus, łóżko zasłane było pluszową kapą, wreszcie etażerka miała swoją zgrabną firaneczkę, która umiejętnie prezentowała grzbiety kilku książek naukowych i beletrystycznych. Przez otwarte okno wlewał się gwar osiedla i perkanie niedalekiej kopalni. Chłopcy nie tego wszakże szukali. Zamęczali technika pytaniami o fotografię, która utrwaliła las karboński i ich samych na tle tej niewiarygodnie pięknej dżungli.

— Cierpliwości — mówił Piotruś z uśmiechem — czekam na wyplatę. Kupuję powiększalnik na raty i sam to zdjęcie doprowadzę do końca. Zobaczycie jak je wymuskam. Nie damy przecież filmu do fotografa, który potraktuje moją błonę jak każdą inną.

— Więc mamy czekać do piętnastego — rzekł Jędrak.

— Parę dni. Słuchajcie, chłopcy, prosiłem was już „tam”, byśmy zachowali naszą sprawę w tajemnicy. Ani słowa.

— Ani mojemu wujkowi?

— Nikomu. Nikt by nam przecież nie uwierzył. A poza tym zaczęto by nas na całego ośmieszać, co mnie już niestety spotkało. Opowiedziałem o naszej przygodzie pewnej... młodej panience. Po prostu opisałem bardzo barwnie obraz tej wspaniałej puszczy, lecz ona w końcu powiedziała tak do mnie: — „Opisuje pan tę ważkę, jakby pan ją sam widział”. — Wtedy nie zastanawiając się przysięgłem jej, że byłem w tej puszczy, że Olek jechał na rybie i — że to było setki milionów lat temu. I wiecie, czego się doczekałem? Ona mnie zlekceważyła. Gdy nazajutrz wstąpiłem do biura, zauważyłem uśmieški na wszystkich twarzach, a moja znajoma szepnęła coś do ucha koleżanki, kreśląc na czole kółeczko. Było ono adresowane do mnie.

— A mnie by się to podobało — zawołał Olek prawie z entuzjazmem.

— No to spróbuj, kiedy zachciewa ci się być wariatem.

— Udowodnimy to zresztą fotografią. Słyszałem, że ona nigdy nie kłamie.

— Ooo, fotografia... Mogę cię na niej zamienić w aniołka ze skrzydłami, jeśli chcę.

— Wujek, a gdzie lampa? Szukaliśmy jej już z Olkiem.

— Ach, co wy sobie myślicie! Nie mogę jej przecież zostawić na etażerce. Dobrze ją schowałem, nic się nie bójcie.

Olek nie to chciał usłyszeć, nie wypadało mu jednak nacierać ostrzej na wujka Jędrka. Postanowił wrócić do tego samego tematu przy następnej okazji.

Pewnego razu Olek przyleciał rano, choć nie wzywał go Jędrkowy telegraf. Przyjaciel poznał po jego minie, że ma jakąś ważną wiadomość.

— Jędrak, znowu go widziałem.

— Skarbnika?



Olek przytaknął niemo głową, przy czym machnął ręką w stronę niesfornych włosów, które zasłoniły mu prawe oko. Wpatrywał się nieruchomo w Jędrka, dopiero po chwili rzekł:

— I rozmawiałem z nim.

— Przekonałeś się nareszcie, że to nie Skarbnik.

— A właśnie, że się ugruntowałem w moim podejrzeniu. Był na ugorze pod hałdą. Siedział na kamieniu przy drodze. Nie mogłem go już wyminąć. Pozdrowiłem go jak najgrzeczniej, ale starałem się nie patrzeć w jego twarz...

— Dlaczego?

— Iii, nawet tego nie wiesz, choć masz ojca górnika. Żaden górnik tam na dole nie spojrzy Matuszowi przy spotkaniu w oczy. Spaliłby się na proch.

— I co dalej?

— Wiesz jak mi odpowiedział? Glik auf. Teraz już chyba nie wątpisz. Usiadłem obok niego, ale w bezpiecznym oddaleniu...

— Niby dlaczego?

— Mogę ci tylko współczuć. Przecież gdybym się go dotknął, wróciłbym do ciebie mając sto lat. Zaczęło się więc o pogodzie. Tak się zawsze robi. A potem przeszliśmy do kopalni. (To jego fach, rozumiesz?) Więc On zaczyna coś mówić...

— Zaczekaj, Olek. Powiadają, że można przy jego mowie ogłuchnąć.

— Myślałem to samo. Wujek utrzymuje, że wtedy kiwają się stemple na chodnikach jakby pijane, a strop się kruszy. Więc ja mówię do niego szeptem...

— Nie rozumiem.

— Och, Jędreku, czy ty niczego nie rozumiesz? Każdy pętak z kopalni ci to powie. On nie lubi głośnego śmiechu, On nie cierpi, gdy kopalnię zamienia się w wiec, On trzęsie się ze złości, jeśli tam ktoś woła. Więc zaczynam szeptem, to On nakazuje, żebym głośniej. Wtedy klepię swoje normalnie. Słyszę go jakby ciebie. Zupełny człowiek! Ale kiedy ci ktoś na hałdzie gwizdnął, to On się zaraz wzdryga. Odgaduję, rozumiesz, dlaczego...

— No?

— Jędreku, czy i tego nie wiesz?

— Skąd bym wiedział.

— Najgorsza rzecz, to gwizd. Wujek jednego razu świsnął sobie przez zęby, a On już stoi nad nim. „Jak ci gwizdnę?” — powiada — „to się ani za rok nie pozbierasz”.

— Olek, ale co On ci w końcu powiedział?

— Co on mi powiedział? Oto tak: gdy-bym wie-dział, com kiedyś niósł w le-wej ręce, od-na-lazł-bym dro-gę do pra-wdzi-wych skarbów ży-cia.

— Hhh, tak powiedział?

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył.

— No dobrze, ale jak ty to rozumiesz?

— O, Jędreku, dla mnie to takie proste jak tabliczka mnożenia razy dwa. Wszedł ci biedak z kopalni. A musiał mieć jakiś skarbnikowski talizman. Zgubił go. Teraz nie może wrócić do skarbów podziemia. Kapujesz?

— Trochę, ale niezupełnie. Chciałbym go widzieć...

— Jazda. On tam jeszcze siedzi.

— Posłuchaj: chciałbym odrobinę zerknąć w jego twarz.

Olek wytrzeszczył oczy, a jego wyraziste rysy wykrzywił grymas przestachu. Więc Jędreku wyjaśnił szybko:

— Mam ciemne okulary, mogę nimi spoglądać nawet na słońce. Przecież silniej nie będzie działał jak ogień słońca... Co ty na to?

— Jak chcesz. Ja tam bym nie ryzykował. Więc jazda, panie gazda.

Z właściwą w tym wieku łatwością przekuwania zamiarów w błyskawiczne decyzje chłopcy ruszyli wiatrem w kierunku hałdy. Wkrótce już wynurzył się przed nimi szczupły

pomost kolejki linowej. Między jego stalowe obrzeżenia wpadła polna droga i — zanurzała się chwilę później w jasne pola zbóż. Pod wysoką ścianą żyta siedział człowiek w schludnym ubraniu. Kapuca na głowie okazała się zwykłym kapeluszem z bardzo szerokim rondem. Przy jego kolanie leżał piękny pies, który na widok chłopców wystawił czujnie uszy i warczał cicho choć przyjaźnie, jak stworzenie, które doznało jedynie życzliwości ludzkiej.

Mijając ich, obaj chłopcy pozdrowili równocześnie:

— Dzień dobry.

— Glik auf.

Głos Skarbnika był smutny i sympatyczny, jakby się składał z dwu tonów: głębokiego — pełnego i wyższego — dźwięcznego. Jędrzek zwrócił szybko swe spojrzenie na nieznanego. Mimo że okulary łagodziły występujące tam kontrasty, spostrzegł ku swemu zdumieniu młodą jeszcze twarz i śnieżną siwiznę włosów pod kapeluszem. Byli już daleko poza hałdą, a Olek wciąż jeszcze trzymał głowę tak jakby osadzona była na tyczce.

— Olek — przemówił nagle Jędrzek — On nie miał brody.

Ale Olek nie zmienił swego dziwnego zachowania ani na jotę, więc Jędrzek rozpoczął na nowo:

— Włosy Jego były jak mleko...

— Na twoim miejscu — mamrotał pod nosem Olek — tego bym jeszcze nie mówił, On wszystko słyszy. Mmmm... mmm...

Nadszedł wreszcie czas, gdy przyjaciel pozwolił Jędrkowi usta otworzyć. A on powtórzył swoje bystre spostrzeżenia.

— Wiesz, On mi kogoś przypomina. Tylko nie wiem dokładnie kogo. Olek, a może On nie jest Onem?

— Przysięgam ci, że jest Onem.

— Dobrze Mu się przyjrzałem. Zdawało mi się, że widziałem nad Jego lewym okiem szeroką bliznę. Słuchaj, przecież Skarbnik nie może mieć blizny!

— Iii, mój wujek widział takiego w kopalni, który twarz miał oszpeconą niebieskimi ziarnkami węglowymi, jak je mają często górnicy.

Na tym urwała się dyskusja. Olek nie dał się wyprowadzić z nurtu, w którym sam chętnie płynął. Lubił przecież swojego Skarbnika, lubi wszystkie te historie, które starzy górnicy nagromadzili koło jego postaci.

## CZY FOTOGRAFIA PRAWDE MÓWI

Koszulka Olka nie stanowiła rzeczywiście przekonującego dowodu, że las węglowy był tworem wyobraźni, szalonym snem. Istniała przecież fotografia, kryjąca się jeszcze wciąż w mlecznej emulsji filmu. Piotr Wałęga miał już swój aparat do powiększeń. Pewnego wieczora chłopcy przekształcili w oka mgnieniu małą izdebkę Wałęgi w ciemnię fotograficzną. Olek przesunął z hurkotem stół na środek izby i zapytał od niechcienia:

— Proszę pana, a co ta panienska?

— Wpuść no jeszcze trochę światła przez okno, to się dowiesz.

Chłopcy ujrzeni w jego ręku małe zdjęcie pięknej, uśmiechniętej dziewczyny.

— To ona? — szepnął Jędrzek.

— Ona. Odwróćcie jednak karteczkę, a zobaczycie co innego.

Nagryzmołone tam były w pośpiechu trzy słowa, które Olek odczytał głośno z wyraźnym zadowoleniem:

„Bajecznemu Kłamcy — Krysia.”

— Ho, ho, ho — śmiał się Olek. — Głowę bym dał, że to to samo, co „sympatycznemu Bajarzowi”. Miła panienka.

Piotruś Wałęga połknął tę Okową wykładnię z widoczną przyjemnością, potem schował bardzo starannie podobiznę Krysi w portfelu. Chwilę później Piotr celebrował w uroczystym milczeniu wywoływanie negatywu. Wreszcie wśród ciemności zaszklilo się rubinowe oko żarówki. W jej koralowej smudze zamigotała mokra taśma, urzekająca dzięki zagadce, którą kryła w paru swoich klateczkach.

— I co? — niecierpliwiał się Olek.

— Teraz już pewne, że coś z tego wyjdzie — mówił Piotruś drżącym półgłosem. — Film prawidłowo naświetlony.

Szybko wsunął błonę do utrwalacza.

— Proszę pana — odezwał się ponownie Olek — szkoda, że nie zrobiliśmy trochę więcej tych karbonowych zdjęć. Wyobraża pan sobie, co by ludzie powiedzieli, gdybyśmy im pokazali mojego potworka, albo „minarety” z muezzinami.

— Albo metrową ważkę — dodał Jędrek.

— A czy wiesz, Jędrek, jaki z tego zbilibyśmy majątek? Kupowałyby fotografie dzieci wszystkich szkół, goniłyby za nimi gazety, nawet uczeni całego świata. Zresztą każdy chłopiec chciałby mieć taki obrazek.

— Co byśmy tylko robili z tą całą mamoną? — żartował z cienia Piotruś.

Olek zmarszczył czoło i zastanawiał się na serio. Hm, co się robi z pieniędzmi? W domu nieustannie zrzędził na ich temat stary wujek. Olek odkupywał rokrocznie najstarsze czyli najtańsze podręczniki u kolegów, choć porywał go widok nowiutkich. Chodził w staromodnych, szerokich spodniach wujka, które plątały mu się dokoła nóg niby spódnica, nosił wujkowe przedpotopowe marynarki z przydługimi rękawami. I pytać się tu jeszcze, na co wydać pieniądze? A te rzeczy, które wabiły z wystaw, niemal prosiły: „Olek, kup mnie! będziesz miał prawdziwą rozkosz ze mną!” Wbrew temu rozumowaniu Olek oświadczył:

— No, trzeba by trochę pomóc mamie. Zarabia mało. Wujkowi, gderze, kupiłbym futro i wspaniałą lisią czapę. Nie macie pojęcia, jak o niej marzy. I co jeszcze?... Szukałbym ojca po całym świecie, bo powiadają, że on wcale nie zginął.

Błysnęło żółte światło. Chłopcy rzucili się do Wałęgi. On zaś bombardował w tej chwili lśniącego czarnego węża promieniami ostrej lampy ze wszystkich stron, wreszcie sięgnął po lupę.

— Halo, co to wszystko znaczy? — krzyknął zduszonym głosem. — Mamy tutaj... wieżę kościelną. Tak, to prawdziwa wieża kościelna. Bierzcie no lupę. Może ja zwariowałem.

— Piotruś — rzekł Jędrek — to przecież wieża kościelna Starej Wsi. I coś tam wisi u jej szczytu. Chorągwie?... Wujek, czyś fotografował kościół babci?

— Ani mi się śniło. Nie byłem w Starej Wsi od tej chwili, gdy tam przez pomyłkę wylądowałem. Nic z tego nie rozumiem. Poczekamy na powiększenie.

Jeszcze tego samego dnia rozczochrane głowy chłopców pochylili się ciekawie nad pierwszą fotografią „karbońską”, która kąpała się w wodzie. Odskoczyli wszakże zaraz i poczeli się zwijać ze śmiechu. Zaraził się nim również Wałęga. Potem raptem urwali i jeszcze raz zatopili spojrzenia w koszmarnym zdjęciu. Tak, nie było wątpliwości. Oto chłopcy obejmują wielką gałkę dzwonnicy, nad nimi wznosi się masywny krzyż. Ogarnęła ich znowu tak żywiołowa wesołość, że zaczęli wyć i tupać nogami.

— Jędrek, trzymaj mnie! — krzyczał Olek.

— Wisimy, wisimy jak aniołki w powietrzu! — wrzeszczał Jędrek.

— A ja wam mówię, że to jego sprawka — rzekł Olek po tej burzy uciechy.

— Kogo?

— A kogóż by? Skarbnika Matusza. Jędrek, On się znowu wałęsał pod kolejką linową.

A ten jego pies, rozumiesz, ma oczy jak człowiek. Podejrzewam, że to jakiś zaczarowany górnik...

Olek byłby dalej opowiadał, lecz nagle pękły z hałasem drzwi, a do pokoiku zaróżowionego pomarańczową lampą wtargnęła matka Jędrka.

— Boże, co tu się dzieje, myślałam, że dom się wali.

— Nic, nic... — mieszał się Piotruś, wyciągnął błyskawicznie zdjęcie z kąpielni i wepchnął je za kołnierz Olkowi. — Wiesz: araukarie, sygilarie...

— Kalamity, lepidodendrony — dodał Jędrak.

Olek dostał dreszczy, miotał się po izbie przez chwilę, potem zaczął wyrzucać ramiona do tyłu jakby zwariował.

— Potworek — mamrotał.

— Uspokój się, do licha — szeptał nieszczęsny fotograf. — Ukryłem tylko zdjęcie. Inaczej będę znowu łgarzem.

— Nic z tego nie rozumiem, Piotruś — odezwała się w końcu siostra i niespodziewanie wydostała zza pleców Olka fotografię „aniołków”.

— Mamo!

Piotruś usiłował zdobyć obrazek, ale ona zdołała go już obejrzeć. Westchnęła z uśmiechem na twarzy.

— Piotruś, czym ty się zajmujesz? Cała kopalnia trzęsie się ze śmiechu. Mają cię za Münchhausena, za bajecznego łgarza. Nikt ci już tam nie wierzy. I to mój brat. Poczciwy Piotruś. Zaraziłeś Jędrka. To drugi, mały bajeczny łgarz. Opowiada dzieciom o potworku-rybie, szwendającym się po Starej Wsi...

— Proszę pani — przerwał jej Olek pokornym prawie głosem — myśmy to wszystko widzieli...

— Kiedy?

— Dwieście milionów lat temu — wyrzucił ten balast z siebie Olek — przecież jechałem na tym potworku jak na koniu...

Piotruś przerywał mu znakami i przeraźliwą mimiką. Było już jednak po wszystkim. Matka Jędrka stała nieruchomo w miejscu, potem wybuchnęła niepokonanym śmiechem.

— Wariaci.

Ruszyła ku drzwiom z fotografią w ręku. Przed progiem odwróciła się do izby, w której panowało powszechne zgnębienie.

— Piotruś, wyrzuciłam wszystkie rupiecie spod twego łóżka.

— Jakie? — krzyknął niemal boleśnie brat.

— To żelastwo z tą paskudną lampą.

— Co?

— Mamo — krzyknął Jędrak — to przecież...

— Gdzieś to wyrzuciła? — zapytał technik silnie już wzburzony.

— Na śmietnik, Piotrze.

„Łgarze” zawyli i strzelili do drzwi jakby ich z procy wyrzucono. Byliby wywrócili Duszkową, gdyby nie była uskoczyła w bok. Drewniane schody zadudniły wściekłym bełkotem. Po chwili wszystko ucichło. Matka Jędrka potrząsnęła głową jakby nic z tego nie rozumiała, potem jęła wolno schodzić na dół.

## ULICA PAPROCIOWA

Stary Szymon przypatrywał się nowej ulicy z szpalerem młodych wiotkich jeszcze topoli, które swawolnie tarnosił letni wietrzyk, bacząc jednak by nie zrobić im krzywdy. Szare oczy górnika ciemniały wszakże niechęcią na ich widok.

— Olek — rzekł — jak ci się podoba nasza ulica? Pięknie ją przebudowali. Muszę to bezstronnie powiedzieć. Ale co im strześliło do głowy, by ją omaścić tymi topolami?

Olek siedział okrakiem na dyszlu drabiniastego wózka załadowanego wielką kopą siana i spoglądał tępo na przedmiot odrazy wujka.

— Przecież ładne — rzekł przekornie, żeby staremu dokuczyć.

— Ładne? Zobaczysz jak się będą zachowywały, gdy pnąć się zaczną do góry. Apetyt ich będzie rósł razem z wzrostem. A wiesz, gdzie go będą zaspokajać? Na naszym polu. Na naszej matce ziemi.

— Jak? — rzucił Olek apatycznie.

Co go bowiem obchodziły topole? Niech rosną i niechaj zjadają, co im się podoba.

— Jak? Olek, każdy korzeń to gęba do jedzenia. Co my naszej matce ziemi sypniemy w zęby, to najbliższa topola zaraz haps! I nasze żytko, albo nasze ziemniaki mogą się tylko oblizywać. Ja ci coś powiem, Olek. Zabierzemy się do nich. Wieczorem. Inni też tak robią.

— Wujek, a dawniej narzekałeś na tę ulicę, że pusta jak dziadowski worek.

— Przecież się tego nie zapieram. Ale solidniejsze byłyby chyba jawory, albo jesiony. Zresztą sam zobaczysz, bo mnie już wtedy na świecie nie będzie. Wystrzelą te pasożyty do nieba, wyskubią z ziemi wodę i pożywienie, zacienią wszystko, a wreszcie ulicę zamienią w aleję cmentarną.

Olek się ożywił. Wujek sprowokował go do fantazjowania. Rzekł więc, nie zważając w ogóle na pewne sygnały w duszy, które go żywo ostrzegały:

— Eee, wujek, mogę powiedzieć, że widziałem lepsze rzeczy. Czyś widział paproc tak wielką jak wieża kościelna? Wujek, a widłak prosty i wysoki niby ten komin z kotłowni...

— Nie rozumiem, Olek.

— Bo też nikt tego nie rozumie. Wtedy by dopiero nasza ulica Topolowa wyglądała jak się należy, gdyby ją ozdobić samymi paprociami. Zresztą można by ją jeszcze urozmaicić skrzypami. Dwie paprocie, jeden skrzyp, dwie paprocie, jeden skrzyp...

— Co? — krzyknął stary górnik. — Skrzyp przy ulicy?

— Mogłyby być i widłaki — rzekł Olek tonem ugodowym. — Ale nie ma nic bardziej wspaniałego nad paprocie.

Zapadło krótkie milczenie, w którym słyhać było wyraźne sapanie emeryta i rytmiczne trzeszczenie dyszla. Potem jednak odezwał się Rajda pozornie spokojnym głosem:

— Tak, to byłaby wobec tego ulica Paprociowa. Ale powiedz no, zmyślaczu, gdzieś to widział te twoje paprocie.

— Jasne, w puszczy karbońskiej — wypalił Olek bez zastanowienia, choć dzwonki jego rozsądku dzwoniły już na alarm.

Stary człowiek okrążył Olka, kulejąc mocno. Zagadnął teraz jakby zniecka swego siostrzeńca:

— W jakiej puszczy, bo nie zrozumiałem.

— Karbońskiej albo węglowej...

— Nic mi nie wiadomo, żebyś był gdzieś na wycieczce, Olek.

— Wujek, wędrowałem po niej dwieście sześćdziesiąt milionów lat temu...

— Olek...

Ale Olek jak to Olek, płynął już kraulem po rzece swej fantazji. Nic go nie mogło

powstrzymać.

— Wujek, to przecież to samo, co puszcza węglowa... Więc w tej puszczy ujrzałem ważkę, która miała skrzydła metrowej długości. Nawet goniłem za nią. Jechałem na rybie jak na koniu. Poruszała się płetwami po ziemi. Na miejscu Starej Wsi stały dwa wulkany, które pluły ogniem w niebo. A ziemia trzęsła się niby galareta...

— Dosyć. Jedziemy do domu. Coś niedobrze z twoją głową, Olek.

— Dlaczego? Wujek, ani słowa nie zmyśliłem.

Markotna twarz wujka skamieniała. Jechali do domu nie wymieniając ze sobą ani słowa. To Olkowe „coś” stanęło jak mur między nimi. Olek czuł, że w jakiś sposób zmałował myślenie starego człowieka. Dlatego też niespodziewane spotkanie ze Skarbnikiem i jego psem nie rozwiązało mu tym razem języka.

Wujek zostawił chłopca na podwórzu, a sam, utykając mocno, pospieszył do ogrodu, gdzie przebywała jego siostra.

— Marto! — zawołał oglądając się za siebie — Olkowi nadwerzężyły się klepki w łepetynie. Trzeba z nim iść do lekarza...

## KTO ODKRYŁ WĘGIEL

Technik Piotr Wałęga, któremu z chwilą rozpoczęcia górniczej pracy przybyło wiele obowiązków, niewiele miał czasu na rozrywki, na własne przyjemności. Do tego truł się jeszcze sprawą opinii kłamacy, która — nie wiedzieć dlaczego — utrwałała się w środowisku jego pracy, i przylgnęła do jego osoby jak nieodstępny cień. Stara lampa, błaha na pozór rzecz, dobijała go do reszty. Razem z chłopcami przekopywał najbliższe śmietniki, zanurzał po łokieć rękę w cuchnącym popiele, wyciągał zagięte puszki po konserwach, łowił w odpadkach szklane słoiki. Lampy nie było. Wszystkie więc poszukiwania, które bez przerwy prowadził, nie dały żadnego rezultatu.

Jędrak przyjął sprawę utraty skarbu ze smutkiem, ale umiał wyperswadować sobie jej brak. Inaczej Olek. Po krótkiej rozpaczycy zaczął obwiniać przede wszystkim Jędrka za małą dbałość o rzecz tak bezcennie drogą. Poszli w końcu zniechęceni, wzajemnie do siebie, urażeni na podwórze i usiedli w głębokiej zadumie pod płotem. Szczególnie Olek pogrążył się w tej posępnej deliberacji. Dość długo siedział z ponurą miną, gdy nagle z odrętwienia zbudził go przeraźliwy okrzyk Jędrka. Widział, że kolega popędził prosto na kupę żółtego piasku, upadł, złapał coś obu rękami i zaczął wrzeszczeć. W jego palcach chwiała się lampa górnicza. Wtedy Olek popadł w takie podniecenie, że nic nie byłoby w stanie przerwać jego harców. Na podwórzu rozlegał się straszny ryk. Chłopcy, upojeni radością z powodu odzyskania bezcennej zguby skakali w tańcu, który był skrzyżowaniem jakiegoś hopaka z indiańskim tańcem radości. Bury kot, wylegujący się na płycie śmietnika, w najwyższym przerażeniu przepadł w pokrzywach, a dwa dziesiątki wróbli, które dopiero co zawzięcie kłóciły się o skórkę chleba, milczkiem czmychnęły na starą wiśnię do ogrodu. W końcu chłopcy zmęczeni tym żywiołowym wybuchem, przystanęli i spojrzeli na siebie.

— A niech to gęś kopnie.

— To Basia — rzekł Jędrak. — Bawiła się w piasku. Robiła babki, piekła je przy pomocy lampy.

— Eee, ty... Żebyś nie był moim przyjacielem, to bym ci więcej powiedział. Powinieneś swojej siostry bardziej pilnować. Jazda, panie gazda. Lecimy na ugor. Zapałki!

Na ugorze wyrywali sobie lampę z rąk. Na samym końcu dostała się w ręce Olkowi.

Gorączkowo i chaotycznie tarł zapalki po pudełku i wyrzucał zgaszone na trawnik.

— Przecież nie tak się z nią postępuje — zawołał Jędrrek. — Odkręć ją trochę.

Ciche, gulgocące odgłosy w dziobie były pierwszymi zwiastunami życia lampy. Potem obserwowali błękitny promyk, który w taki sam sposób jak za pierwszym razem wytrysnął ku górze.

Kiedy obaj podnieśli oczy, zauważyli ze zdumieniem, że znajdują się na niewielkiej polanie. Zresztą nic z tego otoczenia nie przypominało krajobrazu karbońskiego. Na polanie rosły liczne kwiaty, oblewało je złote słończko stojące już dość wysoko na niebie. Tu i tam paliły się płomyki wiosennych pierwiosnków, wielki dywan kwietny naokoło nich dzierzgany był najcudniejszymi barwami. Spomiędzy dużych żółtek mniszka niebieskoliliowymi źrenicami patrzyły dzwonki, nieśmiało wychylała się bledziutka jasnota. Polana była prawdziwym okiem leśnym, którego rzęsy stanowiły jasnozielone modrzewie, a za nimi ciągnęła się wyrazista brew w postaci naburmuszonego boru. Zza boru rozbrzmiewał głos naśmiewającej się kukułki.

— Na razie — mrucał Olek — nic nadzwyczajnego. — Wszystko to nadaje się na pasienie krów.

— To przecież wszystko jak we śnie. Popatrz się na motyle.

— Według mnie powinniśmy się znaleźć na takim miejscu, w którym byłoby coś realnego.

— Co na przykład?

— Nie cieszyłbyś się, gdyby tu zagradzał nam drogę płot z samych serdelków? Albo — żeby tu rosło drzewo z szynkami? Albo — żeby było tu kilka krzaków z ciastkami? Albo — żeby była rzeczka, w której płynęłoby mleko? Albo — żeby był stawek z bitą śmietaną? Albo...

— Olek, na co to wszystko? Gdybyś się najadł serdelków, nie umiałbyś już połknąć śmietany.

— Dużo bym potrafił zjeść. A taki pieczony w maśle karp... Co ty na to?

— Nic z tego nie będzie. Na razie widzę rzeczulkę. Ale nie ma w niej mleka. Kryniczna woda.

— Jędrrek, Jędrrek, trzymaj mnie, bo upadnę... Patrz: ryby, ryby. Jędrrek, ryby!

— A tam szczupak, ale jaki!... Olek, a może to nasza czarna Leśniówka?

— Na pewno.

Olek odgadł. Była to rzeczywiście Leśniówka, choć ani ona, ani jej najbliższe otoczenie w niczym nie były podobne do oryginału. Chłopcy posuwali się wzdłuż rzeczki, częstokroć zanurzeni po pas w soczystej trawie, lecz prawie że nie spostrzegali tej zielonej powodzi. Widzieli tylko w wodzie srebrne grzbiety ryb. Potem wrośli gwałtownie w ziemię, gdy na dole szusnął za rybą wielki szczupak, aż krople wody zrosiły im twarze. Na widok takiej obfitości ryb ogarnęła obu szalona ochota, by wejść w marszczący się nurt i rozpocząć w nim prawdziwe łowy. Olek, zawsze skory do błyskawicznej akcji, zzuwał już buty, ale wtedy doleciał ich dźwięczny śmiech i słowa:

— Pra, jak strzeliła? Uuu, szczuka to rzeczny zbójnik. Ale i na nią znajdzie się rada...

Przed chłopcami stał smukły chłopiec tego samego wzrostu co Jędrrek. Jego długie, dziewczęce włosy spadały mu jak krótka chusta na ramiona. Nieznajomy miał szczupłą twarz i niebieskie oczy, w których igrały wesolutkie błyski. Był ubrany tylko w długie spodnie i zgrzebną koszulę. Bose nogi i postrzępione nogawki mokre były od rosy. Na ramieniu chłopca wisiał długi łuk, a do pasa przymocowany był skórzany kołczan z pierzastymi strzałami.

— Wszystkich tu naokoło znam — dodał po chwili — ale was obu widzę po raz pierwszy. Chybaście nie nasi, hy?

— Nie, nie... — bąkał niewyraźnie Jędrrek, trochę speszony pewnym wystąpieniem

chłopca.

Wtedy inicjatywę prowadzenia rozmowy przejął Olek. Zauważył bowiem, że mowa wyrostka trąci jakimiś nie używanymi już wyrażeniami. Była na wskroś archaiczna, lecz mimo to rozumiał go doskonale.

— Przyszliśmy na ryby. Trochę zabłądziliśmy. — I dodał chytrze, żeby wysondować czas ich nowej historii: — Nawet zapomnieliśmy, jaki dziś dzień. Tak się nam wszystko pomieszało, że nie wiemy jaki rok...

Chłopiec począł się śmiać, wreszcie rzekł:

— Dziś przecie czwartek, 24 majusa Anno Domini 1543. Chyba nie chodzicie do żadnej szkółki? Ja bo umiem rzetelnie ślabikować i pisać. A jak was wołają pan ociec?

— Aha, niby jak się nazywamy? On Jędrzek Duszka, czyli Andrzej, a ja Olek albo Aleksander Plecionka.

— Co? Jędrzek, hy? A mnie na chrzcie świętym dali Jindrzik. Prawdę rzekę. Jam Jindrzik Duszka. On Duszka i ja Duszka.

Jindrzik cofnął się nieco i zmierzył swego rówieśnika badawczym wzrokiem. Olek czekał.

— Tak — zawołał Jędrzek — nazywam się naprawdę Duszka.

— Duszka... A może my bratańcy, hy? A to ci dopiero: Same Duszki...

— Ja Aleksander Plecionka — zaznaczył Olek z wielką godnością. — Słuchaj, Jindrzik: a nie masz w waszej wsi jakiego Plecionki? Aleksandra?

— Wieś? U nas wieś mała. Wszystkich tam znam. Są tam Wrazidły, Kamczyki, Żaczki, Kopcie i Cebula — żołdak, który skądś z świata przywędrował. A my, Duszki, mieszkamy sami, niedaleko za ową groblą. My nawet z Opola rodem. Ślachta — jak mówią nasi pan ociec. Byli tam za młodu skrybą księcia Mikołaja. Słyszeliście o nim? Nie? W Nysie na rycerskim zjeździe podstępnie oskarżony, zginął pod mieczem katowskim. Ociec mój rany za niego odnieśli. A wy?

— Mój ojciec jest górnikiem w kopalni... — rzekł Jędrzek.

— Górnikiem? — zapytał Jindrzik pełen zdziwienia.

— Kopie węgiel w ziemi, czarny węgiel do palenia... — tłumaczył Jędrzek pobieżnie.

Jindrzik słuchał tego z niedowierzaniem, potem kręcąc wciąż głową jakby nic z tego nie rozumiał, rzekł jednak lojalnie:

— Insze snadź w waszych stronach goszczą obyczaje, hy? I ta mowa u was insza, i odzienie jakoweś onakie, i... cizemki w lecie na nogach, a jeszcze na dodatek jakoweś pun-czoszki...

I Jindrzik począł się śmiać do rozpuku, a wtedy Olek, zarażony jego wesołością, wybuchnął takim samym śmiechem. Podziałało to również na bardziej spokojnego Jędrka. Śmiał się, aż łzy mu wytrysły na lica. Kiedy wreszcie minął ten prawdziwy paroksyzm śmiechu, Jindrzik osuszył rękawem oczy i przemówił tonem w pół żartobliwym, w pół poważnym.

— Pra, węgiel... U nas są węgle, z drzewa je w mielerzach wyprażamy, by w nich kowal mógł zielazo kuć. Pójdź no ten drugi haw. A twój ociec?

Ta rezolutna indagacja zmieszała Olka. Powtórzył kilka razy ojciec, ojciec, a potem opuścił się do trawy. Splótłszy ręce na kolanach zapatrzył się gdzieś bardzo daleko. Obaj Duszkowie usiedli obok niego z oczyma utkwionymi w jego ciemniejących oczach. Jędrkowi zdawało się, że Olek, zawsze wesoły, zawsze pogodny, marudzi z odpowiedzią, bo nie chce wypłoszyć ze siebie stałego mieszkańca jego duszy: radości.

Jindrzik ściszył współczująco głos.

— Nie masz ośca, hy...

— Niece... Mam wujka, który się mną opiekuje. Jest bardzo dobry. Kocha mnie jak syna. Ale wolałbym, żeby to był prawdziwy ojciec. Choćby mnie nawet bił i poniewierał...

— Opowiedz o wszystkim.



Olek spoważniał jeszcze bardziej. Jędrzek obserwował go dokładnie. Wydało mu się nagle, że stan przyjaciela klóci się z jego wrodzoną potrzebą wesela i radości.

— Nie miałem więcej niż rok życia — rozpoczął. — Rozumiesz? A on poszedł jednego dnia do roboty i nie wrócił...

— Pewnie zbójcy targnęli się na niego.

Olek zaprzeczył głową, a w oczach jego malowała się coraz większa dziecięca bezradność. W końcu był to tylko smutek.

— Pracował w kopalni. Rozumiesz?... A wtedy przyszła straszna wojna. Mój ojciec zaginął pierwszego dnia. Nikt nie wie, co się z nim stało, nikt go też nie widział. Szukali później w kopalni...

— Mój roztomiły Alku — przerwał mu Jindrzik — oświećże mnie, co to po waszemu kopalnia.

— Oo, to strasznie wielkie chodniki głęboko w ziemi. A ryją je ludzie jak krety. I wykopują bez przerwy, dzień i noc, węgiel. To taki czarny kamień, który się pali.

Teraz Jindrzik potrząsał głową ze zdumienia. Nic z tego nie rozumiał. I byłby pewnie dalej pytał, gdyby spod lasu nie wydarł się głośny krzyk.

— To Gorazd, mój młodszy brat — rzekł Jindrzik i skoczył na nogi. — Coś się musiało stać. Pasiemy tam krowy. Nanosiłem wielkich głazów i piec z tegośmy zrobili. Roznieciłem jeszcze ogień, a potem polecałem, żeby coś upolować. Gooraazd... Gooraazd... Tum jest.

Wszyscy trzej zaczęli wpatrywać się w kierunku wskazanym przez niego. Na polance widać już było jakiś ruch. Kotłowała się trawa. Wreszcie wyskoczyła z niej rozpalona głowa chłopaka ubranego tak samo jak Jindrzik. Wrzeszczał on bez przerwy i wymachiwał ramionami jak wiatrak skrzydłami.

— Gorazd, co cię opętało? Gorazd!...

Gorazd już ich spostrzegł. Był nieco mniejszy od brata, ale równie śmigły i zgrabny. Przede wszystkim zauważył obcych i to zahamowało jego kroki. Wrósł w trawę i przysłonił oczy daszkiem dłoni. Opamiętał się jednak szybko i wrzasnął rozdrażnionym głosem:

— Wracaj zaraz!

— Czemu?

— Czarna opoka ogniem płonie.

— Która?

— Ta coś ją przyniósł na piec. Żar taki straszny, że mnie mdli. A woń jak oddech piekieł. Prędko, bo się lękam...

— Czemu?

— Bo się wszystko żarzy. Ziemia zajęła się ogniem.

— Ziemia?

— Cały pagórek się pali. Opoka gore! Oćcowy bór gore!...

Chłopcy spojrzeli po sobie jakby się naradzali oczyma, potem bez wezwania puścili się za Gorazdem, który wyprzedził ich o spory kawał drogi. Gdy dobiegali do lasu wznoszącego się śmiało ku górze, poczuli dziwny swąd, a zaraz potem zauważyli, że wzdłuż rudej palisady sosen rozczapierzał się siwy dym. Lekki wiaterek popędzał ów kłębiący się obłok ku zielonym strzechom drzew.

Jindrzik zahamował bieg chłopców podniesieniem ręki. Potem przesunął łuk na plecy i oglądać począł bez słowa ciekawe widowisko. Kilka czerwonych płomieni podskoczyło na kształt węży do góry. Na twarzy Jindrzika pojawił się wyraźny niepokój. Jędrzek pierwszy odgadł, jakie niebezpieczeństwo grozi lasowi, okolicy i ludziom. Krzyknął donośnie:

— Trzeba gasić!

Olek pojął w mig intencję przyjaciela. Porwał z ziemi kapelusz Gorazda i popędził za Jędrkiem do rzeczki. Jędrzek chlustał na ogień wodę z drewnianego cebra, który znalazł niedaleko ogniska, a Olek wylewał naraz całą zawartość głębokiego kapelusza na syczące,

eksplodujące co chwila i żarzące się węgle.

— Gorazd, czego stoisz? — krzyknął Jindrzik.

— Jeszcze, jeszcze — zachęcał Jędrzek przyjaciół.

Pozostało wreszcie smętne pogorzeliisko, z którego unosiła się już tylko para wodna, ale i to oblano dodatkowymi porcjami wody. W końcu zmęczeni, zziębnięci chłopcy usiedli na trawie. Jindrzik ocierał spoconą twarz starym kubraczkiem.

— Teraz dopiero wiem — rzekł — że to węgle, a nie skała. Alek, czy takie węgle kopią wasi... górnicy?

— Takie.

— To ci dopiero łakomy smok, pożarłby wszystko, nawet by ziemię strawił. Taki dopiero przydałby się kowalom.

Wkrótce Jindrzik rozpalił nowe ognisko przy pomocy krzemienia i hubki. Na rożnie znalazł się dziki królik upolowany jeszcze rano przez Gorazda. Widok niezwykłych przygotowań rozjaśnił oblicze Olka; strząsnął ze siebie chwilową apatię i pochwycił rożen. Ale Jindrzik, który tylko w czasie niezwykłego pożaru stracił zwykłą przedsiębiorczość, objął tutaj znowu rolę przewodnika. Przydzielił czynności pieczenia Gorazdowi, któremu na dodatek pozostały jeszcze krowy, a sam pociągnął swego imiennika i Olka do bliskiego lasu. Olek palił się do polowania, tymczasem chłopiec miał zupełnie coś innego na myśli. Stał bowiem przed wielkim drzewem i podniósł swoje błękitne oczy do góry. I wtedy Olek zobaczył coś dziwnego.

Na starej, łuszczącej się sośnie, widniały w odstępach około dwóch metrów, trzy dziuple wyżłobione prawdopodobnie rękami ludzkimi. Z tych otworów wylatywały jak z działek szybkostrzelnych trzy złote pociski, które przekształcały się w obłoczki brzęczących owadów. Były to po prostu barcie dzikich pszczół.

— Oto leśne ule — rzekł krótko Jindrzik. — Smakowita, majowa w nich słodkość.

— Rozumiem — odparł tak samo rzeczowo Olek.

Ale Jędrka, śledzącego z uwagą wielką sosnę, uderzyły inne urządzenia przy niej. Powyżej dzikich uli, na silnym konarze, wisiały powrozy z ławeczką i kłodą, krótką a tępą.

— Jindrzik, Jindrzik — zapytał — po co to?

— Hy? Człowiek to zmyślne stworzenie, chytrzejszy od najmądrzejszego zwierza. Wiecie, chociaż tu już ludzkie siedziby, ale leśny król zapędza się niekiedy do nas.

— Kto?

— Ślachetny miś. Włazi ci tedy do ula i wygarnia miodek. Ale w swojej łapczywości niszczy przy tym cały rój. Widzisz: kłoda mu przeszkadza. On wali pięścią w nią, a ona mu oddaje w dwójnasób. Tedy on coraz wścieklejszy bije jak taran, a kłoda miodokrada młóci z taką ochotą, aż on w końcu urywa się niby szyszka na ziemię.

Chłopcy poczęli się śmiać, ale Olek uciął i postawił stopę w skarpetce na krótki kołek wystający z pnia. Jindrzik udał śmieszne przerażenie, potem skoczył w krzewiny i wrócił z drabinką, skleconą przez bartnika byle jak. Kiedy Jędrzek dopasowywał ją do pnia, Jindrzik przyniósł z tego samego schowka gliniany garniec i skórzany worek do podkurzania pszczół. W końcu wsadził na rozwiane włosy Olka worek z okrągłym sitkiem na twarz.

— Podkurzaj mocno — radził Jindrzik — potem wyciągnij czop, wraz zaś rękę w rękawicy do ula, bo inaczej by pogryzły. O, patrzcie: psiawiara już pilnuje.

Olek był już na drabinie, lecz spojrzał również w kierunku ręki Jindrzika. Na gałęzi siedział niebiesko-żółty ptak obserwujący pilnie poczynania chłopca.

— Żoła — rzekł Jindrzik podstępnie ścisłym głosem i sięgnął do kołczanu. — Wróg pszczółek. To ona towarzyszy niedźwiedziowi w jego ucztach...

Strzała zafurkotała, ale żoły już nie było. Tymczasem Olek wykonywał polecenie Jindrzika bardzo skrupulatnie. Pszczoły usuwały się inwazji gryzącego dymu zrazu posłusznie, potem coraz niechętniej. Zdawało się, że wszystko pójdzie ustalonym przez bartników

trybem, odskoczył bowiem czop, zabezpieczona ręka Olka dotarła do wnętrza barci.

— Podkadzaj lepiej — wołał Jindrzik — bo cię zjedzą!

Olkowa głowa tonęła w chmurze huczących i rozwścieczonych pszczoł. Miejsce przy wylocie ula zamieniło się w plac boju. Pszczoły atakowały, Olek bronił się wymachiwaniem rąk.

— Spokojnie — dyrygował znowu Jindrzik — nie miel rękami, bo je bardziej rozjątrzasz.

Co znaczą rady dla tonącego na głębinie? Olek ginął. Jędrrek cofnął się, żeby nie być przedmiotem szturmujących zewsząd pszczoł, ale gdy stąd ujrzał opresję Olka, zakrył oczy, by nic już nie widzieć. Nagle Olek ryknął jak niedźwiedź ugodzony kłodą, spadł garniec rozbijając się w kawałki, spadła pszczela kadzielnica, stoczył się wreszcie i Olek na ziemię. A tak jak magnes przyciąga żelazo, nieszczęsny przysssał za sobą tuman brzęczących nieprzyjaciół. Olek ryknął jeszcze raz, fiknął koziołka, potem rzucił się do ucieczki. Nie spoczął pierwej, aż zanurzył się w Leśniówce. Cały.

— Olek — wołał Jędrrek.

Na tafli wody pojawiło się kilka bulgocących pęcherzy, po chwili Olek wystawił głowę z workiem.

Jindrzik zaśmiewał się do łez, pozbierał wszystko to, co pogubił Olek i ruszył do swojej barci. Chłopcy wrócili do ogniska, które rozsiewało tak apetyczne wonie, że się Olek zwiżył z pragnienia, by je należycie powitać. Gorazd upiekł już swego królika, a na miedzianej patelni smażył się duży karp. Dzielny pastuszek podał nieśmiało kawałek razowego chleba, Olek wyciągnął pierwszy rękę po tę pajdę. Wtedy Gorazd zagapił się tak jakoś dziwnie na Olka, że ten zapytał:

— Ja jestem Olek Plecionka, rozumiesz?

Na to chłopiec zaczerwienił się jak burak, bełkotał coś, tłumił w sobie, potem zaczął się niepowstrzymanie śmiać. Olek się rozgniewał.

— Dlaczego on tak beczy? — zapytał.

— Jesteś spuchnięty, tylko widać ci małe szparki oczu — rzekł Jędrrek.

— Wielkie rzeczy, grunt że mam apetyt.

Gorazd poleciał do krów, a Olek zaopiekował się pieczenią i karpem. Ukruszył drapieżnie nogę królika i począł ją chrupać z wielkim zadowoleniem. Jędrrek wahał się, miał skrupuły w stosunku do gospodarzy, ale przyjaciel — nie troszcząc się zresztą zbytnio o niego — rozgrzeszył się usprawiedliwieniem, że śniadanie było dla nich przygotowane.

— Ej, pojadł sobie człowiek — westchnął — ale mam jeszcze ochotę na tego karpia. Jędrrek skocz no za Gorazdem, niech nam przyniesie parę ziemniaków. Lubię rybę ze ziemniakami.

— Co ci do głowy strzeliło? Skąd ci kto weźmie ziemniaków?

— A z domu.

— Olek, Amerykę — ojczyznę ziemniaka, odkryto dopiero w roku 1492.

Olek mrucał jeszcze coś o głupich porządkach na świecie, ale robił to z przyzwyczajenia, bo codziennie w domu wysłuchiwał utyskiwań swego starego wujka. Z prawdziwą przyjemnością wyciągnął się w trawie, podparł ręką brodę i rozmarzył się na całego. Słońce przygrzewało gorliwie jego mokre ciało, stąd wkradła się do niego pewna senna ociężałość. Dobrze, że zjawił się Jindrzik. Szedł ostrożnie niosąc w każdej ręce brzozowy kubek z miodem, w pewnym oddaleniu postępował wolno, jakby się skradając, Gorazd. Olka wzruszył widok gościnnego Duszki. Podniósł się wpół i odebrał kubek z kory ociekający pszczelim nektarem.

— Hura! — krzyknął. — Niech żyje odkrywca węgla!

— Wągli — poprawił Jindrzik, a oczy jego pękały ze śmiechu na widok baniastej twarzy Olka. Tym razem jednak zdusił wesołość w sobie, odwrócił się i zabrał do jedzenia.

Jędrzek poszedł jego śladem, Gorazd zaś porwał swoją porcję i uciekł z nią do krów.

Duszkowie położyli się następnie obok Olką, z którego mokrych szat słońce wytrząsało resztkę wilgoci. Ogarnęła wszystkich błoga senność. Olek pierwszy zasypiał, ale na progu sennych widziadeł wypowiedział jeszcze takie słowa:

— Jindrzik, popytaj się po okolicy, czy nie ma tam gdzie jakiego Plecionki. Aleksandra Plecionki.

## GOTTLIEB MEYER NIE JEST SKARBNIKIEM

Było piękne niedzielne popołudnie. Wielka stożkowata hałda miała dziś kolor granatowy, a szerokie pola ciągnące się aż po Odrę, jaśniały tak świątecznie radosno, że udzielało się to patrzącym. W Szarej Wsi brzmiała gdzieś równie nastrojowa melodia, przedostawała się ona do grupki osób siedzącej na ugorze. Był to oczywiście Piotruś Wałęga ze swymi przyjaciółmi. On, zarażając się ogólną wesołością Szarej Wsi, wydobył piękne organki i począł na nich przekształcać hałaśliwą radość miasta na tęskne piosenki swojej wsi.

— Proszę pana — odezwał się Olek — a co panienka?

Piotruś odłożył organki, a po jego obliczu przemknął jakby promień szczęścia.

— Krysia? — rzekł z lekkim uśmiechem. — Wygłasza dla mnie mowy obrończe. Łagodzi moją opinię zmyślacza. Opowiedziałem kiedyś kierownikowi, może trochę lekkomyślnie po tych historiach karbońskich, o swej pierwszej przygodzie podczas podróży do Szarej Wsi. Pamiętacie?

— Wiem: jazdę na kolejowych zderzakach — śmiał się Jędrzek.

— Właśnie to. Przytoczyłem więc wasze domysły...

— Olkowe... — sprostował Jędrzek.

— Pan Badura śmiał się do łez z jazdy na buforach, choć jej przecież nie było. Ale zrobił już z tego autentyczną przygodę. — W kopalni wszyscy lubią się śmiać. Podawał ją jeden drugiemu...

— Więc pan, który opowiadał rzetelną prawdę, stał się zmyślaczem, a oni skręcając ją według swego widzimisię są prawdomówni! Ale tacy są — niech się pan nie gniewa — wszyscy dorośli. Zwierzyłem się wujkowi, że widziałem w Leśniówce szczupaki i tłuste karpie. Jednego nawet usmażyliśmy w maśle na patelni. Chrupaliśmy go ze smakiem. To on wtenczas zwrócił się do mojej mamy i kreślił kółka na swoim czole...

— Noo... Olek. To już wyraźna przesada. W tej mazi nie ma przecież życia. Pokpiwałeś sobie z wujka, nie ma co mówić.

— Jak to, pan nie wierzy? Jędrzek!...

Jędrzek jednak milczał, spuścił oczy i nie reagował na „rewelacje” Olka. Otrzeźwiło to nieco zapalczego bazarza i począł się nieznacznie wycofywać. Jędrzek pragnął sprawę zatrzeć jednym zamachem. Rzekł więc:

— Piotruś, mów jak cię broniła Krysia. Myślę, że bardzo dzielnie.

— Tak, tak, bardzo dzielnie — odparł zagadnięty z goryczą w głosie. — Powiedziała: „wszyscy zmyślacie, tylko robicie to niezdarnie, a pan Wałęga robi to tak, że słuchamy go wszyscy z zainteresowaniem.”

Olek trącił nagle Jędrka i pokazał mu wzrokiem człowieka, który zbliżał się z psem od dalekich pól.

— Skarbnik — szepnął. — On. Zobacysz, że znowu usiądzie naprzeciw hałdy i będzie ją połykał oczami. Jędrzek, przysięgam, że go pożera tęsknota za kopalnią.

Piotruś nie miał nic więcej do powiedzenia. Grał dalej, ale jego piosenki gubiły coraz więcej pogodnych nut, w ich miejsce zaś wkradły się tony tęskniejsze, a nawet smutne.

— Piotruś — szepnął Jędrzek, który odgadł stan jego duszy — nie myśl o Czeluśnicy. Spójrz, u nas też ładnie. A gdybyś widział...

Urwał. Zobaczył bowiem w wyobraźni Jindrzikową, leśną krainę. Pomyślał, że jego młody wujek czułby się w niej dobrze. Rozkochałby się w jej surowym pięknie. Młody człowiek jakby go przeniknął, uśmiechnął się bowiem do niego serdecznie. Potem przerwał granie, ziewnął i przeciągnął się prostując jak świeca. A wtedy właśnie spostrzegł Olkowego Skarbnika.

— Przecież to nasz stary znajomy.

— Tak — powiedział Olek tajemniczym głosem — On, proszę pana. Skarbnik. Kopalniany Matusz.

— Iii, Skarbnik. Pracuję już od kilku tygodni w kopalni, ani razu go nie widziałem. I nikt z moich znajomych o nim nie słyszał.

— Właśnie. Proszę pana, bo pan go nie poznał. Tak. On najczęściej przyjmuje na siebie postać sztygara, kogoś z dozoru. Panu się będzie wydawało, że pan rozmawia z sztygarem Kozielskim, a to On. Niech się pan zapyta Jędrka. Musiał włożyć na oczy ciemne okulary, tak raziło jego oblicze.

— No, to ja ci, Olek, pokażę, że się nie spalę. Pójdę do niego bez okularów.

— Ale niech mu pan nie podaje ręki, bo nas pan już nigdy nie zobaczy. Nie, niech się pan nie śmieje, proszę pana. Mówię przecież poważnie.

— Właśnie, że się z nim przywitam.

Piotruś dopadł kilkoma susami drogi i jął się zbliżać do Skarbnika zamaszystymi krokami. Olek wpił się całą duszą w obraz, jaki się przed nimi rozwijał. Technik Piotruś zatrzymuje się przed nieznanym, pozdrawia go grzecznie, podaje mu rękę, rozmawia. Pies, patrzcie, patrzcie, merda ogonem, wacha jego spodnie, a wreszcie odsuwa się jak ktoś, kto stracił całe zainteresowanie w rzeczy pospolitej, powszedniej. Skarbnik i jego rozmówca siadają na dwóch głazach, które kiedyś uroniła hałda. Gestykują i rozmawiają jak najlepsi przyjaciele.

— Jędrzek — powiedział Olek ze zgrozą — choćbyś mnie zabił, nic z tego nie rozumiem. Nic mu się nie stało...

— No bo na pewno się pomyliłeś. To taki człowiek jak my.

— Nie. Wiesz, co mi teraz do głowy przyszło? On naprawdę nie jest szkodliwy, On jest bez mocy. A dlaczego, jak myślisz?

— Nie próbuję nawet odgadnąć, bo przestaję wierzyć w Skarbnika.

— Jędrzek, On jest odcięty od kopalni, która dawała mu życie. Moc. Rozumiesz? Przecież pamiętasz, co mi powiedział: Gdy-bym wiedział, com kie-dyś niósł w le-wej rę-ce, od-na-lazł-bym dro-gę do praw-dzi-wych skar-bów. Słyszałem lub też czytałem już takie historie.

— Olek, ale te wszystkie historie to najzwyczajniejsze bajki, nasz Skarbnik też.

— Nie przekonasz mnie. A lampa? Sztolnia?... Przecież stamtąd właśnie Skarbnik wyszedł.

Jędrzek nie odpowiedział. Były to naprawdę trudne pytania, i wątpić należało, czy był człowiek, który by umiał na nie odpowiedzieć. Leżeli więc w milczeniu i przeżuwali myśli, które przeradzały się w zagadnienia. Przyglądali się nieuważnie Piotrusiowi przedkładającemu coś żywo swemu nowemu znajomemu. Widzieli psa kręcącego się po stoku hałdy i skaczącego z kamienia na kamień. W duszy Olka dojrzywał nowy problem.

— Jędrzek?

— Mów.

— Myślałem, że śpisz. Do późna w nocy rozmyślałem, czy Jindrzik nauczył się czegoś z tamtego pożaru. Przyszło mi to dopiero później do głowy. Można mu było poradzić co z

węgłem robić.

— On to na pewno zrobi.

— Nie bądź taki pewny. Nie wie, jak się węglem pali. Nie wie, że z niego doskonały koks. Nie wie, że daje gaz świetlny... Rozumiesz?

— Nie wie, że z smoły pogazowej otrzymać można farby anilinowe, nie wie, że w niej zawarte są perfumy, lekarstwa...

— Nie drwij, bo ja na jego miejscu wiedziałbym wszystko.

— Olek, zastanów się: nie w tym czasie, w którym żył Jindrzik.

— Zresztą, po co suszyć sobie tym głowę. Zróbmy znowu ten skok z lampą. Muszę przecież wiedzieć, co Jindrzik uczynił z węglem.

— Dowiedziałeś się już, że latarka ma swoje kaprysy. Wczoraj nie reagowała zupełnie. Może Piotrusia przywołać do rady?

— A jak ją nam zabierze?

— Ej, nie. Nie poznałeś jeszcze Piotrusia? A poza tym wie on bardzo dużo, mógłby nam pomóc w zrozumieniu wielu rzeczy. Ustaliłem już miejsce, w którym węgiel się zapalił.

— Tam, gdzie jest Strapiciel. To jasne.

— Nie wiem. Piotruś rozstrzygnąłby to zaraz.

Naradzali się dość długo i potem Jędrzek znikł tajemniczo z ugoru. Ale teraz już żywa natura Olka groziła wybuchem, nie znosił bowiem długiego bezruchu. W lekkich hopszańcach zbliżył się do hałdy, a potem wyrósł nagle przed psem Skarbnika. Obaj: chłopiec i pies podnieśli głowy badając się nieufnie, następnie pies obalił nagle barierę uprzedzeń Olka i podszedł do niego. Wobec takiego dowodu dobrej woli Olek skapitulował.

— Pst, pst — wabił. — Kochany Psiutek. Nie widzisz, że cię lubię?

Gdy tę obopólną sympatię przypieczętować miało podanie sobie łapy i ręki, Olek doznał jakby wstrząsu. Niech to diaski! A jeśli ów czworonóg nie jest prawdziwym psem, ale zaklętym górnikiem? Cofnął więc rękę i zapytał przyciszonym, a wyraźnym głosem:

— Czaru maru, czy słyszysz mnie, zaklęta duszo chrześcijańska? Czaru maru, wzywam cię, abyś przemówiła swym prawdziwym głosem.

Pies słuchał uważnie, a Olkowi stawały dębem włosy, gdyż wydawało mu się, że przemówi ludzkim głosem. Ale w końcu wydobyło się z jego zziąjanego pyska poczciwe: hau, hau. Na to chłopiec wyciągnął wreszcie rękę. Po tym formalnym akcie przyjaźni nastąpiła wesoła zabawa. Pies przysiadł, atakował. Olek udawał, że się przeraża. Cofał się i z kolei on ruszał naprzód. Teraz pies stosował taktykę chłopca. W czasie tych utarczek Olek przewrócił się na swego przyjaciela. Rozległ się przeraźliwy pisk. Odpowiedział mu na dole donośny krzyk. Olek, zawsze przytomny i szybki, tym razem nie zdołał umknąć. Nad nim stał wysoki, szczupły człowiek, dyszał od biegu i pewnie dlatego milczał. Obok przemówił Piotruś Wałęga.

— Nic się nie stało, przygniótł go niechcący.

Pies zapomniał już o bólu, łasił się do Olka i zapraszał nowymi przysiadami do dalszej gonitwy. Wtedy dopiero chłopiec odważył się podnieść. Łypał jednak oczami w bok szukając drogi do ucieczki. Przy tym spotkał się niespodziewanie oko w oko z Skarbnikiem. „Duch kopalni” miał rzeczywiście siwusięńkie włosy, zroszone potem czoło, łagodne, smutne oczy i dobrotliwy uśmiech. Wtedy Olek porzucił myśl o ucieczce, nie cofnął się nawet, gdy Skarbnik objął go wpół i przycisnął do swego boku.

— Wiem, że stało się to nienaumyślnie — rzekł — ale zawsze gdy usłyszę jego płaczący skowyt, serce mi się ściska. On biedny. A jest mi taki wiemy. Kochaj zwierzęta tak, jak je dotąd kochasz.

— Przekonałeś się sam, że to nie Skarbnik — rzekł Piotruś z wesołymi błyskami w oczach. Nie spaliłeś się na proch i nie przybyło ci lat.

— No niby tak, proszę pana. Ale sam widział, że był w sztolni, w której znaleźli-

śmy lampę.

Gdy to mówił, zjawił się właśnie Jędrak. Szedł wolno i krył coś za swoimi plecami, a potem usiadł tak, by tajemniczego przedmiotu nie spostrzegł zwykle bardzo bystry wujek. Piotruś kołysał się lekko na nogach śledząc „Skarbnika”, który wolno docierał do Szarej Wsi.

— Co ze Skarbnikiem? — zapytał Jędrak.

— Wiecie jak się nazywa? Gottlieb Meyer. Widziałem jego dowód osobisty.

— Więc nie jest Skarbnikiem — wtrącił Jędrak prawie rozczarowanym głosem.

— Niemiec...

— Nie, nie Niemiec. Ale przywędrował z Niemiec. Wyobraźcie sobie, że przemierzył całą tę drogę do Polski pieszo. Był tam przez całą wojnę u gospodarza. Potem pracował w fabryce. W końcu tak zatęsknił do Polski, że porzucił wszystko i ruszył do kraju.

— Ale dlaczego szedł pieszo?

— Tego mi wyraźnie nie wytłumaczył. Był ranny podczas wojny, ciężko ranny w głowę i od tego czasu zapomniał wielu szczegółów z własnego życia. Powiedział mi, że w swojej długiej pielgrzymce do ojczyzny podejmował pracę w różnych miejscowościach, najchętniej przemysłowych, gdyż wrosły mu jakoby w serce. No i przed dwoma tygodniami przybył do Szarej Wsi. Pracuje u ogrodnika...

— Grzeni...

— Może. I oto macie waszego Skarbnika. Biedny człowiek i tyle. Skończyła się więc przygoda. Lampa również przepadła... Znikła na zawsze.

— O nie — zaprzeczyli naraz obaj chłopcy.

W rękę Jędraka kolebała się górnicza lampa. Piotruś krzyknął i porwał ją w swoje ręce.

## PIĘĆDZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ

Znaleźli się znowu na tej samej polanie, ale pora roku zawitała tutaj inna. Po jesiennej otawie rozpościerała się na wielkim oku leśnym fioletowo-zielona szczotka trawy, jednak bez kwiatów, bez wspaniałego ornamentu barw i woni. Inaczej też wyglądały lasy. W przeciwieństwie do polany panowało tam takie bogactwo kolorów, że nie można było od nich oczu odebrać.

Nie temu wspaniałemu obrazowi przyglądał się Olek. Wypatrywał naokoło żywych stworzeń. Nie było ich jednak nigdzie. Za to z dali, gdzie spodziewać się można było chałupy, dochodziło rytmiczne klaskanie cepów. W końcu chłopiec spostrzegł pod lasem małe plamki krów. Jędrka pociągała inna strona. Było to miejsce, w którym ongiś gasili pożar. Parł więc naprzód zostawiając za sobą Piotrusia. Jedyne techniki stąpał bez celu. Był tak oszołomiony oryginalnością krajobrazu, jego niezwykłą szatą jesienną, a przede wszystkim raptownością przemian otoczenia, że nie wiedział, w którą stronę obracać oczy.

— Olek, Olek krzyczał Jędrak — pędzej!

— Lecę! Jędrak, rozglądam się za Jindrziem...

Stali przed wzgórzem, w którym czarny loch wgrzył się do środka ziemi. Dawniej nie było tu dróżki, dziś wiła się, zaścieniona wielką ilością okruczków węgla. Były też głębokie ślady kół, co dowodziło, że zajeżdżały tu wozy pod samą żyłę węglową, by opuszczać ją później z czarnym urobkiem.

Piotruś wydobył mały szkicownik i zaczął porównywać szczegóły polany z rysunkiem na papierze.

— Tak — rzekł wreszcie — to wasz Strapiciel. Wyłom znajduje się w tym samym

miejsu co sztolnia.

— Proszę pana — odezwał się Olek — ale tej dziury tutaj nie było. Nawet nikt tego węgla nie zadrasnął. Jindrzik brał tylko luźne kęsy.

— Wprawdzie węgiel w Jindrzikowych czasach nie miał prawdopodobnie wielkiego popytu, ale z tej dziury czerpano na pewno kilka ładnych lat, albo nawet dziesiątek lat...

— Coo?

Piotruś nie odpowiedział, bo ciszę polany zakłóciło skrzywienie wozu. Na horyzoncie pojawiły się najpierw konie, potem kiwający się wóz z woźnicą. Koniki były szare, małe, a chłop na wozie wielki, brodaty. Włosy i ponure brodzisko przyprószone były szronem starości. Jednak spod krzaczastych brwi wymykały się ciekawe i wesołe spojrzenia. Na widok nieznanym mu ludzi począł ściągać lejce.

— Prr... A czego tam?...

Były to jednak tylko pozornie słowa gburowate, ton bowiem był ciepły i życzliwy. Toteż Olek, który od razu wysunął się na przewodnika grupy, zapytał:

— Gospodarzu, szukamy dwóch pastuszków: Jindrzika i Gorazda Duszków. Są w tym wieku, co my.

— Jindrzika? Jam przecie Jindrzik Duszka. Syn mój, Jindrzik ma czterdzieści roków, a wnuk Jindrzik osiemnaście.

— Niedawno temu gasiliśmy tutaj pożar. Węgiel się palił.

— Ładnie mi to niedawno. Będzie już przeszło pięćdziesiąt roków temu. Pamiętam to dobrze. Miałem wtedy piętnasty rok, a teraz wnetki siedemdziesiątka na moim karku.

— To niemożliwe.

— Jak to: niemożliwe... Przecie was obu pamiętam. Tyś przecie Alek...

— ...Plecionka.

— A on mój imiennik: Jędrzek. Jedno mnie dziwi: niceście nie urosli, niceście się nie postarzeli, podczas kiedy mnie przybyło i ubyło... Przybyło starości, a ubyło młodości. Aleć pono takie rzeczy się zdarzają na świecie. Kamczykom we wsi urodził się synek, który przestał rósć w dziesiątym roku życia i taki ci został do dziś...

— Nie, nie... — dziwił się Olek — nie poznałbym was, Jindrziku.

— Alek...

— ...Plecionka.

— Dycie wiem. Pamiętasz, jak cię pszczołki przygnały do Leśniówki?

I Jindrzik wybuchnął dawnym, młodzieńczym śmiechem. Olek zawtórował mu jak rozbrykany żrebak, wtedy Jędrzek i Piotruś również się roześmieli.

— Ach, Jindrzik — zawołał Jędrzek z oczyma pełnymi zdumienia, a również i odrobinę jakby uwielbienia.

Pchnięty tym właśnie uczuciem rzucił się w ręce Jindrzika, a on przycisnął go do siebie i pocałował w czoło.

— A to mój wujek, Piotruś Wałęga — rzekł pokazując na młodego człowieka stojącego na uboczu. — To on właśnie kopie ten oto węgiel.

— Hy? To niech go Pan Jezus ma w swojej opiece. Bo ciężki pewnie ma żywot z powodu tego czernidla ze swymi bliźnimi. Com nie przeżył z ową opoką!... Gdym wtedy te węgale odkrył, przyniosłem je do domu, aby nimi palić w piecu. Czulem się jak moguncki Gutenberg, co księgi czcionkami rozpowszechniał. Ale pani matka wszystko z pieca wyciepała i jeszcze ofuknęła, że czarcią smołą chałupkę zapaskudzamy. Ale co wam tam będę prawił, kiedy węgale mi trzeba brać i jechać dość daleko. Jak chcecie, to mi pomóżcie.

Wóz zatoczył łuk i podjechał tyłem do „kopalni” węgla. Jindrzik pochwycił spiczastą motykę, podobną nieco do kilofa i począł umiejętnie kruszyć czarną skałę. Przygodni pomocnicy wrzucali urobiony węgiel na wóz.

— Jindrzik — zapytał Jędrzek — a ludzie jak przyjęli twój węgiel?



— Iii, jak to ludzie. Człowiek wystrzega się nowych rzeczy jak diasek święconej wody. I nic ich nie przekona. Wołą drzewo. Moja żarnota, jak powiada Gorazd, to pocziwe skali-sko. Żeby to ludzie wiedzieli, ile w nim się kryje ciepła. Ale oni powiadają: „z piekła rodem”, „diabelskie łajno”, „Wyziew piekieł”. Wtedy, przed półwiekiem, zbudowaliśmy z Gorazdem piec tak przemyślnie, że przykry dym uchodził w powietrze, a na glinianym przypiecku suszyliśmy płonki, borówki, grzyby bez uszczerbku dla ich smaku. A pani matka nie poznali, że na piekielnym kamieniu przyprawione.

Niewielka furka napełniła się dość szybko węglem. Jindrzik otarł rękawem pot z czoła, potem rzucił na wóz motykę i worek z sianem.

— Heda — zawołał — jeśli macie ochotę, to siadajcie. Pojedziemy do moich znajom-ków z węgłami. Obaczycie, jakie to Jindrzik bogactwo zbiera za swoją żarnotę.

Piotruś usadowił się obok Jindrzika, który ujął już lejce w swe twarde ręce, a chłopcy — nieco umorusani — wdrapali się na węgiel i położyli na worku z sianem. Małe, dzielne koniki ruszyły naprzód, a wóz trzeszcząc kolebał się na miękkim podłożu.

— Jindrzik — zawołał Olek — a pytałeś się o Plecionkę? Pamiętasz? Czy gdzieś w okolicy mieszka jaki Plecionka? Aleksander Plecionka?

— Oj, nie ma, Alku. Z plecionki tylko koszyki mamy... Ale nie zapominam o tym.

Gładka polana uciekała do tyłu, a koła wozu toczyć się poczęły głucho w mrocznym tunelu drzew. Piotruś, który niewiele dotąd mówił, miał teraz Jindrzika blisko siebie, więc począł go „fachowo” badać o sprawy węglowe, o znajomość jego sztuki górniczej. Była ona, jak się okazało, bardzo pierwotna. Jindrzik i Gorazd używali bowiem jedynie ostrej motyki swojego pomysłu, siekiery, którą łupili węgiel raz obuchem, kiedy indziej ostrzem, wreszcie klinami.

— Z węgłami jak to z węgłami — ciągnął Jindrzik sam od siebie dalej — nigdy nie wiadomo, co w nich siedzi. My, Duszki, pierwsi pewnie zawarliśmy z nimi przyjaźń. Chytra ci to skała, a tajemnicy swojej dobrze strzeże. Aleśmy już z braćmi wymiarkowali, że można by przy jej pomocy rudę żelazną przetapiać. Braliśmy ją z bażyn i podgrzewali. Jeno trzeba by te węgle trochę przeonaczyć, żeby jeszcze więcej ciepła dawały.

— Zamienić na koks — wyrwał się Olek za jego plecami. — Koks to pierwszorzędny materiał do wytapiania żelaza.

Jindrzik spojrział na niego jak na wariata, potem wrócił do rozmowy z Piotrusiem. Tymczasem konie wydobyły już ciężki wóz z lasu i mozoliły się z nim przez dłuższy czas na miękkiej polnej drodze. Wkrótce ukazała się przed nimi szeroka kępa zieleni, a wśród niej ludzkie sadyby. Jechali obok koślawych płotów i krzywych stodół, rozmamranych jesiennymi plonami, minęli wiejską sadzawkę, po której pluskały rozkrzyczane gęsi, wreszcie stanęli przed kuźnią. Wskoczył z niej kowal w skórzanym fartuchu z objawami niepokoju na chudej twarzy.

— No, co tam słychać u ciebie, Waligóro? — rzucił wesoło Jindrzik.

— Oj, niedobrze, panie Bobrze — próbował żartować również kowal, ale dowcip jego brzmiał raczej ponuro. — Od tego czasu, jak rozpocząłem się zadawać z twoją żarnotą, ludzie przestali mnie odwiedzać. Jindrziku złoty, odlecieli do Moszczenicy. Tam kowalowi wierzą, bo im starym sposobem kuje podkowy i obręcze na koła. Dobre twoje węgle, bardzo dobre, ale przekonaj ludzi...

— Pozostałeś mi tylko ty jeden z kowali, teraz i ty odpadasz.

— Sprzysięgli się też przeciwko mnie smolarze i buntują przeciwko mnie ludzi. A powiem ci też do ucha — kowal stłumił głos i nachylił się rzeczywiście do ucha Jindrzika — że i pan fararz grzmią z kazalnicy o nowinkach i smrodach piekielnych. Niewiele brakowało, a byłiby mnie onegdaj puścili z dymem...

— Ano, to nie traćmy czasu — rzekł Jindrzik — kupuj więc dalej drogie węgle u smo-larzy, gorsze w dodatku od mojej żarnoty. Hy, boją się oni, że ich mielerze dymić przestaną, a

wtedy, mój miły Waligóro, kieski ich chude będą.

— Dyc' wiem, ale co zrobię sam wśród tej ciemnoty. Powiadają, że Strzałkę z Przysieków dymem tak zatrulo, że się ledwo z niemocy wylizał. I co im na to powiem?

— Że piece winni budować inne.

— I to im radziłem. Nie miej gniewu w swoim sercu na mnie, Jindrzik. Szczerze wszystko mówię.

— Dobrze, dobrze. Niech ci się szczęści, stary baranie, ze smolarzami. Wio, moje roztomiłe koniki!

I znowu wóz począł skrzypieć i trzeszczeć, wpadał w mocno wyżłobione koleiny, a wtedy klekotały wszystkie jego wiązania tak hałaśliwie, że się ludzie wychylali z zagród. Skoro jednak ujrzeli czarne, piekielne bryły na furce, chowali szybko głowy za węgły domów.

— I co powiecie na to? — zapytał Jindrzik głosem przyprawionym goryczą. — Tak się gmatwa sprawa węgla.

— Można by im pokazać jak się węgiel pali w piecach — odezwał się Jędrak. — Przecież szybciej gotuje się na nim strawa, mało go potrzeba, żeby było ciepło.

Jindrzik skrzywił trochę usta, potem rzekł:

— Stare nawyki niechętnie ustępują nowym. Wieki minęły, a ludziom jeszcze coś tam w głowie majaczy się z pogańskich czasów. Niełatwo wymieść ze starej izby śmieci. Hy... Przecież u siebie w domu postawiłem te nowe piece. Mają je wszystkie Duszki. Oni przychodzą do nas, oglądają, kiwają kudłatymi głowami, że dobre, naprawdę dobre. Ale po co nam ziemne węgle, jeśli Pan Bóg dał tyle drzewa, że go nie umiemy spalić. I ten Boży dar daje miły dym, a jeśli się nim nawet zakrzetusimy, to nam nie grozi marna śmierć jak po tej zarazie.

— Powinno się go prażyć na koks — upierał się znowu Olek.

Jindrzik spojrział i tym razem dziwnie na swego doradcę, potem dokończył:

— Tak, mój Duszko — pozostali mi, wstyd to powiedzieć, moi znachorzy i owczarz z Bogumina, którzy z mojej żartoty przyrządzają lekarstwa. Może i na ludzką zgubę? Kto ich tam wie! I pomyślcie, że ci sami ludzie, którzy odwracają się ze wstrętem od ziemnych węgla, biegają za paskudnymi lekami, wyduszonymi z piekielnego kamienia.

Niebawem zagłębili się znowu w las świerkowy, gęsty i mroczny, a tak pachnący żywicą, że Jędrak łykał to balsamiczne powietrze jak napój rzeźwiący. Olek wiercił się na wszystkie strony szukając w dziewiczym lesie śladów życia. Było ono jednak bardziej utajone niżli na wiosnę i lecie. Mimo to słychać było prawie nad ich głowami przeciągłe i łagodne turr turr dzikich gołębi. Gdzieś też na tych samych piętrach leśnych rozlegały się dziwne głosy ptasie zestrojone doskonale z ich gruchaniem, gdzieś tam jeszcze w brunatnym gąszczu gałęzi oderwał się olbrzymi cień i przeleciał bezszelestnie wśród leśnych filarów. Była to sowa. Gdzieś wreszcie bębnił donośnie dzięcioł.

Ta przyjemna muzyka ptasich głosów działała usypiająco, sennie też kiwał się wóz, a na domiar Jindrzik, czy to z wrodzonej potrzeby śpiewania, czy też aby zagłuszyć swe węglowe niepowodzenia, począł nucić następujące słowa:

*Moja mamuliczko,  
Cóż tak mocno śpicie?  
Mnie na wojnę zabierają,  
A wy nic nie wiecie.  
Wzięli mnie też, wzięli,  
W żelaza mnie spięli.  
Od miasteczka do miasteczka  
Tak mnie prowadzili.*

Chłopcy nie doczekali się końca piosenki, bo zachrapali już po pierwszej zwrotce. Kiwał się też do taktu wozu Piotruś, kiwał i kiwał, aż popadł w senne majaczenia. Wydawało mu się, że nagle las się zapalił. A wtedy drzewa objęła tak wielka pożoga, iż nie rozróżnił już żadnych przedmiotów w otoczeniu. Potem jasność raptem zgasła i Piotr Wałęga otworzył oczy. Siedział teraz na miedzy w nieznanym zupełnie miejscu, a obok leżeli uśpieni chłopcy.

## PRAGNIEMY ZŁUDZEŃ

Jędrak ukrywał dotąd najpilniej wspólną tajemnicę. Wynikało to jednak z jego odmiennego usposobienia. Był cichy, troszeczkę nieśmiały i — bał się niemal panicznie własnej śmieszności, choć bawiła go ona w Olkowych wyskokach. Historia ich nieprawdopodobnych wycieczek była tak niedorzeczna, że nie znalazłbyś człowieka, który by jej uwierzył. Ale tajemnica jest brzemieniem nieznośnym nawet dla ludzi o silnej woli. Wielu, chcąc się pozbyć ważnego ciężaru, powierza ją po prostu ciekawości ludzkiej. Jędrak nie cierpiał wprawdzie takich mąk jak cyrulik króla frygijskiego Midasa, który swój sekret o oślich uszach swego pana wyszeptał trzcinom wodnym, ale odczuwał również potrzebę dzielenia się tajemnicą. Powiernikiem jego stał się... pamiętnik.

— Słuchaj no — zagadnęła go matka wkrótce po jego powrocie z polany leśnej — kto to jest Jindrzik?

— Jindrzik? — Jędrak się zaczerwienił przy wydłużaniu tego imienia. Chciał zyskać na czasie. — Jaki Jindrzik?

— Jędrak, Jędrak, przecież ten z twego pamiętnika! Nie byłabym zwróciła na twój dzienniczek żadnej uwagi, ale ujrzałam go w rękach Basi. Rysowała w nim kolorowymi ołówkami. Znalazła go za deską w altance... Jechaliście na wozie: ty, Piotruś i Olek. Jindrzik nie mógł węgla sprzedać kowalom... Same niedorzeczności.

— Niedorzeczności? — powtórzył Jędrak machinalnie, a jego lica jeszcze bardziej się zabarwiły.

— Ależ tak. I ty przecież powtarzasz brednie Piotrusia o puszczy węglowej. Czyli źródłem tych bajek jest bujna wyobraźnia twego wujaszka.

— Nie, mam.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mam wam wierzyć.

Jędrak nigdy nie kłamał. Gdyby rozmowa potoczyła się w łagodniejszej formie, byłby nie odsłaniał tajemnicy, ale matka sprowokowała go do mówienia.

— Tak, to prawda.

— Prawda? — matka roześmiała się głośno, a Basia w sieni zawtórowała jej jak echo leśne. — No to ci powiem już wszystko. Piotruś przyznał się wczoraj, że ma już tego wszystkiego dosyć. Zmyślał przed Krysią, aby jej zaimponować. Nie zauważyłeś, że cały wieczór pisał liściki ze swoją spowiedzią do niej. Pisał i darł je w strzępy... Trudno blagi prostować, bardzo trudno.

Jędrak pozostał sam. Rozmyślał przez chwilę, potem skoczył na balkon. Telegraf począł błyskać w stronę szarego domku. Dziesięć minut później Olek, rozczochrany i zziębnięty jak pies, zjawił się na podwórzu.

— Pomiatasz mną jak koślawym wiechciem, Jędrak — zawołał. — Tchu nie mogę przy tobie złapać. Co się stało?

— Piotruś dalej w opałach — rzekł Jędrak. — Męczy się i nie wie co robić. A wszystko dla „tej” Krysi. Píše do niej listy, nie wysyła i drze, i nowe gryzmoli...

— Wiedziałem zaraz, że tak będzie. Gdy tylko gdzieś słyszę słowo „panienka”, wiem, że się zaczyna... Rozumiesz?

— Pewnie, że rozumiem. On chce się przyznać do... nieprawdy. Olek, pójdziemy do niej i powiemy wszystko. Piotruś nie jest kłamcą. Znam adres Krysi. Ogrodowa 16.

Olek spojrział krytycznym wzrokiem na swoje ubranie.

— Mogłeś to przetelegrafować. Byłbym sobie pożyczył stroju wizytowego od wujka. Masz zgrzebło przy sobie?

Jędrzek podał przyjacielowi grzebień, a Olek usiłował krnąbrne włosy zmusić do posłuszeństwa. Udało mu się to tylko częściowo. Jasna czupryna chłopca rozbiegała się na wszystkie strony.

— Ale co my jej powiemy? — zastanawiał się Olek w drodze do Krysi. — Że w miejscu, w którym mieszka, był wulkan? Że w Szarej Wsi spacerowały niedźwiedzie? Że w Leśniówce łapaliśmy ryby? Brr, tego nikt nam nie uwierzy.

— Olek, zależy to będzie od naszej wymowy.

— Dobrze. Nie wtrącaj się więc do naszego dialogu, bo wszystko zepsujesz. Znam cię przecież dobrze. Nie masz esencji w słowach. Poplątasz wszystko.

— Więc mów ty, bylebyśmy się przysłużyli Piotrusiowi.

Ulica Ogrodowa nosiła słusznie swą nazwę. Po lewej i prawej stronie drogi w bujnej zieleni drzew owocowych tonęły domy jednorodzinne. Tutaj też mieścił się doświadczalny ogród Grzeni, który krzyżował osobliwe rośliny na użytek Szarej Wsi. Nieco dalej znajdował się numer 16. Była to śliczna budowla z nowoczesną fasadą. Prowadził do niej chodnik betonowy strzeżony dwoma rzędami wspaniałych róż.

Chłopcy naradzać się poczęli przy furtce. Na widok wykwintnego domku pierzchła ich odwaga. Olek zdecydował wreszcie, że przeprowadzą mały zwiad dokoła posiadłości. Wśliznęli się do wąskiej ścieżki ocienionej z obu boków dwoma wysokimi żywopłotami. Nagle zielony mur ustąpił miejsca kolorowej siatce. Olek oparł się o żelazny słupek. Widoczne tu stąd było podwórze z kurnikiem. Stado kur śnieżnej białości oblegało dziewczynę z żółtą słomianką w ręku. Olek zawołał:

— Dzień dobry, proszę pani.

— Dzień dobry. Szukasz może kogo?

— Nie.

— Olek — protestował Jędrzek — przecież mamy się pytać o Krysię.

— Nie przeszkadzaj — mrucał Olek pod nosem — zobaczysz, jak zręcznie zarzucę haczyk. Trzeba być dyplomatą, mówi wujek. Czy to pani te leghorny? — zapytał głośno.

Na żywe kłębki białej waty posypał się żółty grad pszenicy. Dziewczyna roześmiała się i zwróciła do płotu. Była wysoka, piękna, a w swej czerwonej sukience wyglądała jak barwny tulipan, który zabłądził do liliowych krokusów na górskiej hali.

— Dlaczego pytasz?

— Tak sobie. A czy wie pani, że tam gdzie ruszają się pani kurki, był kiedyś wulkan?

— Domyślam się tego od paru tygodni — śmiał się coraz bardziej śliczny Tulipan.

— A na miejscu kopalni znajdowało się wielkie jezioro, w którym rosły skrzypy tak wysokie jak wieże wyciągowe.

— Skąd ty o tym wiesz? — zanosila się dziewczyna śmiechem.

— Bo tam byłem przed dwustu przeszło milionami lat.

Zdawało się, że dziewczyna umrze ze śmiechu. Jędrzek kopał Olka, usiłując go opamiętać, ale Olek rozkręcił już w sobie wszystkie hamulce.

— Czy nie było tam ważki tak wielkiej jak kondor? — padło następne pytanie.

— Tak — odparł Olek wcale nie zmieszany — i ryby tak smutne, że śmiałyby się pani jeszcze bardziej na ich widok.

— I chodziły pewnie po ziemi?

- Odgadła pani. Ale tam były jeszcze inne rzeczy.
- Nie byłeś tam może w towarzystwie pewnego pana?
- Tak, było nas trzech. Murowani świadkowie, proszę pani.

Czerwony kwiat śmiejąc się bez przerwy podszedł do płotu. Dziewczyna trąciła żartobliwie Olka słomianką w głowę, a wtedy spostrzegła kryjącego się Jędrka. Chłopców zaproszono do domu.

- Widzisz — chępił się Olek — nikt już nie odważy się śmiać z twego wujaszka.
- Olek — szeptał prędko Jędrak — popsuleś Piotrusiowi całą sprawę. Zobaczysz.

Dziewczyna wprowadziła swych gości do pokoju, w którym stało czarne pianino. Olek zahaczył nogą o dywan i byłby runął jak długi, gdyby go Jędrak nie był podtrzymał. Krysia wprowadziła po chwili starszą panią, którą przedstawiła jako swą matkę. Matka i córka nieustannie się uśmiechały.

- Mamo — rzekła dziewczyna — to znajomi Piotrusia Wałęgi.
- Pan Wałęga jest wujkiem tego oto Jędrka — anonsował Olek.
- Naprawdę?
- Tak. My nigdy nie kłamiemy. Byliśmy razem z panem Piotrem w puszczy karbońskiej — rzekł Olek. — I wszystko pani opowiemy, jeśli pani chce. Poznaliśmy przeszło czterysta lat temu niejakiego Jindrzika.

— Słyszysz, mamo?

I Olek zaczął swą opowieść o szczupaku i karpniu z Leśniówki. Przeczornie jednak powoływał się co chwilę na świadectwo Jędrka. On zaś przytakiwał głową, ale w głębi duszy rodziło mu się przekonanie, że pograżają sprawę Piotrusia coraz bardziej. Potem na dodatek narrator opisał swą przygodę z pszczołami; wywołała ona ponowny wybuch śmiechu u dziewczyny i jej matki. Olka zagrzało to jeszcze bardziej do mówienia. Kobiety dowiedziały się więc o węglu, którego ludzie nie chcieli, bo się go bali, gdyż trącił zapachem piekiel.

Korzystając z chwilowej przerwy w opowiadaniu Krysia wybiegła i przyniosła na ozdobnym talerzu apetyczne ciasteczka, nieco później pojawiła się przed chłopcami herbata.

— Mamo — zawołała, gdy już chłopcy zajęli się ciastkami — nie piękne to bajki? Powiedz sama, czy Piotruś nie jest uroczym łgarzem?

— Proszę pani — odezwał się teraz pierwszy bardzo żywo Jędrak — Piotruś przecie nie kłamie. Myśmy to wszystko widzieli.

— Jędrku kochany — powiedziała dziewczyna — przecież jego opowieści są dlatego tak piękne, że są zmyślane. Nikt się za to na niego nie gniewa. Przeciwnie: Piotrusia wszyscy lubią. I moja mama go również polubiła. Niepotrzebnie i wy kłamiacie...

— Jakież byłoby nasze życie bez złudzeń — rzekła sentencjonalnie matka Krysi. — Przecież pisarze zmyślają powieści, my je chętnie czytamy i nie zarzucamy im kłamstwa.

— Chłopcy — zawołała dziewczyna — czy nie podobają się wam bajki z tysiąca i jednej nocy?

— Podobają się...

— No widzicie. Posłuchajcie, zagram wam coś na pianinie.

Spod zręcznych palców Krysi wybiegła na pokój czarująca melodia „Legendy” Wieniawskiego. Goście przestali jeść i przysłuchiwali się chciwie muzyce.

## BIEDNY MAŁY KAJ

— Ależ tak, oczywiście, nie jest Skarbnikiem — rzekł Olek, a spojrzenie jego skierowało się na drogę, gdzie zazwyczaj pojawiał się Meyer. — Przyznaję to. Ale nie możesz, Jędreku, zaprzeczyć, że jednak ma coś wspólnego z nami. Widzieliśmy go w sztolni... Pomyśl o lampie! Jędreku, o lampie... Nasze wycieczki do krainy Jindrzika, w które nikt nie chce wchodzić.

— Olek, on nie jest nawet górnikiem — zaprzeczył Jędreku — kopalnię widział po raz pierwszy, gdy tutaj przybył. Więc tyle ma wspólnego z naszą cudowną historią, co wrona ze słowikiem.

— Jesteś niesprawiedliwy. Sam wiesz, że to biedny człowiek. Biedny. Rozumiesz? Poza tym nie możesz mu odmówić pewnej tajemniczości. Przecież pamiętam twoją uwagę: młody a już siwy...

— Nie wiem... Piotruś twierdzi, że musiał przeżyć coś bardzo ciężkiego. Ale co?

— A więc jest tajemnica, Jędreku. I zobaczysz, że sprawa z nim się jeszcze nie skończyła.

— A ja jestem pewny, że przygoda ze Skarbnikiem skończyła się na zawsze.

— Patrz, patrz, zawsze się zjawia przed nami, kiedy tylko o nim zaczniemy mówić. Jędreku, widzisz Kaja? Kaaj! Kaaj... Jeszcze chwila i — będzie On.

— Kaaj! — krzyknął teraz również Jędreku.

Kaj zatrzymał się wprawdzie na sekundę, znieruchomiał, spojrzał w stronę wołającego Olka, musnął spojrzeniem Jędrka, potem jednak obrócił się i pomknął z powrotem jak kula rzucona w kręgielni. Ale wtedy właśnie ukazał się Meyer. Kaj okrążył go: szalona wirująca fryga, usiłował dosięgnąć ozorem jego twarzy, a gdy mu się to wreszcie udało, skoczył znowu w kierunku czarnej hałdy. Chłopcy widzieli wyraźnie niby na dłoni, że wbiegł szybko na zbocze węglowej góry, że myszkował pilnie psim zwyczajem w napotkanych rozpadlinach skał i — że zaczął się wspinać coraz wyżej, coraz wyżej.

Było późne popołudnie. Hałda pogrążała się po tej stronie w coraz większe cienie, jakby się gotowała powoli do snu. Stygła więc z całodziennego gorąca w ciszy i skupieniu. Tymczasem milczenie jej było pozorne. Szczyt hałdy, zaopatrzony w stalowy pazur, zadudnił niespodziewanie. Na wystającym paznokciu ukazała się wywrotka. Wyczołgała się z głębin jak żyjące stworzenie i wypatrywała miejsca wyplucia swego ładunku. Już. Trzasnęła. Z jej gardła wysypała się lawina kamieni.

Chłopcy krzyknęli. Mały Kaj spostrzegł również niebezpieczeństwo. Uciekał w popłochu. A wielkie kamienie i pękający łupek gonili go z łoskotem. Pies potykał się, padał, stawał i pędził zygzakami w dół. Kamienie zamieniły się teraz w sforę ogarów. Atakowały ze wszystkich stron. Jednemu z nich udało się uderzyć zdradziecko. Wtedy Kaj upadł. Teraz prześladowcy runęli na niego gromadnie. Pies zniknął.

Chłopcy zastygli w przerażeniu. Nie ocknęli się jeszcze, gdy powietrzem szarpnął straszny krzyk. Był to Meyer. Stał jak oni nieruchomy. Potem wyrzucił ręce do góry, zacisnął pięści. Wreszcie rzucił się naprzód. Już dobiegał hałdy, już wspinał się na nią, już pochylał się nad miejscem, w którym pogrzebany był Kaj.

— Kaaj!!!

Kłęka, kłęka biedny. Rozlatują się kamienie w lewo i w prawo. Słychać przeciągłe zawodzenia. Olek ruszył jak wiatr ku hałdzie. Za nim leciał Jędreku. Przed nimi kłęczał Meyer skulony w bólu. W dołku leżał pies z krwawą pianą na pysku.

— Kaaj!!!

Meyer zasłonił sobie oczy.

— Proszę pana, proszę pana — Olek stuknął z lekka zagiętym palcem w ramię zrozpaczonego człowieka. — Niech pan już odejdzie, my z Jędrkiem wyniesiemy go stąd. Niech się pan nie smuci. Przyprowadzimy panu innego psa.

— Nie chcę żadnego psa!

— Proszę pana — przemówił Jędrzek, który domyślał się przyczyny tej odmowy — postaramy się o takiego, który będzie podobny do Kaja.

— Nie chcę psa. Nie chcę nigdy już psa. Słyszycie?

Chłopcy spoglądali chwilę za nim, jak oddalał się powoli, zmęczony i zgrzyziony. Wtedy dopiero Olek podniósł Kaja. Podsunął go pod oczy Jędrka.

— Jędrzek, jaki ładny...

Ręce jego stały się tak delikatne, jakby niósł największy skarb. Chłopcy szli wolno. Milczeli. Dopiero, gdy Olek skręcał ku swemu domowi, Jędrzek się zaniepokoił.

— Dokąd go niesiemy?

— Zagrzebiemy go w naszym ogrodzie. Rozumiesz? Jemu będzie miło, gdy się o tym dowie. A poza tym: lubiłem tego Kaja.

W domu była tylko matka Olka. Była to szczupła, niestara jeszcze kobieta o dobrych oczach i wybaczącym uśmiechu. Przeraziła się trochę Olkowym brzemieniem, ale chłopiec wyjaśnił w kilku słowach tragedię Kaja i opowiedział również o bólu właściciela psa. Potem dopiero położył ostrożnie pieska na ziemi.

— Wiesz, mamó, jak mi go żal. Żebyś wiedziała, ile mądrości kryło się w tej biednej główce.

Najbardziej dziwił się Jędrzek. Nigdy nie widział Olka w roli tak doskonałego samarytana. Matka Olka pochylała się i zaczęła Kaja gładzić ciepłą, współczującą ręką. I — oderwała raptem dłoń.

— Olek — rzekła — twój pies jeszcze żyje. Przed chwilą poruszyła mu się powieka.

Zaczęli wszyscy troje obchodzić psa dokoła i łowić chciwie jego ewentualne oznaki życia. Ale biedny Kaj leżał nadal cichy i obojętny wobec ich miłosiernych zakusów. Natenczas zaczęła pracować Olkowa wyobraźnia. Rzucił się na kolana i przyłożył ucho do piersi psa. Wreszcie podniósł rozczochraną głowę i wytrzeszczył oczy na Jędrka.

— Jędrzek, wydaje mi się, że żyje... Coś tam w nim lekko kołacze.

Jędrzek naśladował Olka. Jego ucho czuło jedwabną gładkość sierści Kaja, ale poza nią dochodziło do niego coś jakby słabe tętno, a nawet ledwo uchwytnie chrypienie.

— Tak — szepnął — chyba się nie mylę.

To niejasne orzeczenie wyzwoliło w Olku cały zapał, istniejący w nim zawsze. Jego ciepła ręka rozpoczęła ostrożny masaż klatki piersiowej Kaja.

— Nigdy bym nie myślała — odezwała się matka — że się znasz tak dobrze na sztuce weterynaryjnej. No dalej, Olku, jeszcze. Coś mi się wydaje, że w tym jego oku chwije się jakieś światełko życia.

Po chwili zawołała:

— Przecież znowu mrugnął okiem.

— Tak — poparł ją Jędrzek — widziałem to teraz bardzo wyraźnie.

Więc „weterynarz” dwoił się i troił w swoich wysiłkach. Owocem tego trudu było jeszcze jedno mrugnięcie. A po minucie zaś pies zacisnął szczęki.

— Hura! — zawołał Jędrzek. — Olek, jest nadzieja. Widocznie był tylko ogluszony. Leżał w małej niecce między kamieniami, a skała uderzyła go pewnie tylko w głowę.

Olek zmarszczył czoło i rozszerzył masaż na całe ciało, naciskając nieco więcej na ciepłą sierść psa. Obfity pot zraszać mu począł okolice nosa, ale nie byłby przestał swej samarytańskiej pracy za żadne skarby świata.

— Jędrzek — mówił nie odrywając oczu od Kaja — wyobrażasz sobie, jak on się będzie cieszył, gdy mu go przyniesiemy żywego?

A Kaj jakby zrozumiał słowa, ziewnął bowiem odrobinę i poruszył głową. Wtedy obaj chłopcy na przemian głaskali go i przemawiali do niego pieszczotliwymi wyrazami, Kaj zaś, u którego coraz więcej iskier jednoczyło się do walki o życie, przebierał nogami jakby się zaprawiał do biegu. Wreszcie usiadł zgoła nieoczekiwanie.

— Kaj, Kaj, Kaj! — wołano na niego z trzech stron.

Ale Kajowi trzęsła się jeszcze głowa, więc położył ją między swymi słabymi łapkami. Matka Olka zjawiła się z miseczką mleka. Pies chlipnął z niej trzy razy i położył zamroczony łebek na ziemi.

Nie było jednak dobrze z Kajem. Rano leżał w swojej skrzyni słaby i apatyczny; nie jadł, tylko chleptał co pewien czas wodę, potem wtulał pysk między łapy i jedynie oczy świadczyły, że żył. Pewnego razu Olek z Jędrkiem przyprowadzili do Kaja weterynarza. Wujek Olka przykuszykał na swej krótszej nodze do kuchni i stanął jak wryty. Nie chciało mu się zmieścić w głowie, by do psa można było przywołać lekarza. Począł więc mruzczyć o pańskich fochach, o głupich ceregielach, kiedy najlepiej skrócić męki psa wiadomym sposobem. Gniewało go, że koło psiego pacjenta krząta się tyle ludzi. Nikt jednak nie przejmował się jego gderaniem. W końcu, gdy lekarz opukał Kaja, matka Olka przystąpiła do niego z torebką.

— Proszę pana, ile się należy za tę wizytę? — zapytała.

Doktor spojrział zezem na starego inwalidę, potem odparł:

— Pani, nie chcę być gorszy od przyjaciół Kaja. Opiekują się nim bezinteresownie, więc... Nie mówmy lepiej o tym. Niech no teraz Olek skoczy do apteki. Myślę, że piesek się z tego wylize, choć jest mocno poturbowany. Zgniecenia, złamania żeber itp.

Po tym całym „niepotrzebnym hałasie” stary górnik usunął się do kąta i usiadł na krześle obok psiego posłania. Trochę się nawet zawstydził. Kaj leżał w tej samej pozycji co zawsze: łapami obejmował pysk i łytał oczyma nieufnie w stronę nieproszonego stróża. Stary również oczu nie spuszczał z psa. Różne mu też w głowie chodziły myśli. W końcu coś się w nim przełamało. Przyklęknął niezdarnie na podłodze i jął się jeszcze silniej wpatrywać w psa. Potem wyciągnął rękę i położył ją na głowie Kaja. Pies nie reagował.

— No, pieseczku — rozpoczął inwalida — boli cię co?

Dłoń jego zesunęła się na oczy i nos Kaja. A wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Szorstki ozor pacjenta pogłaskał rękę człowieka. On się rozczulił. W tej chwili narodziła się między Kajem i starym nowa przyjaźń, jedna z wielu, jaką pies zawarł od swej znajomości z Olkiem. Ale było to równocześnie jakby przesilenie i chory wkroczył w okres rekonwalescencji. Przed wieczorem Kaj wypił pół litra koziego mleka. A od tej chwili stan jego zdrowia ulegał wciąż poprawie.

## JINDRZICH Z DZIADA PRADZIADA GÓRNIK

Polana była przystrojona jak ongiś w wiosenne kwiaty. Mimo że od ostatnich wycieczek chłopców minęły liczne dziesiątki lat, nigdzie nie zauważyli większych zmian. Szli znowu wzdłuż Leśniówki, płynącej gorliwie jak dawniej, lecz po jej jasnym, mulistym dnie ciągnęła się leciutka smuga naniesionego pyłu węglowego. Ale dalej na krawędziach polany rosły takie same sosny z przyplaszczonymi koronami. I tu właśnie występowała pewna różnica. Wielkie sosny pozwoliły przeciskać się wśród nich małej dróżce leśnej. Widniały na niej mocne ślady kół i miejscami okruszyny węgla.

— No i co? — zapytał Piotruś Wałęga. — Trochę tu więcej węgla niżli ostatni raz.



— Przede wszystkim maszerujemy do Strapiciela — zaproponował Jędrak. — Koleiny biegna w tym właśnie kierunku.

Olka pociągała jednak przyroda i jej nieznanne tajemnice. Wyobraźnia jego malowała mu rozłożystą sosnę z barciami pszczoł z ciekawie oczkującą żołą, z kłodą kołyszącą się na długim powrozie i brzęczącymi wokół ulów pszczołkami. Lecz obraz ten prysnął nagle pod wpływem wesołego pohukiwania, które wydobywało się z głębi drożynowego gardła. Na polanie pojawił się człowiek. Po chwili można go już było dobrze określić. Był to wyrostek z siekierą, czy też kilofem na ramieniu, który nagle zatrzymał się na ich widok. Widzieli teraz wyraźnie, że jest szczupły, wysoki, czarny. Miał niebieskie, ciekawe i arcywesołe spojrzenie. Chwilę obserwował ich, pełen zdumienia, a w końcu zawołał:

— Pierwszy raz was widzę. Coście za jedni?

Olek machnął przyjaźnie ręką i wysunął się naprzód.

— Ja się nazywam Olek Plecionka, po waszemu Alek. Jest to Aleksander. Rozumiesz? Tak jak Aleksander Macedoński...

— Cha, cha, cha... — śmiał się wyrostek, aż echo zagrało w czerwonych sosnach. — Alek Macedoński... Niech mnie diasi... A ten drugi pewnie sam Cezar...

Olek się nieco zmieszał. Poczul się doszczętnie wykpiiony i wydrwiony, więc się zapeczył i krzyknął:

— Pozwalasz sobie naprawdę za dużo. Ja mógłbym o tobie powiedzieć, żeś durny, mały król, jasnie wielmożny król goryłów...

Na to tamten jeszcze bardziej zaczął się śmiać. Podobał mu się epitet wymyślony przez Olka. Widać, że był to kpiarz i sowizdrzał, któremu język Olka nie dałby rady. Cofnął się więc o krok i odsłonił Jędrka.

— A ten kto? — zapytał sowizdrzał.

— Ja? Andrzej Duszka.

— Eee, szydzisz, mały. Uważaj!

— Kiedy nie kłamię.

Wyrostek przykucnął na piętach i poskrobał się po zwichrzonych włosach, potem kreśląc przed sobą jakieś figury swoim półkilofem, krzyknął:

— Znasz takie przysłowie: Po lekku, po lekku, bo dusza w człowieku?

— Nie.

— Ale ja je znam — zawołał spoza pleców Jędrka jego przyjaciel.

— Dziwiłbym się, gdybyś o tym nie wiedział, Aleksandrze Macedoński. Ale słuchaj, ty drugi, Duszko... A takie: Kiej ubogi zjada kurę, to albo on był, albo kura chora...

— Nie, tego również nie słyszałem.

— Ale ja je słyszałem — odezwał się znowu Olek ze złością.

— Dobrze, dobrze, Macedończyku. A ty, jeśli nie rozwiążesz tego, co teraz powiem, to nie jesteś dla mnie Duską. Uważaj pilnie: Pełno białych owieczek, a w środku czerwony pasterz... No dalej, zgadywacze!

— Zęby i język — wypalił Jędrak.

— A co to jest? — zapytał teraz Olek. — Stoi pałka, na niej gałka, mogę przysiąc, że w niej tysiąc.

— Makówka, synu Filipa.

— A wiecie, ślachtetni monarchowie, kto to wszystko wymyślił? Ja... Jindrzych Duszka.

— Toś ty Jindrzych?

— Jindrzych, a nie Jindrzych. Jindrzych to nasz pradziad. A powiedzcie, zacni królowie, kto ten trzeci. Wygląda na panoczka.

— To pan Piotr Wałęga — oświadczył dumnie Olek.

Jindrzych Duszka kręcił głową, jakby mu się nic z tego nie podobało, potem przyglądając się im krytycznie, rzekł z przekąsem:

— Istne mieszcuchy, albo paniątka. Któż to widział w pięknym, ciepłym maju człapać w trzewiczkach i punczochach? — Były to te same słowa, które chłopcy słyszeli już od Jindrzika. — Któż to widział takie szatki? Koszuliny z olenderskiego płótna! Ha, ha, ha... nogi obute, a głowy nagie. Wymyślne to, a arcyśmieszne. Chcecie, to wam cosik pokażę.

I nie czekając na nich ruszył prosto przez polanę. Jaśniała ona wyraźnie pod granatowym parasolem nieba, a pełna była odurzających zapachów. Po tak nieskazitelnym obrazie leśnej łąki spodziewali się znaleźć Jindrzikową kopalnię zaniedbaną i zapomnianą. A Jindrzych wprowadził ich naraz w las, tym razem liściasty, grabowy. Wszyscy szli rażno, a przewodnik wciąż opowiadał, śmiał się, dowcipkował. Ale teraz Olka już to nie bolało. Odgryzał się chętnie i cięto.

— Spójrzycie, braciszku — krzyknął Jindrzych zapalczywie i uklęknął jak do tajemniczego obrządku. — Schylcie się, wytrzeszczcie oczy! Widzieliście kiedyś coś podobnego?

Siekiera Jindrzicha ciachnęła i — łupnęła w czarny kęs, wystający spod grubego kożucha mchu. Skala rozsypała się z donośnym szelestem i zsunęła się do jamy, z której ktoś już dawniej wybierał węgiel. Duży, lśniący odłamek legł u stóp Piotrusia. Podniósł go i począł dokładnie badać.

— Jak się to śkli, prawda? I nie ma z tym kłopotu jak z drzewem. Co to może być? Powiedz, panie.

— Węgiel.

— Moi przodkowie mianowali to żarnotą. Aleć mnie bardziej przypada do smaku: węgla. A wiecie, na co owe węgle?

— Opalamy tym mieszkania — wtrącił się Jędrrek.

— Poznaję w tym, żeś prawdziwy Duszka. Czy słyszeliście o takim chwacie, co bożkom skradł święty ogień, a przyswoił go ludzkiemu mozołowi? To musiał być Duszka!

— Prometeusz — rzucił Olek zuchwale wyzwanie Jindrzychowi. — To był Prometeusz.

— Duszka — odparł bez gniewu Jindrzych. — A kto odkrył węgiel?

— No, to pewnie Duszka.

— Na jedno to wychodzi. Kto daje ludziom węgiel, daje i ogień. Ród Duszków — ród górników. Zaraz wam coś pokażę, że wszystkim oczy zbieleją. Ruszcie się no prędzej, bo niezadługo nadjedzie tu Pawlik po węgle.

Olek pociągnął go za ogonek pasa, wydzierający się z pętelki spodni jak ciekawy wąż.

— Jindrzych — rzekł ugodowym tonem — nie masz tu u was gdzie we wsi kogo, co nazywa się Plecionka? Aleksander Plecionka...

— Plecionka? — namyślał się Jindrzych. — Plecionki nie ma. A kogo szukasz?

— Praprapradziadka — odparł Olek, lecz w tej samej chwili wyjawienie tej nieprawdopodobnej zachcianki wydało mu się absurdalne, toteż z myślą wycofania się z niej począł się plątać w wyjaśnieniach: — To... to mój wujek, stryjeczny wujek mojej ciotki...

— Iii, a może to po prostu twój kumoter, z którymeście trzymali do chrztu synka twego wnuka...

I znowu począł się śmiać niepowstrzymanie z dowcipu. Całe towarzystwo wsparło go swymi młodymi głosami. Tymczasem Jindrzych dotarł pierwszy do Leśniówki.

— Może ją znacie — powiedział, kiedy go dogonili — to Leśniówka. Ej, było tu kiedyś ryb i raków, było. Chocia i dziś jeszcze w niej szczuki i insze ryby pluskają.

— A skąd się wzięła w wodzie ta brudnoczarna smuga? — zapytał Piotruś.

— Ze sztolni trochę tam do niej mułu zawdy ścieka, to i niektóre ryby przestraszyło, poszły w dół aż za naszą chałupę.

Byli wkrótce przy niej, przy Jindrzikowej sztolni. Poznali dość dobrze otoczenie dawnej wyrwy, która jednak teraz przestała być ślepą piwniczką, a stała się prawdziwą, długą sztolnią. Z mrocznego chodnika wypływała wartka struga czarnej jak noc wody, która pędziła na

oślep prosto do Leśniówki.

Piotruś oglądał ją starannie, potem szedł jej śladem aż do rzeczki. Wracając kręcił głową jakby się mu nie podobała swawola kopalnianej wody. Zazwyczaj nic nie mówił, teraz jednak rzekł zatroskanym głosem:

— Ej, Jindrzychu, nie będzie tu wkrótce w ogóle ryb i raków. One nie znoszą tego mułu.

— Na razie ważniejsze węgle. Potoków i wody wszędzie tyle, że nam brzydnie. Co prawda ociec już tam wspominali, żeby na łące wielką groblę zrobić, aby muł się przed nią usatkwował, a woda chynęła czysta do Leśniówki. Może na jesieni się do tego zabierzemy, będzie więcej czasu.

Jindrzych wysuwał się wszędzie na czoło gromadki. Wprowadził swoich przygodnych znajomych do sztolni. W jego rękach znalazła się skądś olejna lampa górnicza tak ładząco podobna do zaczarowanej, że Piotruś rzucił zaniepokojone spojrzenie na swoją. Wisiała jednak na haku w jego dłoni i nic jej nie groziło. Jindrzych zapalił „gęsi dziob” a światelko jęło rozpraszać gęstniejące ciemności w sztolni. Szli wciąż naprzód, a potykali się co chwila o drewniane rusztowanie, podobne do toru kolejowego. Jindrzych określił to urządzenie jako wynalazek Duszków. Nie wiedzieli jednak, na czym ono polegało, więc młody Duszka znikł w ciemnościach. Po dłuższej chwili w głębi sztolni rozległ się niesamowity hurkot. Olek, który cały czas miał się na baczności przed sowizdrzałskimi niespodziankami wesołego wyrostka, uskoczył przezornie w bok. Było to jednak niepotrzebne, bo łoskot wywoływał czterokołowy wózek, który toczył się na szynach. Jindrzych mrugnął na chłopców i zaprosił ich do jazdy w wózku. Wtedy żywe usposobienie Olka zlekceważyło ostrzegawcze sygnały instynktu. Zajął miejsce w wózku, za nim usadowił się Jędrzek, a na samym końcu Jindrzych.

Górnicy pojazd Duszków skoczył jak ze sprężyny. Koła na szynach poczęły hałaśliwie stukać. Wózek przeleciał obok Piotrusia jak rakietka kosmiczna. Mignęły przed nim blade twarze Olka i Jędrka, wyszczerzone zęby Jindrzicha oraz płomyk podobny do warkocza komety. Pędzili wszyscy na spotkanie dnia u wylotu sztolni. Piotruś, w najwyższym stopniu niespokojny, rzucił się za wozem. Gdy dotarł do wyjścia, odegrał się ostatni akt dramatycznej jazdy. Olek i Jędrzek wydobywali się z wielkiej kupy miazgi węglowej, a Jindrzych zanosił się spazmatycznym śmiechem. Chłopcy bowiem wyglądali jak dwie miotły kominiarskie, które właśnie pożegnały się z gęstą sadzą.

Długo trwało, zanim doprowadzili się do porządku. Chlustali się jeszcze wodą Leśniówki, gdy z daleka doleciał ich głos:

— Wišta, gnojki! Prędziej!

— Bezkurcyja — zaklął Jindrzych. Był to zapewne przekręcony wyraz „bestia” — tabu, którego nie powinno się było używać. Jindrzych skoczył ku drodze: — Toć to Pawlik, a węgle nie narąbane.

Niebawem wysliznął się z bujnej trawy krótki wóz wyścielony wiklinowymi półkoszkami, który ciągnęły tarpanowate koniki. Zeskoczył z niego chłopiec w wieku Jędrka. Miał on pogodne oczy, a czoło jego zakrywały dwa fantazyjne loki. Był to oczywiście Pawlik. Czekał teraz z batogiem w ręku na kobietę, która schodziła po szprychach koła. Miała pomarszczoną twarz i zaczerwienione oczy pozbawione wszelkiej radości. Do tego szpecił ją również haczykowany nos i wyraźny ślad wąsów pod nim.

— To, Kopciowa — rzekł Jindrzych poważnie — są moi znajomkowie. Nic się nie bójcie. Ten oto upiera się, że Duszka.

— Jindrzychu, zupełny Duszka! Wyglądacie jak dwaj bracia! Miły syneczek. Tak dziwnie ubrany. Chyba... panicz dworski...

— Ee, panicz tam... Te ciżmy pasują go na panicza, ale w mieście też takie noszą. Ten drugi zaś, to sowizdrzał jak się patrzy. Pada, że Plecionka. Nie macie tam pod ręką jakiego Plecionki?

— Patrzcież: Plecionka? — kobieta wykrzywiła swą bolesną twarz po raz pierwszy w

grymas uśmiechu. — Francek Plecionka chodzi do mojej cery.

— Czy on aby nie jest szlachcicem? — krzyknął Olek pełen zapału.

— Eee, gdzież on tam ślachcic? Prosty zagrodnik.

— A to, ciotko, pan Pieter Wałęga. Prawdziwy już ślachcic, a lepszy znawca węgla niżli Gaszwiec. Pawlik, zakręć do starego szybu. Jest tam jeszcze cosik urobku od wczoraj. Ja zaś polecę z moimi znajomkami na przełaj do gruby.

— Jedź, mój Pawliku — rzekła kobieta — a krzyknij tam na mnie, kiedy już ruszysz. Nazbieram sobie trochę miłka po tych wertepach.

Jindrzych objął znowu przewodnictwo nad swoją gromadą. Przedzierali się przez krzaki ku górze, na sam szczyt wzniesienia. Wyrostek rozpoczął jakimś niezwykle poważnym głosem:

— Widzieliście ją? To stara znajoma naszej rodziny. Więcej przecierpiała aniżeli Pan na krzyżu. Ma ci to kobiecisko życie, aże ma. Dziesięcioro gąb do miski, a jest sama na świecie jak ten biedny robaczek.

— Nie ma męża? — zapytał Piotruś.

— Miała, nieszczęsna. Ale ten ci z niedostatku dopuścił się kradziestwa. Z dworu, gdzie pracował, zabrał miech rży. Zaraz też go wzięli na męki. I wtedy biedaczek wyśpiewał, że wziął trzy. Wiodą więc chłopca na szubienicę, a on im smyrga w krze. Uszedł już kawał drogi, aże lucyfer mu szepce, by wstąpić do karczmy. Tam go opili wysłanniki króla pruskiego i związanego powieźli przez granicę.

— Dlaczego utyka na nogę?

— Ba, nieszczęście nigdy nie chodzi samo. Leczyła zielskiem ludzi, to ją czarownicą zrobili. Teraz ona poszła na tortury. Łamali jej wszystkie kosteczki, stawy rozwydrzali, ale ona się nie załamała. Wyszła więc z tym wybitym biodrem i odtąd zamiata nogą. A mądre to i dobre babsko... Ale świat głupi tego nie dostrzega. Najczęściej niewinni są prześladowani, a lotrzykowie wolni chodzą...

Jindrzychowego opowiadania starczyło na krótką, lecz uciążliwą drogę. Gęstwa drzew rozstąpiła się, jakby tu olbrzym gospodarzył, a na niewielkiej porębie z kopą karczmy, oplątanych korzeniami jak kłębowiskiem węzłów, wychylił się skośny daszek na czterech słupach. Za tą prowizoryczną budowlą leżało trochę węgla. Pod samym daszkiem widniał kołowrot i drewniana beczułka.

— Patrzenie, oto nasza gruba — zawołał Jindrzych, a duma zajaśniała w jego niebieskich oczach.

— Hura! — krzyknęli chłopcy.

Jędrak i Olek rzucili się do kopalni, Piotruś również przyspieszył kroku, tylko Jindrzych oglądał się za Pawlikiem zdążając wolno za resztą swych towarzyszy. Tymczasem chłopcy zajrzeli już do środka szybu. Była to prostokątna studnia, której ściany zabezpieczono mocnymi tarciami. Olek dobrał się od razu do kołowrotu. Wał, okuta krągła kłoda, począł skrzypieć, zwijając linkę. Wkrótce ukazała się drewniana beczka oblepiona mułem węglowym. Na jej dnie było trochę urobku. Jędrak zastanawiał się nad grubym powrozem, znaczonego w równych odstępach pękatymi węzłami, który pogrzyżył się w studni poza kołowrotem. Począł nim kołysać, ale powróż nie stawiał żadnego oporu. Piotruś ze swą nieodstępną lampą stanął obok siostrzeńca. I on przyglądał się zagadkowemu urządzeniu z ciekawością, a widząc nieme pytanie w oczach Jędraka, wyjaśnił:

— Winda, Jędrak, czyli klatka zjazdowa szybu.

— Winda?

— Pierwotna winda górnicza.

— Ten powróż?

— A gdzie klatka zjazdowa? — zapytał Olek, który dokładnie już zbadał beczkę, więc jej przeznaczenie przestało być dla niego tajemnicą.

— Noo... — śmiał się Piotruś — powróż sam był klatką. Górnicy spuszcza ją po węzłach do kopalni.

— A dlaczego nie schodzą po drabinie?

— Lina nie zajmuje miejsca, nie przeszkadza również przy ładowaniu urobku do beczki.

Jindrzych stał już dawno przy szybie, słyszał więc wszystko. Potwierdzał wyjaśnienia technika energicznym potakiwaniem głowy.

— Wkrótce połączymy się ze sztolnią — rzekł — a wtedy raźniej robota się potoczy. Nie będzie duszno, grubą przewietrzać będzie miły wiaterek, a oprócz tego nie będziemy potrzebowali z szybu wody wylewać, sama ku dolinie poleci. Za chwilę stanie tu Pawlik. Miał mi tu jeden taki pomagać przy kopaniu, ale nie przyszedł, niecnota. Macedończyku, nie chciałbyś mi pomóc? Będzie fajna jazda w dół...

Olek już się czepiał liny, ale Jindrzych odsunął go dość szorstko, a sam obłapił węzeł dłonią. Lampa huśtała mu się u pasa.

— Czekaj. Oświetlę należycie dziurę, to widniej ci będzie zjeżdżać. Naciachamy w ocmgnieniu żaroty i wsypujemy do beczki, a Pawlik z panem ślachcicem odbiorą urobek.

Jindrzych zniknął już w czeluści szybu, za nim krzyczał Jędrrek:

— Jindrzych, a ja?

Jindrzych wychylił głowę, błysnął oczami i odparł z humorem:

— Zjeżdżaj po królu. Pan ślachcic ci chyba pozwoli?

Olek wrzasnął i skoczył do... „windy”. Po nim liny uczeplił się Jędrrek. Szyb nie był głęboki, ale jego rząp był wypełniony wodą. Chłopcy chlupnęli do niej w swoich „punczochach” i „cizemkach”. Jindrzych wybuchnął śmiechem, ale potem wręczył Jędrkowi lampę do potrzymania, a sam sięgnął do jakiegoś zakamarka, z którego wydobył drewniany ceber i począł nim czerpać wodę z dna studni wlewając ją do beczki.

— No — krzyknął do Olka — chlustaj twoimi trzewiczkami.

Olek myślał, że to żart, więc wytrzeszczył na niego oczy, potem jednak zzuł rzeczywiście buty i używał ich jako chochli.

— Hooaaaa... — krzyknął do góry Jindrzych. — Ciągnijcie, bo pełna.

— Hooaaaa! — przyleciało stamtąd jak echo podobne wołanie, a beczka kołując i podrygując niby tanecznicą poczęła się piąć mozolnie ku górze.

— Cofnij się! — fuknął Jindrzych na Olka.

Rozkaz przyszedł za późno. Olek stał pod beczką i obserwował jej kunsztowne piruety, gdy nagle obdarzyła go potężnym prysznicem. Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Jindrzych pociągnął ich za sobą. Weszli do chodnika obudowanego sosnowymi stemplami i niebawem znaleźli się naprzeciw ściany przeznaczonej do kruszenia. Jindrzych rzucił się na nią jakby z gniewem. Kilof spadał na opokę z dźwięcznym zgrzytem, a węgiel pryskał niechętnie na wszystkie strony.

— Twarda bezkurcyja — klął. — Dajcie...

— Co?

— Szpicak, do diaska. O, leży pod nogą. Młot...

Szpicak pod ciosami młota wgryzał się do węgla. Olek z Jędrkiem doskoczyli wreszcie z łomem. Zawisli na nim jak na dźwigni, a wtedy z głuchym szelestem obsunęło się kilka wielkich brył pod nogi.

— Ładujcie do beczki — dyrgował Jindrzych.

Beczka z urobkiem poszła do góry. Olek był już teraz ostrożniejszy, skrył się w chodnik. Takich beczek poszło jeszcze kilka na powierzchnię. Wreszcie Jindrzych schował narzędzia górnicze i — jeden po drugim „wyjeżdżali” na światło dzienne.

Pawlik z Piotrusiem, złączeni doskonałą zgodą, nie próżnowali podczas nieobecności Jindrzicha. Wóz był już całkowicie załadowany. Tarpanowate koniki ruszyły, a obok kroczyli

górnicy, brudni, oblepieni czarną mazią, ale szczęśliwi jak nigdy. Wóz zjeżdżał terkocząc ku dolinie, potem skręcił na polanę. Jindrzych zwrócił się do swoich przyjaciół:

— Pójdźcie haw. Pokażę wam, gdzie Duszków zagroda.

Szli więc jeszcze raz wzdłuż Leśniówki, której wody zbrukane pyłem węglowym, uciekały na południe. Tu już nie dały się dogonić prześladowcom. Woda była znowu kryniczna, a w jej rzeźkiej fali śmigały karpie i klenie.

— Hee, co powiecie? — chełpił się młody przewodnik. — Woda jak ze źródła, a ryby niby strzybne.

Ale rozważny Piotruś znowu kręcił głową jakby mu się nie podobały te przechwałki Jindrzychowe.

— Tak — rzekł — brudy kopalniane jednak dotrą tu prędzej czy później. Niech się jeno kopalnia rozrośnie.

— Już się rozrasta. Bali się tych węgla nawet kowale, wiadomo: ludzie roztropniejsi zawsze od gminnego ludu, a teraz wszyscy nas nękają, by im dawać więcej, coraz więcej. Z tamtym prostaczkiem jednak nadal źle. Żarnota śmierdzi mu piekłem. Jedyna Kopciowa, co i diabła się nie boi, bo nic już straszne dla niej na świecie, pali naszą diabłą opoką.

Wałęga stał nadal zadumany nad kryniczną rzeczką. Olek brodził w niej z zakasanyimi nogawicami i przepłukiwał swoje skórzane „chochle”, ale triumfujący okrzyk Jędrka, który niedaleko niego złapał dużą rybę, przerwał tę czynność. Olek skoczył do przyjaciela, a jego buty pofrunęły na trawnik. Obaj chłopcy orali nogami koryto rzeki.

— Noo — zwrócił się Olek do Piotrusia — czy w Leśniówce są ryby, czy ich nie ma?

— Pewnie że teraz są. Ale wtedy nie wiedziałem o waszej eskapadzie, o innej Leśniówce.

— Baraszkuje sobie w naszej wodzie — odezwał się Jindrzych, a coś jak chytry uśmieszek przeleciał przez jego oczy — a ja huknę na Pawlika, czy już zabrał Kopciową.

Piotr Wałęga jakby na to czekał. Wydobył z kieszeni zeszyt i rzucając co chwila spojrzenia na polanę z jej zielonym zapleczem, począł ten krajobraz przenosić na papier. Tymczasem chłopcy kontynuowali swoje łowy.

— Przypiecze się je na maśle — marzył głośno Olek. — Jeno trzeba powiedzieć Jindrzychowi, żeby przyniósł patelnię i tłuszczu. Proszę pana, zobaczy pan jaki to rarytas.

## NIEDŹWIEDŹ I RAJ ZIEMSKI

Jędrak łapał wytrwale dalsze srebrne sztuki w wodzie. Olkowi znudził się wreszcie ten nietrudny sport, począł więc obmacywać brzeg rzeki. Natrafił też wkrótce na dziury, z których wydobył kilka raków. Każde nowe powodzenie chłopców oznajmiał dźwięczny śmiech. Ale naraz doleciał Olka jakby zduszony okrzyk zdumienia Piotrusia. Wyprostował się więc i ujrzał przyjaciela wpatzonego niemo w dół rzeki.

— Co się stało? — zapytał.

— Zdaje mi się... Wyjdźcie z wody!

Olek szusnął jak ryba wybita z wody dłonią Jędrka i zatoczył się tuż przy Piotrusiu. Skamieniał jednak zaraz i wybiegł oczyma na spotkanie tego, co tak podnieciło Wałęgę.

— Niedźwiedź! — wrzasnął ze wszystkich sił.

— Tak, to niedźwiedź. Jędrak, umykaj!

W dole rzeki człapał rzeczywiście dość duży miś zanurzony po biodra w wodzie. Wkładał on co chwila wielką łapę do topieli, i ekspediował celnym ciosem srebrne wrzeciona

na trawnik. Król puszczy już ich spostrzegł. Znieruchomiał i przywitał ich niezadowolonym pomrukiem.

— Czy nas napadnie? — zagadnął Jędrzek swego młodego wujka.

— Nie wiem. Nigdy przecież nie widziałem niedźwiedzia w takiej sytuacji jak teraz.

— Trzeba go przegonić — rzekł Olek.

Schylił się, złapał kamień i rzucił. Fontanna wody bryznęła na kosmatego rybaka. Ten atak wywołał w nim wściekłe pomruki. Miś ruszył ostro naprzód, a chłopcy rzucili się do panicznej ucieczki. Na trawie zostały ryby, zostały Olkowe buty. Jędrzek, pędząc na złamanie karku, trzymał wprawdzie swoje buty w ręku, ale wkrótce je zgubił. Za ich plecami dudniły kroki, a chrapliwe warczenie, bliskie i groźne, świadczyło, że niedźwiedź postanowił się z nimi rozprawić. Wpadli do lasu. Olek objął ramionami pierwsze z brzegu drzewo i począł się chyżo piąć do góry. Jędrzek zrobił to samo.

Oto siedzą już na grubym konarze i spozierają ze strachem w dół. W pobliżu szeleszczą krzaki, ktoś tam mocno sapie. Naraz niedźwiedź wynurza się pod samym drzewem: ciężki, ogromny, kudłaty. Paszcza uzębiona zwraca się wprost do nich. Wtedy właśnie przypominają sobie równocześnie, że niedźwiedź jest doskonałym wspinaczem. W tej samej chwili kudłacz obejmuje pień sosnowy i drapie się do góry.

Nagle Olek parska śmiechem. Niedźwiedziowi wymyka się z tyłu... biała koszula i słychać pomruki „niebezpiecznego rabusia”:

— Ja ci dam „małpi królu”. Zaraz mi za to zapłacisz.

Gdzieś na polanie rozległo się przeciągłe wołanie, które uwielokrotniło niezrozumiałą goniwą głosów echo. To Pawlik nie mógł się doczekać powrotu Kopciowej i alarmował las. Niedźwiedź zjechał na ziemię, a wtenczas z jego futra wyłuskał się... Jindrzych. Chłopcy błyskawicznie wyładowali obok niego. Dryblas śmiał się do rozpuku, wtórował mu wesoły śmiech chłopców.

— Masz tu swoje ciżemki, Jędrzek — rzekł Jindrzych, a potem porwał chłopców ze sobą.

Przed nimi rozsunała się zielona kurtyna, odsłaniając tak cudny obraz, że chyba biblijny raj mógł z nim iść w zawody. Z mgielki wynurzały się delikatne zarysy młyna wodnego, zagrody i kwiecica.

— To nasz młyn — rzekł Jindrzych. — Jak klekocze? Jeno mu mało ziarna... A tamte czupurne chałupczysko też nasze, Duszków. Pożrzyjcie, co za rozkosz. Na tym zielonym płachcisku, zaramowanym żyrdziami, pastwisko. A kto to na owej fujarczynie pogwizduje jak kos? Jak myślicie?

— Pewnie braciszek — odparł Piotruś z melancholijnym uśmiechem, jak żywo bowiem przysłała mu na myśl jego krakowska wieś w śliczny wiosenny dzień.

— Tak, to Mikuś.

Jędrzek słuchał tych słów jak śpiewnych zwrotek piosenki. Sowizdrzański Jindrzych wydał mu się naraz poetą. Jego wyobraźnia pracowała z taką samą siłą, domagała się uzupełnienia pięknego obrazu.

— Jindrzych — zawołał — a... czy u was są... duchy wodne?

Jindrzych uśmiechnął się pod nosem, ale odparł zaraz wesoło, a prawdopodobnie:

— A pewnie, że są. Toć tu dla nich kraina szczęśliwości. Ooo, ale ci to krotofilne nasienie. Ich figli to by i wasz Macedończyk nie wytrzymał. Jednego utoplca znam. Nazywa się Seneks Jarmułka. Pasie z nami konie... Na bżinach zaś podleśnych, tam heń, baraszkuje myłki...

— Myłki? — krzyknął Olek. — Na pewno mylą ludzi.

— Tak. To ci dopiero straszdyła! Dusze zakłęte w niespokojne światelka. Podskakują na jednej nodze, mrugają swymi świetlistymi oczami i przyciągają na mokradła pijaczyny jak magnes zielazo. Jest jeszcze pies wodny Trach. Kudłata maskara. A w lesie... lepiej o tym

nie mówić. Połóżcie się no trocha do trawy, a ja polecę na chwilę do Pawlika, bo wciąż jeszcze woła i woła.

Olek legł pierwszy na zielonej murawie. Podłożył pod głowę ręce i wpatrzył się w modre niebo, po którym żeglowały małe obłoczki-statki. Jędrak, zmęczony pracą w kopalni, z mordowany nadto opętańczą ucieczką, wyciągnął się z rozkoszą obok przyjaciela. Akurat w tym momencie pojawił się na horyzoncie Piotruś. Wyjaśnił wkrótce, że pierchnął pod sztolnię przed niedźwiedziem. Stamtąd też dojrzał koszulę Jindrzicha, więc zawrócił i jął nawoływać chłopców. Nikt go jednak nie słyszał.

Jindrzych gniótł pod nosem swój sowizdrzański uśmieszek, ale nie nawiązywał już do niedźwiedziej przygody, tylko się powoli wycofywał.

— Polecę już — rzekł wreszcie — bo przecie na polanie zostały ryby. Najpierw załatwię z Pawlikiem, a potem skoczę do domu po masło. Jak odpoczniecie, skręćcie nazad. Na polanie będzie już ogień i pieczona ryba.

— Jindrzych — doleciał go głos młodego górnika, gdy już zwawym krokiem zdążał na polanę — a jak się nazywa ten wasz zakątek?

— Stara Wieś — odrzyknął wyrostek i przepadł w lesie.

— Jak pan myśli — odezwał się Olek — czy ten Franczek Plecionka mógłby być moim praprapradziadkiem?

— Wszystko być może, Olek. Tak jak Jindrzych może być protoplastą Jędraka. Zaczekajcie, zastanawiam się, gdzie wobec tego rozbudowała się Szara Wieś.

— Jasne — rzekł Jędrak — na polanie i wokół Strapiciela.

Piotruś sięgnął po swój szkicownik do kieszeni, ale wtedy okazało się, że go tam nie ma. Zeszyt z rysunkami przepadł.

— Posądzam o ten nowy kawał małego króla — zawołał Olek. — Wędrujmy z powrotem na polanę. Przyjdziemy pewnie dokładnie na Jindrzychowy poczęstunek.

Okazało się jednak, że na polanie panowała cisza. Nie było Jindrzicha, nie było też już ryb w trawie, więc powlekli się dalej. Okrążyli wzgórze Strapiciela i znaleźli się niespodziewanie na niewielkiej płachcie leśnego uroczyska. Ułożyli się ponownie na tym pachnącym kobiercu, by odpocząć. Ale wtedy właśnie błysnęło z taką mocą, że trzeba było przymrużyć oczy. Potem jasność szarzała, szarzała i zrobił się normalny, powszedni dzień. Nie było jednak już lasu, przepadł wiosenny krajobraz, znikła zagroda Duszków. Płomień lampy spłószył zakłęty świat.

## LAMPA ALADYNA

Zdumienie chłopców było tak wielkie, że początkowo nie ruszali się z miejsc. Znajdowali się w jakimś ogrodzie. Z podwórza gdakały na nich kury, syczały gęsi z wyciągniętymi szyjami. Wałęga zbierał właśnie myśli, żeby wysnuć odpowiedni wniosek z dziwacznej sytuacji, w której się znaleźli, gdy uderzył go dziewczęcy, srebrzysty śmiech. Był to jakby sygnał do ogólnej wesołości. Śmiała się bowiem kobieta stojąca na schodach, śmiały się grubasek na podwórzu, aż mu fajka w zębach dyndała, śmiały się kury, gęsi, całe otoczenie.

Piotruś zobaczył nagle Krysię. Opierała się łokciami o furtkę i zanosila weselem do łez. Chłopcy stali już obok swego przewodnika. Olek wytrzeszczał oczy, Jędrak płonął się silnym rumieńcem.

Wtedy to młodego technika opanowała panika. Ruszył bez pamięci w stronę furtki. Jędrak i Olek przylepili się do niego jak cienie.



— Piotrze —zawołała dziewczyna.  
— Bardzo przepraszamy — bąknął młody człowiek łapiąc niemal dziko klamkę furtki.  
— Ależ nie krępujcie się — powiedziała dziewczyna. — Piotruś, bardzo się przecież cieszymy z waszych odwiedzin. Spadliście jak z nieba. Prawda, panie Bąk?

— Krysiu — odezwała się kobieta na schodach — poproś pana Wałęgę do domu.  
— O Boże — stękał mężczyzna z widoczną uciechą. — Jeszcze nigdy tak się nie uśmie-  
łem. Po to jest ogród, aby nam służył. Ale sposób w jakiście się w nim znaleźli, był komi-  
czny. A nade wszystko ci chłopcy... Paradne, co?

Piotruś spojrzał odruchowo na swych przyjaciół i skrzywił się w szerokim uśmiechu. Obaj byli po oczy zbrani mułem i błotem. Krysia zniecka podsunęła im przed oczy małe zwierciadelko. Chłopcy odwrócili się niby na komendę i poczęli ścierać resztką bieli koszul brud na twarzy.

— A boo... — usprawiedliwiał się Olek głośno — łowiłem te diable raki w Leśniówce...  
— Ha, ha, ha — prawie łamał się w gwałtownym śmiechu pękaty drwał — ha, ha, ha...  
raki, raki łapał w... Leśniówce. Trzymajcie mnie, bo pękne.

— To niech pan pęknie — rozzłościł się Olek — bo chwytałyśmy również takie ryby!  
W Leśniówce! słyszy pan?

Grubasowi wypadła z ręki piłka, a on sam osunął się jak odcięty wisielec na ziemię. Zachowanie się jego zdenerwowało trochę Piotrusia, zawołał więc w jego stronę świszczącym głosem:

— A co by pan zrobił, gdyby pana gonił niedźwiedź?... A chłopców napadł w samej Leśniówce, gdy łowili ryby!

Człowiek podniósł na chwilę oczy, które były rozszerzone przerażeniem. Hopsnął pociesznie i oparł się piersi o wał drzewa. Ale gdy wystrzelić miała nowa rakietka śmiechu, Krysia krzyknęła na niego:

— Och, panie Bąk, przecież to specjalne historie. Nigdy pan nie czytał Münchhause-  
na?... Pan Wałęga jest świetnym opowiadaczem. Piotrusiu, a po co ta lampa?

— Szukam nią prawdy po świecie i o świecie — odparł ironicznie zagadnięty. — Bo  
ona sama jest wieloną prawdą...

— Jeśli tylko lampa będzie w humorze — odezwał się na to niespodziewanie Olek — to  
zobaczy pani takie dziwy, jakich nikt jeszcze, prócz nas trzech, nie widział.

— Bardzo jestem ciekawa — odparła poważnie, lecz w fiołkowych oczach igrały dro-  
bne iskielki śmiechu.

Pan Bąk rzucił drewno i z piłką w rękę zbliżył się do furtki. Zrobiła to z pewnym ocią-  
ganiem również matka dziewczyny. A Olek wyrwał w tej chwili lampę Wałędze.

— Niech pani uważa — zwrócił się do Krysi, bo tylko ona dla niego tu istniała — jeśli  
ją tak, o tak... odrobinę zakręcę, to nastąpi piorunujący błysk i — zjawi się...

— ...duch — krzyknął oniemiały z wrażenia pan Bąk, bo więcej już nie umiał wykrztu-  
sić, i zapalił szybko swoją dyndającą fajkę.

— Jest to więc... lampa Aladyna — wtrąciła Krysia śmiejąc się znowu oczyma.

— Chyba jeszcze więcej.

— No, to czekam. Piotrusiu, nie odbieraj mi lampy. Taka jestem ciekawa.

— Przecież z tego nic nie będzie.

Olek jednak mocował się z lampą. A ona nic. Nie pojawił się płomień, nie wyskoczył  
spoza niej inny świat. Lampa Aladyna była głucha na szeptane zaklęcia chłopca.

— Fantastyczne — mówił pan Bąk do matki Krysi, bo spodziewał się nadal czegoś  
ciekawego.

Jedynie uroczą dziewczyną była pewna swego. Pozwoliła wszakże Olkowi, by się dalej  
pocił, a gdy i on uznał, że szkoda wszystkich wysiłków, zwróciła się do trójki gości z propo-  
zycją, aby odpoczęli w domu.

Teraz dopiero zdradził pan Bąk pani Janczykowej co widział prawdziwie.

— Wyraźnie widziałem, że ten chłopak z rozczochranymi włosami odchyłał drucianą siatkę jak gałęzie krzaków. Weszli przez siatkę do ogrodu. Nigdy się nie myłę.

— Ależ, panie Bąk, to niemożliwe.

— Niemożliwe? Niemożliwe, żeby żyły ryby i raki w Leśniówce, ale nie możemy wykluczać, że weszli prosto przez siatkę do ogrodu. A siatka jest cała. Sąsiadko, u Grzeni jest taki Glikauf...

— Kto?

— Glikauf. Tak się pewnie nie nazywa, ale odpowiada na pozdrowienia Glikauf. Niemieckie pozdrowienie górnicze. Normalny człowiek, a nie wie, skąd się wziął na świecie. Powiada, że stracił pamięć. Nie ma rodziców, nie ma żony. Nie ma nikogo na świecie.

— Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego, panie Bąk. Nieszczęśliwy pewnie człowiek.

— Mówił mi Grzenia — Bąk pykał dymki wprost do ogrodu w kierunku płotu-zagadki — że to tajemniczy człowiek. Szuka czegoś nieustannie i nie może znaleźć. Nie wierzę w głupstwa, rozumiecie, sąsiadko, ale wierzę... w duchy.

Wielki kłęb dymu sterował jak okrągły balon prosto na siatkę. Bąk minął Janczykową i wszedł do ogrodu. Badał szczegółowo druciane oczka, ale nie znalazł w nich żadnego uszkodzenia. Kręcił więc głową i mruczał niezrozumiałe domyslniki.

— A ten młody facet to kto? — zapytał w końcu głosem podejrzliwego detektywa.

— Noo, w każdym razie nie duch — śmiała się Janczykowa.

— Więc kto?

— Młody, sympatyczny człowiek, który stwarza duchy...

## CO SIĘ ZNAJDUJE W TORBIE GÓRNICZEJ

Kaj, pupil pięciu opiekunów, przychodził powoli do zdrowia, ale nikt jeszcze nie powiedział o tym Meyerowi.

— Powiecie mu o tym — rzekł stary Szymon — gdy już pewny będzie wynik kuracji. Nie krzyczymy, Olek, hop, póki wody nie przeskoczymy.

— Donieście biednemu człowiekowi przynajmniej to, że żyje — radziła matka Olka. — Jeśli on tak go kochał, to strasznie cierpi.

— Cierpi, ale cierpiałby jeszcze bardziej — utrzymywał brat — gdyby w końcu historia się jeszcze raz powtórzyła.

Więc milczano. Chłopcy przebywali najczęściej u Piotra Wałęgi. Zastawali go przeważnie obok modelu kopalni. Technik i ojciec Jędrka uzupełniali bez przerwy mechanizm gigantycznej zabawki. Działo się to jedynie wieczorami. Jędrkowi wydawało się wtedy, że kopalnia ojca zachowuje się jak żywy organizm. Rozumowała logicznie. O tym przekonany był również Olek. Wzdychał:

— Mówię ci: mózg elektronowy.

Bardzo mocne wrażenie wywierała maszyna wyciągowa ze swym ochryplym, świszczącym oddechem: siff, siff, siff. Życie kopalni urozmaicała klekocąca kolejka linowa, odwożąca węgiel do koksowni.

— Tak, tak — gawędził ojciec Jędrka — nie ma chyba górnik, który by nie miał swego hobby, swej rozrywki.

— Mój wujek — wtrącił Olek — ma gołębie. Mój tatuś rzeźbił bez przerwy śliczne figurenki. Mama je przechowuje jak świętość.

— Częstokroć zabawka górnika ma jeszcze jakiś głębszy sens, jest zdrową i pożyteczną rozrywką.

— Na przykład, tatusiu?

— Mój model pomaga mi w stosowaniu ulepszeń w pracy górnika, usprawnieniu maszyn i urządzeń w kopalni. Poza tym kopalnia, nad którą pracuję przeszło dwadzieścia lat, jest słoneczkiem mego twardego życia.

— Wobec tego — wtrącił się Olek do rozmowy — stosuje pan w swojej kopalni wszystkie praktyczne rzeczy, które pan w robocie swojej zdobył.

— Tak, na pewno.

— A czy wszystkie nauki, które od ciebie nieraz słyszymy — zapytał Jędrak — pochodzą tylko z twego własnego doświadczenia, czy też je otrzymałeś od kogoś innego?

Ojciec milczał. Pewnie zastanawiał się, co synowi odpowiedzieć. Wreszcie uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Przeważnie ojciec udzielał mi takich rad, które niemal zawsze były trafne. „Masz już, synku — rzekł kiedyś — szesnaście lat. W tym wieku wszyscy Duszkowie obierali sobie zawód, przeważnie górniczy. (Sam nie wiem nawet dlaczego górniczy. Pola było pod dostatkami, a zawsze mieliśmy do czynienia z węglem). W Szarej Wsi poznikały już wszystkie większe gospodarstwa, teraz przychodzi kolej na Starą Wieś. Więc pewnego dnia obudzimy się, a pola już nie będzie. Zawód górniczy jest co prawda ciężki, nawet niebezpieczny. Jeśli jednak w czasie pracy, będziesz miał oczy i uszy otwarte, nie może ci się więcej zdarzyć, co chłopu na roli. W moich radach zawarte są doświadczenia wielu Duszków. Nikt z nich, o ile wiem, nie miał poważniejszego wypadku w kopalni”.

— A te rady?

— Dziadek twój zaznaczał żartobliwie, że pochodzą z wielkiej i praktycznej torby górniczej. „Pamiętaj, Jędrku — powiedział — że w kopalni będziesz miał do czynienia z martwymi przedmiotami, które nie myślą. To ty winienesz myśleć za maszyny. Nie dowierzaj nigdy swemu losowi”. Pracowałem przez pewien czas przy ciągach rynnowych. Ojciec powiedział wtedy tak: „Gdy przystępujesz do naprawy ciągu rynnowego, wyłącz najpierw silnik. Nie smaruj motoru podczas jego ruchu”. Znał wszystkie roboty w kopalni. Jednak torbę górniczą Duszków zapełniałem też własnymi doświadczeniami.

— Przypuszczam — podsunął Piotruś ze znaczącym okiem w kierunku Jędraka — że w tej wspólnej już torbie znajdują się także nauki i pomysły wielu dawnych Duszków.

— Tak. Ktoś z naszych dziadków przekonał się na przykład, że obfite zraszanie ściany przodku zapobiega wybuchom pyłu węglowego. Buch więc z tym do torby górniczej! Zrozumiecie, że ta zasobna skarbonka ma dla stanu górniczego olbrzymie znaczenie. Daje ona w każdej chwili praktyczne wskazówki, jak się zachować w wypadkach wyjątkowych.

— Proszę pana — odezwał się Olek — a o lampach górniczych torba też wie?

W pierwszej chwili Duszka spojrział nieco zaskoczony na Olka, potem jednak odparł spokojnie:

— Ależ tak. W tym uniwersalnym zasobniku zmagazynowana jest cała tradycja górnicza. Zresztą ludzkość ma takich „torb” niezliczoną ilość, każdą na inny odcinek życia. W każdej przechowuje się skrupulatnie owe tradycje. Jeżeli bardzo dawno temu jakiś genialny człowiek zastąpił smyk, tj. rozwidloną gałąź do transportu rzeczy, kołem, zaoszczędził swym następcom wiele czasu na jego wynalezienie. Mogli oni za to poświęcić się pracy nad ulepszeniem koła i wozu.

— Ciekawym — powiedział Jędrak półgłosem do siebie — czy w tej praktycznej szkatułce są też wynalazki Jindrzicha?

Ojciec nie zrozumiał tej mimowolnej refleksji, udzieliły mu się jednak myśli Jędraka, jakby je odgadł. Rzekł bowiem prostując zgarbione plecy:

— Możemy mieć nadzieję, że w naszym rodzinnym magazynie kryje się gdzieś sprawa

odkrycia pierwszego węgla w Szarej Wsi.

— I pierwszej kopalni, pierwszego szybu — zawołał Olek jakby się zaliczał do rodziny Jędrka.

— Gdzieś tam w pamięci płacze mi się jakieś wspomnienie o sztolni — mówił Duszka — o szybach haszplowych... Podobno wszystko to zrodziło się wśród Duszków. Ale może to być również tylko legenda. Ludzie nie mieli czasu notować tego w kronikach.

— A więc szukajmy dalej prawdy — krzyknął Jędrak. Obaj chłopcy zerwali się z miejsc i wyfrunęli jak na skrzydłach z tajemniczo oświetlonej izdebki.

Ojciec Jędrka odprowadził ich zdziwionym wzrokiem, a Piotruś uśmiechał się do siebie.

## KAJ BUDUJE MOSTY

Kaj rozpoczął swoje pierwsze spacerowanie w obrębie podwórka. Było tam wiele ciekawych rzeczy do oglądania. Pod altanką tkwiła stara psia buda, sucha i sympatyczna. Ozdrowieniec wsunął się do niej i leżał w słonecznej psiej willi z wyciągniętą szyją i z oczyma wędrującymi po całym placyku. Kaj udawał brytana, a może starego Burka, który kiedyś tę arcyprzyjemną budowlę zajmował. Dokonawszy zaboru budy, pies wyruszył na dalszy rekonans podwórza. Jego nagłe pojawienie się wywołało przede wszystkim popłoch wśród kur. Pozostawiły w misie smaczny kogel-mogel z ziemniaków i zsiadłego mleka, a same, wrzeszcząc ze zdenerwowania, obserwowały z odległości intruza. Kaj nie troszcząc się zupełnie o histeryczne gdakanie, zabrał się do konsumowania kurzego delikatesu, na koniec zaś dokładnie oblizał misę. Był to pierwszy solidny posiłek, który po okresie długiej choroby zjadł ze smakiem. Wreszcie, obgadywany coraz energiczniej przez kurzą gromadkę, położył się wygodnie obok misy. I tutaj właśnie przydybała go matka Olka. Odgadła od razu przyczynę szalonego rejuwaku, ale nie robiła psu wymówek. Pies korzystał z tych samych przywilejów co chory człowiek. Kobieta wzięła go na kolana i jęła lekko drapać za uszami. Kaj zmrużył rozkosznie oczy. Wprawdzie był z wszystkimi w domu na poufalej stopie, ale najbardziej lubił towarzystwo gospodyni.

Pies zadomowił się w nowym miejscu tak, że można go było posądzić o brak przywiązania do dawnego pana, ale pewne objawy u niego świadczyły, że było inaczej. Nierzadko ogarniał go jakiś dziwny niepokój, który wypędzał go na ulicę. Tutaj siadał przed furką, wpatrywał się długo i tęsknie w dół ulicy, a potem — wciąż pod działaniem tej samej uczuciowej siły — puszczał się bez pamięci w dal i... po stu, dwustu metrach przysiadł. Oglądał się za domem, z którego wypadł i wracał wolno z opuszczonym ogonem do kobiety...

Po jednej z takich ucieczek pies wrócił jak zwykle na podwórze, pomknął do kuchni, żądny kobiecej pieśczozy, dla której przecież zawrócił ze swej drogi obowiązku, lecz w domu nie było nikogo. Kaj pognał do ogrodu, zaglądał między krzaki, włożył głowę do altanki, lecz i tam nie było jego pani. Zaczął więc okrażać dom, coraz niespokojniejszy, coraz bardziej zdenerwowany. W końcu usiadł na chodniku prowadzącym do ogrodu. Siedział smutny węsząc i kręcąc głową na wszystkie strony. Nie cieszył go nawet widok gołębi zaglądających do niego z dachu, choć lubił je oszczekiwać i trochę straszyc. Zawył żałośnie. Wtedy w luce stryszku nad obórką ukazały się czyjeś nogi i Kaj skoczył jak opętany.

— Kaj — posłyszał gruby głos — jesteś mazgaj. Wstydz się, pieśczocho!

Był to stary gdera, jak go w myślach nazywał pies, ale był to dobry gdera, który nie robił nikomu krzywdy, a z Kajem bardzo się zaprzyjaźnił. Pies kręcił się dokoła inwalidy na dwóch nogach i lizał go po rękach.

— Tak, Kaj — rzekł wujek Olka — widzę, że ci kogoś potrzeba. Żal ci nas opuścić, ale ciągnie cię miłość do dawnego pana. No, nie wariuj. Olek cię odprowadzi. Jesteś już zupełnie zdrow, więc zniesiesz każdą rozłąkę. Daj łapę.

Tymczasem Olek załatwiał pewne rzeczy w mieście, a gdy wracał do domu, po drodze wpadł do Jędrka z tą swoją ważną miną, z której zawsze można było odgadnąć, co ma na sercu.

— Pewne go widziałeś?

— Tak. Byłbym się z nim nawet zderzył. Był zamyślony.

— I co?

— Pozdrowiłem go głośno. Rozumiesz?... I przystępuję ci do niego, aby mu opowiedzieć o Kajku, a on spojrział na mnie tak obco, że się cofnąłem. Szedłem powoli za nim i widziałem, że skręcił w stronę Strapiciela, ale nie doszedł do niego, tylko zaczął się wspinać po zboczu do góry.

— Przypominasz mu Kaja, stąd więc ta wrogość. Olek, nic możemy się na niego za to gniewać.

— Na niego? Nigdy. Wiesz, szedłem tuż za nim i słyszałem co do siebie mówił. Szuka wciąż czegoś...

— Może... ducha Kaja.

— Tak mi się początkowo wydawało, ale potem doszedłem do innego przekonania. „Gdzie to jest? Gdzie to jest?” Stawał często i zastanawiał się głęboko. „Gdzie to jest?”

— Rzeczywiście, to bardzo dziwne. Postanowiliśmy jednak, że pójdziemy do niego z Kajem. Prosiłem Piotrusia, żeby z nami poszedł. Przyjdziemy dzisiaj wieczorem. Zresztą uważaj na sygnał, bo może coś zajść.

Ponieważ Jędrak zatelegrafował pod wieczór, że wszystko w porządku, Olek zaczął robić przygotowania do drogi. Przede wszystkim założył Kajowi Burkową obrozę na kark, potem włożył do kieszeni skórzaną smycz. Pies jakby przeczuwał rozłąkę. Przypadał co chwila do domowników i lizał im ręce. „Stary gdera” podniósł go i kusztykał z nim po kuchni jak z dzieckiem.

Gdy już chłopiec wyruszał, wujek zapytał:

— A na co ci koc?

— Opowiem, gdy wrócę.

— Nawet smycz nie jest potrzebna. Nie widzisz, że to Kaja drażni?

Na ulicy czekali Piotruś i Jędrak. Kaj przywitał się z nimi jak ze starymi przyjaciółmi, potem biegł obok nich, łapiąc co chwila skórzaną linkę zębami. Piotruś zauważył, że Kaj nie znosi ani obroży, ani smyczy.

— Trzeba ją było wziąć — tłumaczył Olek. — Zobaczycie, co zrobi, kiedy oddalimy się od domu.

Istotnie Kaj się zatrzymał i zwrócił głowę w stronę domu. Było widoczne, że tamta siła odezwała się znowu, wabiła go i kusiła najslodszyimi wyrazami. Kaj szczechnął jakby nie umiał dać sobie z nią rady. „Pomóżcie mi — zdawały się mówić jego bursztynowe oczy — albo mnie puśćcie”. Jego zęby zaczęły szarpać skórzaną linkę.

— Weźcie go na ręce — rzekł Piotruś. — Trzeba mu trochę pomóc w tej walce.

— Nie, nie — opierał się Olek — on pójdzie sam.

Pogłaskał czule Kaja, który pobiegł drobnym truchcikiem dalej, ale wrósł jeszcze raz w ziemię, a mądre oczy skierowały się na dom.

— Jak mi go żal — rzekł Olek — żeby to nie był On, to bym go nie męczył.

Kaj jakby to rozumiał, podskoczył i liznął Olka w nos. I to go nieco uspokoiło. Podreptał znowu kawałek drogi, tym razem nieco dłuższy. Krótki odpoczynek, spojrzenie na znikający już za drzewami dom i dalszy etap drogi. Przyjaciele zauważyli, że pies podniósł ogon, że merda nim jak wiatr chorągiewką, że zwycięża w nim wierność do dawnego pana i

wreszcie bieg jego staje się raźniejszy, a odcinki drogi oddzielane kolejnymi odpoczynkami — dłuższe.

Przed domem ogrodnika, w którym mieszkał Meyer, Olek wziął Kaja na ręce i owinął szybko, kocem. Pies szamotał się chwilę w tej duszącej oponie i zaskomlał kilka razy, ale potem ucichł.

— Dlaczego go męczysz? — zapytał Jędrrek zgorszonym głosem.

— Inaczej nie byłoby niespodzianki. Wyobrażasz sobie, jak On się będzie cieszył?

W schludnej sieni odszukali bez trudu śnieżne drzwi z napisem „Gottlieb Meyer”. Świadomość, że przyjemnie jest robić dobrze, podnieciła ich wyobraźnię. Zastukali wszyscy trzej naraz i prawie natychmiast wtoczyli się z hałasem do jasnego pokoju, oświetlonego dwoma szerokimi oknami.

Meyer siedział bez marynarki przy stole zarzuconym krótkimi klockami, wiórami i różnymi narzędziami. Na tekturowym pudełku stały w równym, wojskowym szyku kolorowe figurynki. Sam gospodarz odwrócił się nieco, zaskoczony rumorem, i z takim wyrazem twarzy zastygł na widok chłopców, których zaraz poznał.

— Panie Meyer — rozpoczął Piotruś, najbardziej przytomny z trójki — stracił pan niedawno temu psa...

— Nie mówmy lepiej o tym. Przeboleję i to.

Jego rysy zastygły w wyrazie cierpienia. Czekał, by odeszli. Kiedy jednak spod koca wydobył się przytłumiony skowyt, Meyer podniósł oczy na Olka. Nie było w nich przyjaźni. Piotruś zmieszał się nieco tym przyjęciem, ale postanowił odegrać swoją rolę do końca.

— Właśnie przynieśliśmy go panu...

— Nie chcę żadnego psa. Powiedziałem to już tym chłopcom.

Przymknął oczy jakby sam widok ich sprawiał mu ból, dłutko w jego ręce wbiło się w blat stołu. Wtedy Olek odsłonił koc a z niego, jak z cylindra czarodzieja, Kaj szusnął na podłogę, a stąd na kolana swego pana. Pokój napełnił się wesołym jazgotem i szczęśliwym śmiechem człowieka. Piotruś, przyklepiony do samych drzwi, skinął na chłopców. Otworzyli je po cichutku i wysunęli się do sieni.

— No trudno — rzekł wieczorem stary Rajda siadając do kolacji — trzeba się z tym pogodzić.

— Z czym? — zapytał żywo Olek.

— Było tak samo z Burkiem. A później się zapomniało... Czas goi największe rany.

— Zależy — odpowiedziała jego siostra. — Nie tak łatwo zapomnieć Burka. Przecież wiesz sam...

— Dlaczego, mamu? — zapytał Olek. — Co się stało?

Matka rzuciła jedno z tych szybkich spojrzeń bratu, którymi komunikują się starsi w sprawach nie dotyczących dzieci, potem rzekła z ociąganiem:

— Poleciał w tym samym dniu, co twój ojciec i nigdy już nie wrócił.

— Jak to?

— Zawsze czekał na twego ojca przy bramie kopalni — odparł wujek suchym, nieprzyjemnym głosem. — Zapomnijcie więc o Kaju.

Ale Kaj nie zapomniał. Wczesnym rankiem otworzyły się raptem drzwi do kuchni i Kaj wpadł jak bomba na wujka Olka. Umiał je otwierać sam rzucaniem się na klamkę.

Przyjęcie, jakie zgotowano tu staremu przyjacielowi, było wspaniałe. Kobieta przyniosła mu świeżego mleka koziego, które przed chwilą udoiła. Olek dokazywał z nim na podwórku. Pies jakby zapomniał o Meyerze, ale już przed szóstą domownicy zauważyli, że się niepokoi. Nagle zdecydował się na ucieczkę. Ruszył na ulicę i znów, jak owego wieczoru, przebywał ją odcinkami. Nad przepaścią jednak, która dzieliła go od swego pana, istniał już most. Pies przebył go wolno, a później, nie zatrzymując się nigdzie, biegł szybko na spotkanie nieszczęśliwego opiekuna. Odtąd Kaj odwiedzał swoich przyjaciół codziennie, i zawsze o tej

samej porze znikał.

Jednego razu Rajda wywołał swoją siostrę z domu i wskazując wzrokiem w stronę płotu, zapytał:

— Co to za typ? Stoi tu już od pół godziny i gapi się bez przerwy na nasz dom.

— Nie wiem. Pierwszy raz go widzę.

Z rękami opartymi na sztachetach stał człowiek z siwymi włosami i wpatrywał się w okna domu, jakby je liczył. W tej samej chwili wyrwał się z budy Kaj, przecisnął się niby wąż przez płot i z radosnym poszczekiwaniami zaczął okrążyć nieznajomego.

— Boże — szepnęła matka Olka — czy to nie jest On?

— On?

— Szkoda, że nie ma Olka.

Pies i jego pan oddalali się wolno, wreszcie znikli w dole ulicy. Wizyty dziwnego człowieka powtarzały się dość często. Zawsze wspierał ręce o sztachety, zawsze wlepił swe świetliste oczy w jasny dom. Gdy go w tej pozycji przydybała kobieta, uchylał lekko kapelusza — jeśli w nim był, lub skłaniał niemo głowę, potem ruszał w drogę powrotną.

Razu jednego Olek przepychał w furtce rower z klatką gołębi na bagażniku. Nagle ktoś mu pomógł. Był to Meyer.

— Gołębie, gołębie... — szeptał. — Gdzież ja je widziałem? Dokąd je wieziesz?

— Na stację. Wyjeżdżają do Anglii. O, ten z tą białą obwódka na szyi, to trzykrotny zwycięzca...

Ale Meyer nie podjął tematu. Zadumał się jeszcze bardziej niż zwykle, potem powtarzał:

— Gołębie, gołębie...

## CO NOWEGO NA POREBIE

Za garbatą groblą wynurzał się omszały daszek młyna, a za nim widoczna była wielka, znana im już zagroda, ginąca w pstrej szacie owocowych drzew, których gałęzie zwisały pod ciężarem czerwonych jabłek i złocistych gruszek. Jędrak oderwał na chwilę oczy od tej jesiennej obfitości i spojrzał na Olka, który wywracał koziołki, a potem kroczył naprzód na rękach. Przed nimi zaś szedł jak zawsze uważny Piotruś niosąc swój skarb-lampę.

— Dzisiaj wejdziemy do chaty, Olek — rzekł Jędrak.

I oto rozdziawił się nareszcie sad, a z powstałego gardła wypłynął gontowy dach, pod którym zabieliły się małe okna. Na to Olek zaprzestał swych karkołomnych sztuczek i jak cyrkowiec śmignął na równe nogi.

— Dobrze, wejdziemy do chałupy — krzyczał. — Powitamy Jindrzicha. Tam nas poczęstują razowym chlebem z masłem i świeżą maślanką. Właśnie na to mam ochotę.

Nigdy jednak nie można przewidzieć, co nastąpi i co nam szyki popsuje. Tym razem był to niedaleki śpiew z swawolnymi pokrzykiwaniami, który pokrzyżował wszystkie ich plany.

*Siedział cygan z rana, ha!*

*Na kopczech siana,*

*Siedział cygan z rana, ha!*

*Na kopczech, ha!*

— Jindrzych — Wrzasnęli obaj chłopcy naraz.

Nie było już sensu maszerować dalej. Niedługo potem zaskwierczał pod lasem wóz. Jęczał i piszczał aż uszy puchły, wreszcie wykroił się żywy i cały z wysokiej, suchej trawy. W miejscu jednak tarpanowatych koników parskały przy dyszlu dwa wielkie kasztany. Olek, wiadomo, wytrzeszczył oczy i gapił się na wóz z dwoma mężczyznami, których nie znał. Trącił więc swoim zwyczajem Jędrka łokciem.

— Jędrak, to chyba nie Jindrzych.

— Ani Pawlik.

— Ale jego głos.

— ... Na kopeczce, ha...

— Piotruś, czy to oni?

Tymczasem na wozie spostrzeżono ich również. Woźnica skrócił lejce i wrzasnął:

— Prr, stójże do licha! Heeda, coście za jedni?

Olek machał przyjaźnie ręką, Jędrak stał bez ruchu, ale rozjaśnił całe oblicze, Piotruś zaś wysunął się naprzód. Pierwszy odezwał się Olek:

— To ja!

— Jaki ja? Widać przecie, że was trzech...

— Olek Plecionka, krewny Francka Plecionki. A to Jędrak Duszka. Przed nami zaś pan Wałęga.

Byli już bliżej wozu, więc poznali Jindrzicha i Pawlika. Starsi jednak byli i mężniejsi. Jindrzych powiódł po nich oczyma jakby ich nie znał, natomiast Pawlik wychylił się odrobinę z wozu, okazując pewne zainteresowanie tym spotkaniem.

— Jindrzych — rzekł półgłosem — przecież to oni.

— Kto?

— Raz ich tylko widziałem, a zapamiętałem. Dyć ten Duszka, wiesz. Widzisz, że w tych samych punczochach i ciźmach jak pachółki na zamku raciborskim.

— Czekajcie. Tyy, tyś Duszka?

— Tak.

— A to pewnie ów Aleksander, co wrył się kopalnianymi sanicami w czarny śrut.

Olek pokazywał wszystkie swoje zęby w uśmiechu, a pięścią się uderzał w piersi. Jindrzych, choć bardzo już dojrzały, odsłonił również swoje siekacze, co Olek natychmiast zrozumiał jako gotowość do figli i psikusów.

— Tak, to oni. Dziesięć to już років, a te wilczęta nic nie urosły. Siadajcie z nami, jedziemy do gruby. Pan ślachcic z nami, a królowie w słomie. Jeno ostrożnie, leży tam pod mierzwą kudłaty niedźwiedź. Nic się nie bójcie, już się nie rusza.

Chłopcy wtargnęli na wóz jak Indianie, ale już po chwili spoglądali niepewnie na długi wałek leżący obok ich nóg. Piotruś usadowił się obok Jindrzicha. Wnet też potoczyła się między nim a sąsiadem żywa rozmowa. Chłopców jednak skuwiała dziwna obawa. Wreszcie wścibski Olek odsunął trochę słomy butem, a wtedy spod cienkiej, rozczochranej siatki słomy, jak spoza kraty więziennej, lypnęły na niego ciemne oczy. Olek spojrzął na Jędrka, potem uszczypnął go boleśnie. Obaj już byli pewni, że pod słomą się ktoś ukrywa.

Wóz wtoczył się na most i zadudnił basem po krągłych belach. Pod nim bełkotała Leśniówka pędząc w objęcia leśnego młyna pod zagrodą Duszków.

— Duszka, Macedończyku, patrzcie! — zawołał Jindrzych.

Jego leszczynowe biczyisko zatoczyło łuk ku wzgórzom, które wyrastało po prawej stronie. I oto co ujrzeli: las, ongiś wspaniały i szumiący, leżał teraz pokotem, a obła, naga skarpa naszpikowana była żółtkami karczów. W tym obezwładnionym brzegu czerniła się czeluść, wydrążona niby mamucim kłębem. Droga, okrążająca górę, była silnie zużyta. Wszędzie poniewierało się pełno węgla, znaczonego złotymi żyłkami.

— Gruba — śmiał się Jindrzych — gruba Duszków.

— A jak ludzie? — zapytał Piotruś. — Kupują węgiel?



— Idą wagle jak woda w Leśniówce.

— Eee, idą — drwił Pawlik — jak woda, ale się też jeno na słoną wodę zarabia, boć tylko bieda się nimi obżera nie mając dostępu do pańskich lasów... Prrr...

Wóz stanął. Piotruś wylądował pierwszy na spopielątej ziemi. Dwaj dorodni bracia skoczyli za nim. Stanęli obok niego szeroko na swych długich, mocnych nogach, Jindrzych podparł się w boki i zawołał wesoło, na cały głos:

— Heedaa! Wawrzek! Wawrzek! Gdzie to jesteście?

Na to zaszeleściła ostrożnie słoma, a z wozu wychyliła się długa, łysa głowa z kruczą podkową włosów nad odstającymi uszami. Czarne oczy, jakby utoczone z węgla i kości słoniowej, zetknęły się ze spojrzeniami chłopców. Gdy wreszcie wygramolił się ze swego posłania, zdumiał Olka i Jędrka swoim olbrzymim wzrostem.

— No, nie niedźwiedź? — zapytał Jindrzych.

Wawrzek zaśmiał się urywanym i ponurym ha, ha, ha, potem przeciągnął się i ziewnął odsłaniając blade dziąsła i szerniałe zęby.

— Małom co w nocy spał — rzekł. — Krzystek się rozwrzeszczał, bo go cosik morzyło aż do bożego rana.

Wawrzek miał na sobie skórzany fartuch z kępkami rdzawej sierści. Teraz wtoczył na głowę dziwaczną kapucę i ruszył w stronę szybu. Szyb ten różnił się już nieco od poprzedniego. Była to bowiem mała budowla-szopa z jedną tylko ścianą, ale zabezpieczona dobrze przed deszczem żółtą, słomianą strzechą. Tuż przy niej leżał urobek kilku szycht w postaci okazałych brył węgla.

Wawrzek stanął obok tej kopalni i zapalił glinianą fajkę na zakrzywionym cybuszku.

— Kto to? — zapytał Jędrak.

— Przecież słyszysz: Wawrzek.

— Czy aby nie Plecionka? — Badał Olek, u którego pasja dociekania tajemnic wzięła znowu górę. — Pewnie mąż tej dzielnej kobieciny, która zbierała zioła.

— Tamto była Kopciowa, a Wawrzek jej mąż — Kopec.

— Prędko zapominasz nazwiska, Olek — śmiał się Wałęga.

— Plecionki nigdy nie zapomnę. To był na pewno jakiś możny ród.

— Ślachtetny ród kopaczy węgla! Nie bój się — rzekł Jindrzych — wnet ty tu swego Plecionkę zobaczysz. — I zakończył poważnym głosem: — Widzieliście te martwe oczy? Jego nic nie raduje. A mnie, wesołkowi, płakać się chce nad tym nieszczęśnikiem.

— To ten — wtrącił Olek — co do pruskiego wojska poszedł...

— Ten. Był muszkietnikiem w samym Leibregimencie króla. Oo, Fryc tych wielkoludów wykradał ze wszystkich krajów. Jednego razu Wawrzek pokazał królowi pięty i tłukł się od roboty do roboty tam na obcej ziemi. Najwięcej wszakże życia zakosztował w rozmaitych grubach. Łacniej mu tam się ukrywać było, łacniej posuwać ku naszej granicy. A co gruba, to nowe górnicze zdobycze. Nasz Wawrzek wszystko to ugniatał w swojej bergmańskiej kajstrze. Ledwo to już udźwignąć może... Jednej nocy ktoś tam wali do naszego okna. Kto? Wawrzek.

— I wrócił do Kopciowej.

— Ech, było tam po co wracać. Baba już nie żyła.

— Umarła?

— Na stosie ją spalili. Był taki co ją oskarżył, że gospodarzy po oborach i mleko krowom zabiera. Przez dwanaście godzin leżała przywiązana na zielaznej drabinie, a kaci ją przypiekali. To i przyznała się do wszystkiego.

— Do czego? Przecież to nieprawda!

— Powiedziała, że zapisała duszę czartu, że w noc Walpurgi ucztowała z innymi czarownicami i diabłami na Łysej Górze, że raz tam odbyła podróż na miotle, drugi na łopacie z pieca, a trzeci, że na grabiach. Pytali jak to robi. Więc rzekła, że smaruje łopatę zaczarowa-

na maścią... A sędzie we wszystko to uwierzyli.

— A ty, Jindrzych? — Zapytał Jędrzek.

— To nie byłbym Duszką. Mnie jeno żal Wawrzka. Nie może głowy wychylić, boby go zaraz łapacze w dyby wzięli.

— Widać nie mają serca.

— Mają. Ale się to opłaci. Kat po każdej sprawie dostaje od rajców talara i 40 groszy. A nawet lichy obwoływacz wpycha do mieszka 12 groszy za ogłoszenie. Są jeszcze łapiduchy...

— Jindrzych, doczekać się ciebie nie mogę! — wołał Wawrzek.

— Zostaw gadanie na później. Goście nie uciekną. Patrz, jak Pawlik fedruje...

Pawlik rzeczywiście wrzucał wielkie bryły węgla na wóz nie oglądając się na niczyją pomoc. Jindrzych przebrał się szybko w strój górniczy. Były to podarte spodnie i połatana, brudna koszula. Wawrzek przyglądał mu się krytycznie, wreszcie rzekł niechętnie:

— Powinieneś też coś pod kłobuk wziąć. Patrz.

Kopeć zdjął kapucę i podsunął jej wnętrze pod oczy Jindrzicha. Było wymoszczone wklęsłym krążkiem z drzewa.

— Wszędzie, gdzie był, zabezpieczano łepetę przed kamieniem, który spaść może ze stropu.

— Mam zielazną głowę, Wawrzku — śmiał się Jindrzych.

Podczas tych pouczeń Piotruś i chłopcy przypatrywali się „nadszybiu”. Podłogę stanowiły gładkie deski, które równo obramowały wielką studnię z kołowrotem. Z głębi wyzierały końce drabiny. Piotruś oglądał kołowrót ze wszystkich stron, ale chłopców zajmowała bardziej drabina.

— Jindrzych — pytał Jędrzek — jak głęboka jest twoja kopalnia?

— A będzie około dwadzieścia pięć łokci — odparł zamiast niego Kopeć.

— Łokieć?

— Łokieć ma dwie stopy.

Piotruś wyjaśnił krótko:

— Były różne stopy i różne łokcie. Przeciętnie łokieć ma około sześćdziesięciu centymetrów. Szyb ma piętnaście metrów. Ale popatrzcie na kołowrót. Tutaj również postęp. Ma tryby i urządzenia zabezpieczające przed runięciem beczki w dół.

Kopeć i Jindrzych byli gotowi do „zjazdu”. Jindrzych postawił nogę na szczeblu drabiny, za nim ustawił się Kopeć, a chłopcy skoczyli za jego plecy. Wtedy Piotruś spojrział na swoją białą koszulę, westchnął i również włączył się do kolejki. Jindrzych schodził powoli po drabinie. Jego olejny kaganek łyskał w studni i oświetlał słabo mokre ściany. Nagle posłyszano szybkie dudnienie czyichś kroków.

— Co tam? — zawołał Jindrzych, który je również usłyszał.

Nad szybem pochylała się blada twarz Pawlika.

— Wawrzku, już was nie ma. Jacyś zbrojni ludzie wdarli się na porębę. Wałą wprost na szyb. Za chwilę tu będą. Powstrzymam ich jak długo będę mógł, ale radźcie coś sami.

Jindrzych przyłgnął na chwilę całym ciałem do szczebli drabiny. potem przyspieszył schodzenie. Na pięterku zderzył się z Wawrzkiem gorącymi, przyspieszonymi oddechami.

— Myślisz, że po mnie? — zapytał Kopeć.

— Zaczekaj, ciachnę linę.

— Pozostają drabiny. Może jedną zerwać?

Na dole rozległ się głuchy łoskot. To beczka, podcięta ręką Jindrzicha, runęła w dół.

— Drabiny przymocowane gwoździami do bierwion. Zejdźmy na drugi pomost, Wawrzku.

Na pięterku znowu słuchali głosów docierających z góry, ale były to szepty chłopców.

— Słuchaj — powiedział Wawrzek Kopeć przytłumionym głosem — jeśli mnie pojmy, myśl o moich dzieciach. Jindrzych, czy mnie słyszysz?

— Bądźcie spokojni, Wawrzek. Nie ma nic straconego. Może Pawlik ich zawróci, pójdą gdzie indziej, Wawrzku, przecie nie mają światła.

— Pełno szczap smolnych za szopą, Jindrzych. Nic ich nie powstrzyma, jeno puste zejście. Biegnijmy jeszcze niżej, do rząpia. Tam z drabiną będzie łatwiej.

Wszyscy już byli na dole. Kopeć i Jindrzych schwycili drabinę i poczęli nią wykręcać. Jęczała i trzeszczała, aż wreszcie ze zgrzytem zjechała po obudowie szybu i spoczęła na niej dwa metry niżej od pomostu. Wawrzek zdjął kapucę, otarł pot z czoła, potem spojrzął do góry. Właśnie wtedy rozległy się tam jakieś pomieszane głosy. Przedzierały się one zniekształcone do słuchających.

— Gdyby ich było trzech — rzekł Kopeć — podciąłbym im wnetki nogi i pierchnął do boru. Ale widać, że dybie ich tam więcej.

— Są — szepnął Olek.

— Hoo—hoo—hoo... — wył ktoś na górze. — Jindrzychu Duszko!... Odezwijcie się, albo zejdziemy do was.

— Pocałujcie mnie w nos — mruknął Jindrzych.

— Pocałujcie nas wszystkich w nos! — krzyknął Olek przez tubę z rąk do góry.

— Milczałbyś — rzekł ponuro Wawrzek Kopeć — przecie nie chcemy by nas słyszeli.

— Szukamy Wawrzona Kopcia... Powiadają, że tu przebywa. Wielmożny pan Gaszwiec jest pewny...

Wawrzek rzucił przekleństwo, spojrzął dziwnie na Piotrusia i chłopców, potem obrócił się i ruszył do chodnika. Tutaj musiał się schylać, bo był tak wielki, że zawadziłby głową o poprzeczne stropnice. Jindrzych nie troszcząc się o swych gości szedł za nieszczęśliwym, zdjęty żalem że nie może mu ani pomoc, ani przynieść pociechy. W przodku usiedli obaj na wózku.

— Jindrzych, już wiem — odezwał się po krótkim milczeniu Wawrzek. — Wiem co zrobić.

— Noo...

— Obliczyliśmy przed paru dniami, że chodnikiem przemy prosto do sztolni. Ile też może być do niej?

— Dziesięć, może dwadzieścia stóp.

— A może mniej...

— Może mniej.

— Dawać tu zielazo! — wrzasnął nagle Wawrzek rzucając się do przodku, prosto na ścianę i poczynając ją okładać oskardem jak wściekły.

— Malcy — ryknął — ładować węgla do skrzyni i spychać ku studni! Zobaczmy, czy mnie dostaną!

— Pan ślachcic też — zawołał Jindrzych — tu chodzi o życie człowieka. Zwalać przed chodnik...

— Jindrzych, co to za gruba u ciebie, kiedy powietrza tu ani na lekarstwo — dyszał Wawrzek — na Saksach w każdym najmarniejszym szybiku wielkie, skórzane miechy dmą lufterem aż miło.

— Zawsze się myślało, że sztolnią podciągniemy się pod szyb, to i powietrza byłoby do syta. W starym szybie to i miech był.

Gdy więc górnicy coraz częściej przerywali pracę, by odświeżyć się haustem zepsutego powietrza, „wozakom” wcale nie było łatwiej. Olek ze skorupą potu i pyłu na twarzy podobny był do półdiabła, a Jędrka wcale nie było widać, bo klęczał przy ładowaniu. Jedynie elegancki Piotruś, choć równie umorusany, zachował jeszcze coś z bieli swojej koszuli. Skrzynia na kołach, pojemne pudło, toczyła się tam i nazad. Za każdym razem wszyscy trzej „wozacy” zadzierali głowy do szybu. Prześladowcy z nie mniejszym hałasem łowili długą kluką koniec drabiny, która jednak umykała im co chwila. To wszakże, iż dwóch dryblasów oświetlonych

łuczywem stało na najniższym pięterku, budziło coraz większy niepokój u chłopców. Pracowali jednak zaciekle.

Naraz Kopec odstał od ściany i wsparł się na oskardzie. Na szerniałym jego obliczu pot złościł białe skiby. Jindrzych odwalił kęs węgla i również przerwał.

— Nie umiecie już, co? — zapytał łagodnie.

Kopec nie odpowiedział. Wskazał styliskiem na czarną skałę.

— Trzepnij no łomem tę stupiorunową opokę, Jindrzych, coś mi się zdaje...

Jindrzych nie pytał więcej, przytknął łom do szczeliny i pobił perlikiem tak wściekle, że żelazo wymknęło mu się z rąk. Zwrócił się do Wawrzka z przerażonymi oczami.

— Przeklinajcie mnie teraz, bom łomu się pozbył na amen.

— Gadaj, nieszczęśniku, coś zrobił.

— Skruszył się jak patyk.

Nastała chwila ciszy. „Wozacy” przerwali również ładowanie, z innych wszelako przyczyn. W szybie wybuchł nieokiełznany wrzask.

— Proszę pana — odezwał się Olek półgłosem — słyszy pan? Niech pan kręci naszą lampą!

— Jak to? — zdziwił się Piotruś Wałęga. — Mamyż Wawrzka zostawić w biedzie?

A Wawrzek w tym czasie był już znowu panem swej woli. Rzucił się do przodku; mały górniczy kaganek, ledwo, ledwo rozjaśniający miejsce, w którym rozstrzępił się łom, zorientował jednak od razu Kopcia, co się stało. Począł bez opamiętania okładać to wkleśnięcie swym oskardem. Urwał znowu, nachylił się do ściany, potem łypnął białkami oczu w stronę Jindrzicha.

— Wraż prędko głowę w dziurę — rzekł.

— Co się stało?

— Wraż!

Jindrzych zbliżył twarz do węgla i odsunął ją prędko.

— Wieje jak z miecha...

— Jest.

— Co?

— Sztolnia. Sztolnia, Jindrzych, sztolnia!

Kopec wyszczerzył na sekundę zęby, potem obrócił oskard i buchnął styliskiem w rozdziawioną ranę węgla. Kilka głuchych razów, osypywanie się skały, potem przytłumiony łoskot, Kopec poprawił. Jeszcze raz trzepnął, a wtedy do komory węglowej uderzył strumień chłodnego i miłego powietrza.

— Wawrzku, Wawrzku — wołali chłopcy, podbiegając do niego — oni już tu są!

Kopec łypnął ostatkiem sił w komin, potem rzekł do Jindrzicha:

— Już się przeciskam, Jindrzych. Zawrzyj tę gębę węglem, niech myślą, zem jak Eliasza do nieba się uniosł — i znikł.

— Włażcie za nim — rozkazał Jindrzych. — Nikogo tu nie mogą znaleźć prócz mnie. Prędeż, prędeż...

Mocna jego dłoń pochwyciła Jędrka, wsunął go jak chleb do pieca, następnie z tą samą bezceremonialnością wepchnął do czarnego gardła Piotrusia. Na samym końcu wśliznął się do otworu Olek.

Odetchnęli dopiero przed zagrodą Duszków, czyli w Starej Wsi, której właściwie jeszcze nie poznali. W dali majaczyła postać Wawrzka znikającego już w lesie. Przeźroczyista toń pobliskiej Leśniówki zapraszała zmęczoną trójkę do kąpieli. Chłopcy, zapomniawszy o wszystkim, skoczyli do wody. Roztropny Piotr wsunął beczenną lampę w kępkę macierzanki, zrzucił zbrukane odzienie i wszedł również do rzeczki, by się odświeżyć. Po tych orzeźwiających zabiegach rozpoczęło się generalne pranie czarnych koszulek.

— Znowu nie mamy aparatu fotograficznego — powiedział Olek — i poczęstował

Jędrka mocnym prysznicem.

— To nie ma sensu — odparł Piotruś. — Widzieliście: próbowałem rysunku, bez skutku. Myślę od kilku dni, że nie ma rady, trzeba sobie to zapamiętać. Odtwarzam to więc w domu.

— Jak? — zapytał Jędrak.

— Na papierze oczywiście.

— Wobec tego nigdy nie udowodnimy Krysi, że mówimy prawdę — rzekł Jędrak. — Chyba, że zabierzemy ją na naszą wycieczkę.

— Pierwszorzędna myśl — zawołał Olek.

— Nie. Nie my dyrygujemy lampą, ale ona narzuca nam swoje terminy. Wiecie, co to znaczy? Krysia musiałaby być stale z nami. Zresztą, zrezygnowałem już z moich zabiegów. Przecież nikt z żyjących nie widział nigdy wjazdu Sobieskiego do Raciborza, a jednak wiemy dokładnie, jak się ta uroczystość odbywała.

— Nikt też nie widział brontozaura, a wierzymy w jego istnienie — dodał Olek rozwieszając bieluchno uprane koszule na przybrzeżnych krzakach.

Dalszą pogawędkę przerwał gwałtowny błysk. Chłopcy wiedzieli, co to znaczyło. Piotruś i Jędrak rzucili się na brzeg. Akurat w tej chwili wyrósł przed nimi biały dom dziadków Jędrka. Wtedy spojrzeli mimo woli na siebie i parsknęli krótkim śmiechem. Byli niemożliwie brudni. Zabłocone też były koszule wiszące na płocie.

## NIESPODZIEWANE ODWIEDZINY

Podświadomie chłopcy wiązali zawsze osobę Meyera ze sprawą dawnego kopalnictwa, obaj bowiem widywali go teraz niemal codziennie na spalonym ugorze. Ich argusowym oczom nie uszły również rzadsze wycieczki na szczyt wzgórza, gdzie wydostawał się krętą ścieżką. Zdawało się więc, że ten dziwny człowiek czegoś szuka. Inaczej zachowywał się Kaj, który już całkowicie odzyskał zdrowie. Był wesoły, żywy i wszędzie towarzyszył swemu panu, żadna jednak siła nie potrafiła go zmusić, by się zbliżył do hałdy. Stawał zawsze w pewnej odległości od niej, a na głuchy odgłos łomoczących kamieni, lecących opętańczo z góry, uciekał ze skowytym.

Pies spędzał nadal pół dnia u Plecionków, a resztę doby był najwierniejszym towarzyszem swego pana. Meyer zjawiał się po niego równie nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie potem znikał. Pewnego razu stał jak zwykle oparty o płot i pochłaniał swymi przejasnymi źrenicami pogodny domek i jego zielone otoczenie, ale gdy dojrzał gołębnik z mocnym słupem, oczy mu pociemniały. Lustrował go dziwnie uporczywym, zadumanym spojrzeniem i szeptał do siebie litanię niezrozumiałych słów. W końcu niektóre wyrazy odpryskiwały z jego warg wyraźniej.

— Gołębie... gołębie... — Widziałem je już kiedyś.

I właśnie wtenczas wyszła z domu kobieta, którą za każdą swą bytnością tutaj pozdrowiał niemo. Dzisiaj zrobił to samo. Powinien był już odejść, ale tkwił nadal w tym samym miejscu. Nie mógł opuścić domu, bo nie było jeszcze Kaja. Kobieta szła do ogrodu. Była wysoka, szczupła i dorodna, choć już nie pierwszej młodości. Nigdy jeszcze nie widział jej tak dobrze i tak dokładnie. I nigdy też dotąd nie przyglądał się jej z takim zainteresowaniem jak dziś. Bezwiednie więc oczy samotnika powędrowały za nią, oddalając się znanym mu dziwnie chodem.

Może nawet sam nie wiedział, jak to się stało, że pchnął furtkę i wstąpił na chodnik

wyłożony betonowymi płytami. Stawiał nogi jak lunatyk i szedł w ślad za kobietą, która zdążyła do ogrodu. Gdy przechodził obok altanki, wyrósł na jej dachu Olek z dwiema białymi chorągiewkami. Olek zamienił się w słup soli, a gość również zrósł się z ziemią. Patrzyli na siebie obaj zdumieni, jakby się nigdy nie widzieli. Wreszcie Meyer bąknął swoje „Glik auf” i ruszył dalej w stronę ogrodu.

Olek rzucił chorągiewki na Burkową budę, a następnie zsunął się na brzuchu między krzaki bzu. Ostrożnie wychylił głowę i zobaczył ku swemu zdumieniu, że pan Kaja wcale się nie zatrzymuje, ale idzie ścieżką w ogrodzie ku matce. Wydostał się więc na czworakach z ukrycia i przeleciał, hycając jak królik, pod ogrodzenie, za którym znajdował się Meyer.

— No, no... — mruczał. — Coś podobnego...

Gość był już obok matki. Ona stała wyprostowana obok grządki. Olek przesadził płotek i ruszył zakryty przez krzaki porzeczek aż dotarł blisko matki.

— Przyszedłem po mego Kaja, wie pani — rzekł obcy.

— Domyśliłam się tego już dawno.

— Kaja jeszcze nie ma...

— Tak, Kaja nie ma. Brat chciał mu sprawić radość, więc wziął go ze sobą na pole. Mamy tam owies, i wie pan, strasznie wróble go młóca.

— Kaj lubi gonić za wróblami.

Nastało milczenie. Temat już się wyczerpał, nie wiedzieli o czym dalej mówić. Meyer rozglądał się znowu po całym obejściu, a potem rzekł:

— Dużo gołębi.

— Tak, jest ich naprawdę dużo. Ile one ziarna zjedzą! Ale cóż, brat je lubi. Olek też.

— To ten chłopak, który uratował Kaja? A ten drugi...

— Jędrek, jego przyjaciel. Jędrek Duszka.

— Właśnie w ich sprawie tu poniekąd przybyłem...

— Chyba nie narobili czegoś złego?

— Nie, nie.

Meyer zarumienił się mocno, potem nerwowym szarpnięciem wydobyl z kieszeni dwa śliczne cacka Wyobrażające Kaja, najdokładniej Kaja. Podał je kobiecie, równie zarumienionej, potem bąknął:

— To dla nich na pamiątkę. Nie umiem wyrazić jaką mam dla tych chłopców wdzięczność. Tak, proszę.

— Ale... ale może pan usiądzie. O, jest ława. Proszę bardzo.

— Ława? Rzeczywiście, wobec tego siadę na chwileczkę.

— Dziękuję. Chłopcy się ucieszą. Zresztą dla Olka Kaj żywy to już nagroda.

Cisza, w której obydwójce pracują intensywnie w myślach, by wylosować jakieś nowe, błahe zagadnienie. Wreszcie kobieta rzekła:

— Pan chyba nie z Szarej Wsi?

— Ja? — dziwi się ucieszony, że można się znowu o coś zaczepić. — Nie, oczywiście nie. Niech się pani nie śmieje, gdy wypowiem teraz moje nazwisko. Nazywam się Gottlieb Meyer. Rozumie pani: Gottlieb Meyer...

— Wcale nie śmieszne. Pan... chyba Niemcem...

— Niemcem? Sam nie wiem. Raczej nie. Spotkał mnie straszny wypadek podczas wojny. Sam nie wiem dokładnie jaki. W każdym razie przebywałem długi, długi czas w szpitalu. Gdy wreszcie wyszedłem, pomaszerowałem do Semme — moja miejscowość rodzinna, wie pani — ale nikogo tam już nie było. Bomba. Przy tym wszystkim najciekawsze to to, że mówię po polsku. Nie? Mówiłem w szpitalu po polsku...

— Więc gdzie pan się nauczył naszego języka?

— Nie umiem na to pani odpowiedzieć. W szpitalu oczywiście nie można było tego ujawnić. Pani wie, do czego oni byli zdolni... Umiem i tyle. Gottlieb Meyer mówi po polsku.

— Z tego wszystkiego jedno zrozumiałam bardzo dokładnie: jest pan sam na świecie.  
— Jak ten sierota. Oczywiście brzmi to trochę śmiesznie: czterdziestodwuletni mężczyzna sierotą...  
— Tyle ile mój mąż...  
— Nie jestem tego bardzo pewny, bo jak to już powiedziałem, to wydarzenie w wojnie nadwerężyło moją pamięć. Powiada pani, że tyle ile pani mąż...  
— Tak.  
Nastąpiła znowu chwila milczenia. W końcu Meyer zapytał:  
— Czy nie ma go w domu? Nigdy nie widziałem mężczyzny koło tego domu, który by mógł być pani mężem.  
Odpowiedziała cicho, zadumana.  
— Bo on nie żyje.  
— Rozumiem.  
— Zaginął zaraz w pierwszym dniu wojny.  
— Tak, to bardzo smutne.  
— Wyszedł z domu i już nigdy nie wrócił.  
— A próbowała pani go poszukać? Różne się przecież rzeczy działy w czasie wojny, a nawet już po niej.  
— Tak. Ogłaszał Polski Czerwony Krzyż przez radio.  
Pod koniec tej rozmowy, obdaranej z kwiatów i ciepła, w dali roznosiło się psie ujadanie, wesołe i beztroskie.  
— Poznają głos Kaja — powiedziała matka Olka.  
— Tak, łatwo go poznać. Ma zawsze lekką chrypkę.  
— O, jak nam przypomina Burka.  
— Burka? Burka...  
— Kaj zajął jego budę, lubi się w niej wylegiwać. Przywłaszczył sobie także Burkową misę. I lubi w kuchni ten sam kątek do spania, co stary Burek.  
— Stary Burek. Tak, stary Burek...  
Gość podniósł się z ławy zaciskając dłonie jakby go swędziły.  
— Burek — ciągnęła rozmówczyni dalej — bardzo lubił męża. W tym nieszczęsnym dniu Burek wyszedł jak zwykle na jego spotkanie. I nigdyśmy go już potem nie ujrzeli.  
— Bardzośmy sobie wiele dzisiaj opowiedzieli. Myślę, że o Burku jeszcze porozmawiamy. Teraz jednak nie chciałbym już pani przeszkadzać, bo Kaj... pani wie...  
Chociaż kobieta nie wiedziała dokładnie o co chodzi, zgodziła się jednak, że gość musi już iść. Zawołała więc:  
— Olek. Olek!...  
Ale o Olku ani słycho, ani dychu. Liść tylko niedaleko zaszeleścił, na to jednak nikt nie zwrócił uwagi. Nikt prócz Kaja. Pies wpadł jak wicher do ogrodu, zakręcił się w miejscu i strzelił w krzaki. Zawrzała tam jakby cicha, ale zacięta walka. Kaj szczeknął kilka razy i znowu uderzył. I wtedy wysunął się Olek jak miecz z pochwy. Stał z rozczochraną głową i purpurowymi licami przed dwójką zdumionych ludzi.  
— Olek, co to ma znaczyć? — zapytała matka.  
— Mamo, rwałem porzeczeki...  
— Porzeczeki? — śmiała się matka. — Przecież dawno już ich nie ma. Nie tłumacz się już więcej. Oto co ci pan zostawił. To dla ciebie, a to dla Jędrka.  
Chciała się zwrócić do gościa, ale on się zbliżał już do furki, w której właśnie pojawił się brat Plecionkowej. Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy, Meyer dotknął się czoła jakby salutował przechodzącemu inwalidzie, potem wyszedł na ulicę. Podczas tego Kaj potańczył dokoła gospodyni, potem liźnął rozgniewanego Olka w rękę i pomknął piorunem za swym panem.

Ta wizyta właściciela psa wniosła coś nowego w życie mieszkańców małego domku. Mówiono o nim i dziwiono się, gdy następnego dnia odebrał Kaja i znikł w dole ulicy. Stary inwalida kręcił głową.

— Gdzieś już tę jego twarz widziałem, Marto. Tylko wtedy nie miał on siwych włosów, no i tej lekkiej blizny na skroni.

— Wujek — wtrącił się Olek do rozmowy — przecież on dopiero niedawno przywędrował do nas z Niemiec.

Minęło kilka dni i znowu Meyer wszedł na podwórze. Przemierzył je pewnym krokiem i znalazł się w ogrodzie. Stał na ścieżce obok pracującej na grządce kobiety i rozpoczął rozmowę dokładnie tak, jak podczas pierwszego tutaj pobytu:

— Przyszedłem, wie pani, po mojego Kaja.

— Kaj jest, bawi się z Olkiem i Jędrkiem za domem.

— Nic nie szkodzi, przecież mi się nie spieszy.

— To znaczy, że nie wie pan, co robić z wolnym czasem.

— Właściwie zawsze się znajdzie jakaś robota. Wydłubuję coś z drzewa. Na moich spacerach rodzą mi się pewne pomysły, które urzeczywistniam w domu.

— Jeśli zrozumiałam dobrze, to pan rzeźbi.

— Tak. Można to tak nazwać. Te dwie figurki dla Olka i Jędrka wyrzeźbiłem sam.

— Tak też przypuszczałam.

Meyer męczył się z jakąś myślą, która widocznie nie dawała mu spokoju, bo otwierał usta i zaraz je zamykał. Prздеptywał też z nogi na nogę. Wreszcie kobieta mu pomogła.

— Bardzo ładne te dwa drewniane pieski.

— Gdyby się pani nie rozgniewała, ofiarowałbym również dla pani...

Meyer nie dokończył, lecz wydobyl szybko z kieszeni małą figurenkę wyobrażającą kobietę, zgrabną i smukłą.

Matka Olka spojrzała na jego rękę, potem się nagle zapłoniła.

— Naprawdę, jest pan bardzo dobry. Wie pan, mój mąż zajmował się również snycerstwem. Brat mój zdobywał dla niego lipowe drewno, bo najłatwiej w tym przychodziło mu rzeźbić. Przechowuję jeszcze ten surowiec...

— O, ja również strugam chętnie w lipie.

— Rzeźbił przeważnie postacie górników. Mam jeszcze jego rzeźby. Żył tylko kopalnią. Sam był górnikiem z krwi i kości.

— To naprawdę bardzo ciekawe. Nigdy jeszcze nie rzeźbiłem górnika, chociaż bardzo często o tym myślę.

Druga wizyta pana Kaja obaliła jakby resztę oporów po obu stronach barykady. Było zupełnie naturalne, że Meyer wchodził po psa na podwórze, do ogrodu, a w razie deszczu do domu. Matka Olka wprowadzała go wtedy do pięknej, ale nie używanej izby. On chętnie korzystał z zaproszenia i sadowił się zawsze pod słonecznym oknem, skąd rozpościerał się szeroki widok na kopalnię i miasto.

— Doskonale się tutaj czuję — mówił za każdym razem. — Wszystko widać tu jak na dłoni.

Kobieta milczała. Miejsce to lubił również jej mąż, ale dalekie wspomnienia, z których rodziło się uczucie pietyzmu i prawie zazdrości o pamięć zmarłego, zamykały jej usta.

Można było jednak powiedzieć, że Meyer zadomowił się w pewnym stopniu u przygodnych znajomych na skraju Szarej Wsi. Zawsze wszakże był człowiekiem nieodgadniwym, a rozmowa z nim była dziwna, niełatwa i pełna niedomówień.



## NA WESOŁYCH URODZINACH

— Olek — beształ siostrzeńca stary wujek swym barwnym językiem — bazgrzesz wszędzie swoje pikasowskie malowidła. Deska nie deska, ściana nie ściana, nawet kurom nie dajesz spokoju w ich willce. Co to na przykład ma znaczyć?

— Przecież to widać, wujek.

— Co?

— Ee, to taki sobie Wawrzek Kopeć w dawnym stroju górniczym. U boku ma bergmańską kajstrę, w której chowa doświadczenia zdobyte w świecie. Ale to już mój symbol...

— Aha, a kto to ten cały Wawrzek? On mi się nie podoba.

— Ofiara losu. Biedny człowiek, którego król pruski wykradł i wcielił do swej gwardii...

— Nie bardzo cię rozumiem. Poznałeś go pewnie w szkole.

— Nie. Było to na wycieczce węglowej, trzysta lat temu. Pracował u Jindzicha Duszki w kopalni. Ta kopalnia to też coś. Winda była sobie powozem...

— Hyyy, bredzi. Bredzi chłopak. Olek, słuchaj mnie uważnie, ale się nie denerwuj... Mówiłem ci już, jak to mnie wydobyto z węgla wraz z dwudziestoma pięcioma kamratami. Leżeliśmy w kostnicy. Oni na amen, a u mnie się wtedy odezwał mój duch. Ja jedyny ożyłem. Doktor, pamiętam to dobrze, opukał mi głowę i rzekł: „Mocny garnek, mój Boże, ani jedna klepka nie wysunęła się z obręczy”. Olek, przecież nie spadła ci bryła węglowa na łeb, a przodkowie twoi nigdy nie narzekali, o ile wiem, na mente captus... Słuchaj, a może się przejdziemy do jakiegoś uczonego bednarza?

Wtedy dopiero Olek zrozumiał, że powiedział za dużo. Zaczął się wycofywać. Z tej opresji wybawił go nieoczekiwanie wierny przyjaciel.

— Olek — szeptał. — Mamy zaproszenie na urodziny. Ubieraj się zaraz. Trzeba jeszcze lecieć po kwiaty.

— Kto ma urodziny?

— Pani Krysia.

— Dlatego ubrałeś się w „smoking”? Czekał, muszę pokonferować z wujkiem. Trudno z nim będzie, rozsierdził się na mnie za moje naukowe poglądy.

Rajda słuchał „naukowca” z niewyraźną miną, w końcu jednak poruszył lekko głową, co Olek mógł zrozumieć jako przyzwolenie. Kiedy jednak chłopiec się oddalał, krzyknął za nim:

— Olek, o siódmej mam uroczyste zebranie. Pamiętaj!

Olek wbiegł do domu, wkrótce też zjawił się w ciemnym ubraniu wujka. Jędrrek ujrzał, że przyjaciel wpycha jakiś zeszyt do kieszeni, że schyla się i układa za długie nogawki w sztuczne mankiety.

— A co będzie z bukietem, wujek? — zawołał.

— Za moich czasów nikt się nie odważył urządzać urodzin — zrzędził stary. — To wasz wymysł. Ludzie zamiast żyta i ziemniaków sadzą kwiaty i truskawki, a żyto każą hodoować zagranicą.

— Olek — szeptał znowu Jędrrek — Piotruś powiedział, że kwiaty muszą być ekstra. Dał mi pieniądze na nie.

Popędzili w stronę ogrodu starego Grzeni. Z daleka jeszcze dojrzeli przy furtce postać „Skarbnika”. Meyer zatrzymał się na ich widok i powitał ich obcym, zdziwionym wzrokiem. Chłopcy zmieszali się pod siłą tego spojrzenia i na przemian wykładali swą wspólną prośbę. Właściciel Kaja nie odrzekł ani słowa, lecz ruszył w głąb ogrodu między szpalery barwnych róż.

— Rozumiesz co z tego? — rzekł Olek. — A ja ci mówię, że...

— Nie mów tego lepiej.

— Ale on ukrywa jakąś tajemnicę. Nie zapytał się ani słowem o Kaja. Moim zdaniem to bardzo dziwne.

Czekali dalej, mimo iż nie wiedzieli jak Meyer zareagował na ich życzenie. Ale wreszcie ujrzeni go znowu. Niósł trzy bukiety najwspanialszych róż, każdy innej barwy.

— Oto są — rzekł niespodziewanie ciepło. — To cenne róże z doświadczalnych krzewów. Pan Grzenia nikomu ich nie sprzedaje. Cudne kolory, cudne zapachy. Nie chcę pieniędzy. Daję je dla moich przyjaciół. Kochajcie Kaja.

Ta długa mowa zmęczyła go widocznie, bo blizna nad lewym okiem wypełzła jak krwawa pręga, a pot zrosił mu nos i czoło. Odwrócił się i poszedł zmęczonym krokiem do ogrodu.

Przed furtką Janczyków czekał na nich Piotruś. Był w nowiutkim, eleganckim garniturze i prezentował się w nim świetnie. Piotruś odebrał wszystkie bukiety, potem rzekł:

— Porządny człowiek ten Meyer. Jędrak poniesie kremowe, Olek fioletowe, a ja... różowe. Teraz posłuchajcie. Nie wspominamy nic o naszych przygodach. Nic. Tam będzie znowu ten pan Bąk, który w głupstwa nie wierzy, ale wierzy w czary. Rozpowszechnia o nas całe legendy. Olek, popraw sobie mankiety u spodni. Jędrak, dzwoń.

Kryścia stała na progu. Była hoża w swej jasnej sukience. Uśmiechała się serdecznie do trójki przyjaciół. Prowadząc swych gości rzekła w pół żartobliwym tonem:

— Bałam się, że Jędrak i Olek nie przyjdą. Wyobrażacie sobie, co by to było?

— Nie.

— Przecież pan Bąk przygotował już dla nich odpowiednią atmosferę. Nie dziwcie się, jeśli oglądać was będą trochę natrętnie.

Silne brawa, którymi przywitano w pokoju nowych gości, potwierdziły zapowiedź Kryści. Potem nastąpiły życzenia, a cudowne kwiaty Meyera, prześwietlone promieniami słońca, ściągnęły na siebie uwagę zebranych. Nawet ci, którzy cenili więcej sałatę niżli kwiaty, odurzali się z przyjemnością aromatem róż.

— Mamo — westchnęła Kryścia — czy widziałas kiedy takie róże?

Nikt nie widział. Jędrak i Olek, krępowani obecnością licznej młodzieży, zajęli miejsca obok dwu dziewcząt obserwujących ich dyskretnie i chichoczących skrycie. Wkrótce też spostrzegli przy pianinie pana Bąka. Grubasek miał czarne wizytowe ubranie i fantazyjny motylek przy lśniącym białej koszuli. Postać jego zrosła się w wyobraźni chłopców tak z piłką, że zdumieni byli, gdy ujrzeni go ze smyczkiem w ręku. On stroił skrzypce i obserwował ich spod oka.

W gwarze rozmów słychać było Kryśkę, gdy mówiła do Piotrusia:

— Mogłabym wnet powiedzieć, że wasze kwiaty pochodzą z zaklętej krainy... Wiesz, jestem teraz w rozterce. Skłaniam się do tego, by ci uwierzyć.

Inny głos:

— Panie Bąk, co pana tak śmieszy?

— Kolego, żebym to dokładnie wiedział! Nie wierzę, kolego, by na mojej dłoni wyrosły włosy. Jestem bardzo trzeźwy, kolego. W Leśniówce ryby... Ha, ha, ha, ryby... Albo na hałdzie róże. Ale czary to co innego.

Ale tu już skrzypek umilkł. Zjawiała się bowiem obok niego solenizantka. Kilka próbnych akordów uciszyło do reszty gości, a zmobilizowało pana Bąka. Goście wysłuchali „Pieśni wieczornej” Moniuszki, a potem wszczął się na nowo wesoły gwar. Dziewczęta, sąsiadki chłopców, bawiły się ich kosztem, tym bardziej, że Olek nie mógł się uporać z za dużym ubraniem wujka i maczał co chwila wujkowe rękawy w kawie. Nie przeszkadzało mu to jednak w prowadzeniu niezwykle „uczoney” rozmowy z Leosią i Małgosią, sąsiadkami przy stole.

— Halo, czy pani wie, że światłość jest największą szybkością na świecie?

— Czy pani wie, że gdybym leciał między gwiazdy z szybkością światła, to wcale bym się nie starzał? Minęłoby dwieście lat na ziemi, a ja byłbym wciąż młody. A gdybym osiągnął jeszcze większą szybkość, to bym się stał niemowlęciem.

— Ależ... to dopiero zmyślanie — powiedziała wreszcie sąsiadka Jędrka.

Potem rozpoczęły się tańce w sąsiednim pokoju. Krysia przybiegła do chłopców.

— Poznaliście się już wzajemnie? Chłopcy, poproście dziewczynki do tańca.

One się cofnęły, a potem zachichotały. W końcu wszakże poszły, ociągając się, do salki tanecznej. Jędrak deptał po pantofelkach swej tancerki, Olek nie mógł tego robić, bo następował na swoje spodnie. Klękał więc i przywracał im na chwilę poprzedni kształt, ale po paru okrążeniach historia się powtarzała. W końcu Leosia wydobyła skądś igłę i nici, przyklekła i unieruchomiła niesforne nogawice, potem takim samym zabiegiem skróciła rękawy. Z wdzięczności za ten miłosierny uczynek Olek zaczął jej mówić: Leosiu.

— Mieszkasz, Leosiu, pewnie w Szarej Wsi?

— W Starej Wsi.

— A czy wiesz, Leosiu, że na waszym podwórzu był kiedyś wulkan?

I od tego się zaczęło. Obydwoje wrócili do stołu, tu Olek wydobył swój zeszyt. Zatopili się niebawem w studiach tego, co Rajda nazywał „pikasowskimi” malowidłami. Parę minut później przyłączyli się do nich Jędrak z Małgosią. Podczas jednej z przerw w tańcu wsunął się do tej śmiejącej bez przerwy grupy pan Bąk.

— A gdzie jest ta lampa? — zapytał, gdy już pojął sens opowiadania Olka, a jego okrągłe oczy zapaliły się chciwością.

Olek wskazał oczyma na Piotrusia, który w tej chwili pomagał Krysi przy roznoszeniu świeżej kawy.

— Niee — śmiał się Bąk — to przesada. Leśniówka od stworzenia świata zawsze była czarna i cuchnąca, tak jak Szara Wieś była zawsze szarą wsią. Ale w istnienie tej lampy mogę ostatecznie wierzyć.

Na te wynurzenia Olka odezwała się nad ich głowami bohaterka dzisiejszej uroczystości.

— Piotruś, przyznaj się do wszystkiego.

— Nie mam się do czego przyznać. Olek tak sobie opowiada. Sama zresztą śmiałaś się z tych historii.

Tłumaczenie to jednak nic by nie pomogło i Piotruś czuł, że grzęźnie niebezpiecznie, gdy niespodziewanie w sieni zaterkotał dzwonek. Wszyscy podnieśli głowy, bo jego dźwięk był prawdziwie alarmujący. Krysia zwróciła się do drzwi:

— Pewnie tatuś przyjechał z Warszawy — zawołała.

Nie był to jednak pan Janczyk. Po chwili w otwartych drzwiach ukazał się wujek Olka bez marynarki, w spodniach ze szelkami i z jakimś ubraniem na rękę.

— Olek — rzekł głośno — przyniosłem ci ubranie.

## SCHLAGWETTER W STRAPICIELU

Sprawa Gottlieba Meyera nie opuszczała wyobraźni chłopców, a Olek nie mógł się wyzbyć swoich podejrzeń w stosunku do niego.

— Wie pan — rzekł do Piotrusia Wałęgi — on jednak jest dziwny. Niech powie Jędrak. I, wie pan, on związany jest z tym Strapicielem. Dlaczego on się tam bez przerwy kręci?

— Dowiedziałem się od pewnego górnika — powiedział Wałęga — że Strapiciel, o

którym ty myślisz, znajduje się zupełnie w innym miejscu...

— Znajdował się — poprawił go siostrzeniec, zestawiający dzisiejszy wygląd Szarej Wsi z Jindrichową kopalnią i polaną, na której rozgrywały się wydarzenia.

— Właściwie tak. Ten mój znajomy wspomniał również o innym szybie, który się nazywał „Mario Wspomóż” Był on gdzieś w pobliżu dzisiejszego klasztoru, a sam klasztor mieści się w dawniejszym budynku administracji kopalni.

— Dlaczego się nazywał tak dziwnie? Strapiciel...

— Mógł się również nazywać Trapiciel. Mój informator twierdzi, że kto wie, czy właśnie nie Trapiciel. Dlaczego Trapiciel albo Strapiciel? Warunki w kopalni musiały być bardzo ciężkie. Cierpieli górnicy.

— A „Mario Wspomóż”?

— Myślę, że praca w „Marii Wspomóż” musiała być jeszcze cięższa.

— Tatuś opowiadał mi — rzekł Jędrzek — że górnicy w tych starych kopalniach pracowali na kolanach, bo pokład był bardzo niski. Często też dokuczała im woda.

— Tak, nie umiano sobie wtedy radzić z wielu rzeczami. Zresztą nie powstrzymywało to ludzi od zakładania nowych kopalni „haspłowych” czy też „haspłowych”. Dowiedziałem się od mego znajomego, że tych kołowrotowych kopalń było tak dużo jak szybów naftowych w okolicy Jasła i Krosna.

Rozmów na ten właśnie temat było więcej. Każda z nich wywoływała w wyobraźni trójki wizję Jindrichowej kopalni. Lampa, ów zaczarowany instrument, który z taką precyzją wymieniał teraźniejszość z przeszłością, kierowała się zawsze jakimś swoście pracującym mechanizmem, niezależnym od czyichś zachcianek lub kaprysów. Gdy więc skłonna była otworzyć wrota do nowych obrazów, wystarczył lekki obrót połówki lampy i pojawiał się wtedy charakterystyczny sygnał w postaci świetlnej nitki.

Kilka dni po tej dyskusji lampa zareagowała i przeniosła całą trójkę na polanę. Było znowu lato, późne lato z chłodnymi już porankami i silnie perlistą rosą na trawie. Niedaleko nich rozmawiała swoim wodnym językiem Leśniówka. Ale gdy zajrzeli w jej zielonoczną toń, cofnęli się jakby na rozkaz. Dno rzeczki było bowiem mroczne, a brzegi tuż nad lustrem wody oszronione silnym mułem węglowym.

— Proszę pana — zawołał Olek — już po rybach.

— Ach, ten Jindrich — rzekł Jędrzek z gniewną intonacją w głosie — przecież mógł wodę spuszczać na polanę.

I obrócił się nagle. Byłby przy tym przewrócił dziewczynkę, która mijala go z malowanym koszykiem na ręku. Jej purpurowa chusta na głowie paliła się w letnio-jesiennym słońcu jak krwawy płat maku polnego. Mierzyli się na chwilę oczyma. Jędrzek zauważył, że miała długą sukienkę sięgającą prawie do bosych stóp i krótką jaklę, która chroniła ją od chłodu. Spod barwnej chusty wyslizgiwały się jasne, kędzierzawe loki zakrywające falistą linią pół czoła.

— Co się stało? — zapytała po chwili. — Pewnieście utoplca spostrzegli? O, on rad pod mostem siedzi i tapla się do woli. Ale teraz się wyniósł, bo mu woda wąglami trąci.

Jędrzek nie wiedział, czy przyjąć słowa te poważnie, czy też jako fantazjowanie. Dziewczyna bowiem miała fiołkowe oczy, ale mrugały w nich chochlikowskie iskierki. Olek podszedł do niej bliżej i zagadnął:

— Naprawdę siada pod mostem?

— Jako żywo. Ale nasz wcale znośny. Krotofilnik, bo krotofilnik — jak to utoplce — ale nikogo jeszcze nie utopił.

Postawiła koszyk i usiadła na nim. Dla chłopców była jakby cudownym zjawiskiem. W ślicznym uśmiechu odsłoniła ząbki lśniące śnieżną bielą i równe jak perełki. Położyła na kolanach książeczkę owiniętą w nieskazitelne płótno.

— He, wy pewnie nie umiecie ślabikować, pra? To wcale nie ciężkie. Siadźcie koło

mnie, to wam cosik z mojego ślabikarza wydukam.

— A co to ślabikarz? — zapytał Olek z kolei.

— Iii, dyć książka do uczenia. A wiecie skąd ją mam? Zięc Kopia, Francek Plecionka, przywiózł mi go z samego Wrocławia.

Olek rozpromienił się na całym obliczu.

— Aha! Jest Francek Plecionka! Ożenił się więc z córką Kopciowej? Dobre i to. Ale może się jeszcze zgłosi jakiś Aleksander Plecionka. Aleksander Plecionka, na którego czekam. Szukajcie dla mnie Aleksandra Plecionkę.

— Posłuchajcie — rzekła pomijając zupełnie Olkowe zadąsanie.

Chłopcy usadowili się posłusznie przy niej, bo zachwycił ich jej dziecinny szczebiot.

*„Dla potomnych. Płochy panicz, idąc mimo chaty starego leśnika, zatrzymał się dziwiąc, iż starzec sieje ziarnka gruszek i jabłek. Leśnik ów liczący już przeszło osiemdziesiąt lat, nie mogli doczekać owocu zasianych ziarenek. Woła więc młodzik: „Na co siejecie te ziarna? Przecie żyć już nie będziecie, kiedy drzewa z nich wyrosną”. Odpowiedział staruszek: „Czy jeno dla siebie człowiek żyje i pracuje? Wszak nawet nierozumne pszczoły miód dla innych zbierają”. Odszedł wstydem zapłoniony chłopiec”.*

— No i cóżże? Pra, żeć to grzeczne i przymilne opowiadanko? Gdym oną przypowieść naszemu tatulkowi prześlabikowała, to mnie do serca przycisnęli. Powiadają: „Dyć to prawda, inaczej by świat już przestał istnieć”. — Po co Duszki — padają niektórzy — jeno w onych grubach się lubują? Drzewa przecie dużo, na co nam wągle! Na to tatulek: — „Nie przeczę, że jest jeszcze opał. Ale lasów będzie coraz mniej. Nasze wnuki i prawnuki drzewo tylko na podpałkę będą znały. To wtedy wągle jakby znalazł... A one również ulepszą kopalniane rzemiosło, co ludziom jeszcze bardziej żywot poczciwy omaści!”

— A co ten Plecionka? — dopytywał się Olek. — Chyba dzielny człowiek?

Dziewczynka zaczęła się śmiać. Potem nagle spoważniała i odparła:

— Mówcie oba do mnie: Hanka, boć ja Hanka, córka Jindrzicha Duszki. A ten twój Francek Plecionka jest hań w szybie. Zaraz go zobaczysz.

Teraz i Piotruś Wałęga wtrącił się do rozmowy. Interesował go los Jindrzicha Duszki. Jeśli był Wawrzek Kopeć, to ojciec dziewczynki był na pewno owym Jindrzichem, który ratował go z opresji.

— A gdzie przebywa Jindrzych, twój ojciec?

— Wszyscy są hań w Strapicielu.

— Strapicielu? — chłopcy i Piotruś zerwali się na nogi.

A więc jest nareszcie Strapiciel. Trzeba natychmiast do niego ruszyć. Hanka, widząc ich wzburzenie, podniosła koszyk i rzekła:

— Przecie idę do niego. Niosę śniadanie dla bergmanów.

Szli wzdłuż zielonego wzgórza. Hanka biegła zwinnie przed nimi, tak że ledwo za nią nadążali. Potem zatrzymali się na chwilę przed sztolnią i szarym usypiskiem węgla. Olek i Jędretek szukali kupy z miałem, w którą tak zdradziecko wpakował ich Jindrzych. Ale jej nie było.

— Czy to może Strapiciel? — dociekał Piotruś.

— Nie, to sztolnia do wietrzenia kopalni, żeby pracujących Schlagwetter nie napastował.

— Co to Schlagwetter? — rzucił Jędretek.

— Metan — wyjaśnił krótko Piotruś.

Droga wiodła teraz pod górę. Okrążyli ją półkolem, pasem popielatym i tak zjeżdżonym, że trudno się było po nim poruszać. Potem zupełnie niespodziewanie stanęli na gładkiej przestrzeni pozbawionej pozornie życia. Jałowy, granatowy proch rozpościerał się jak żałobny kir na wielkim, okrągłym podwórku. Nie to wszakże rzucało się na pierwszym miejscu w oczy. Na obszernym placu wznosiły się niezwykle zabudowania. Nikt z tej trójki nie widział

czegoś podobnego w życiu. Stała tam duża, niezgrabna szopa, podobna do ogromnej ropuchy, która gotuje się do skoku. Ten wielki, rozlazły budynek zbudowany był z potężnych bierwion, w ciemnych ścianach majaczyły okna bez szyb. Przed szopą znajdował się dziwny deptak z drewnianym kieratem. Obracała go para szarych tarpanów. Popędzał je dryblas gwizdający jak szpak.

— Wygląda na odpustowego muzykanta ten nasz Tomek — rzekła Hanka powstrzymując się od śmiechu. — To naprawdę Tomek. Na pewno nie wiecie, co on robi.

— Nie — odezwał się Olek w imieniu wszystkich. — Pierwszy raz to widzimy.

— Co to właściwie? — zapytał Jędrak.

— Oo, nigdzie też nie ma takiego dziwa. Wodę z grubo blaszanymi czerpakami wylewają. Patrzcie, jak pędzi korytem ku polanie. To pomysł tatulka i Wawrzka Kopcia.

— Tak — dodał technik — to kierat. Ale co on robi? Czyżby naprawdę był paternostrem?

— Paternoster? — zdziwili się jednocześnie obaj chłopcy.

— Zaraz zobaczymy. O, Tomek nas woła.

— Chce wam pokazać haszplę — rzekła Hanka. — Lećcie do niego.

Tomek, chudy wyrostek, miał mniej więcej piętnaście lat. Wywijął biczyskiem nad zaokrąglonymi bokami myszowatych koników, ale bat nie dotknął ani razu skóry pracowitych tarpanów. Piotr stanął na uboczu kontrolując budynek, który w pobliżu robił jeszcze większe wrażenie swoją wielkością, a chłopcy przyłączyli się do Tomka.

— Widzicie?

Batog Tomka podskoczył i określił zarys ogromnej szopy. Olek wyblagał u niego lejce i bicz. Koniki popędzane cmokaniem i poświstywanym rzemienia krążyć zaczęły raźniej w kółko. Tymczasem Tomek objaśniał tak:

— W budzie jest szyb albo szacht jak mówią Wawrzek...

— Dobrze — rzekł prędko Olek — a Plecionka co mówi?

— Plecionka, zięć Kopcia, pracuje na dole. On nic nie mówi, bo jeno Wawrzek Kopeć byli w cudzych szybach. W budzie jest haszpla, wyciągamy nią węgle i sypimy na bergę. A geplem wyciągamy bez ustanku wodę. Polećcie ino do szybu...

W drodze do niego zatrzymali się jednak dość nagle. Przed nimi bowiem ścieliła się przeogromna zaręba, ogołocona nie tylko z drzew, ale i z plam karczów. W dali ujrzeli kilka kołowrotów, ale już bez jakichkolwiek daszków.

— Widać — mówił Piotruś jakby do siebie — że kopalnictwo węgla bardzo się rozwinęło. Ale czyje te szyby? Wszystkie haszplowe.

Hanka, która ze swym koszykiem deptała im po nogach, wytłumaczyła, że to Gaszwiec, właściciel folwarku, kopie własne szyby.

Jeszcze raz przystanęli na chwilę, teraz jednak u progu wrót. Zajrzeli ciekawie do wnętrza zasepionej hali. Było to jakby gumno ogromnej stodoły. Pełno tu było cieni, ale żółte, skośne smugi słońca przeorywały je jak radiem w jasne skiby. Głębię nadszybia wypełniała owa „berga”, czyli hałda wydobytego węgla. Na środku szopy znajdował się szyb, okroczony masywną haszplą o dwóch korbach. Obok z czeluści ziemi wynurzały się bez przerwy i znowu zapadały w niej szerokie, blaszane kubły. Pełne, roniąc wodę, wspinały się na dach i rozlewały ją z szumem do długiego koryta. Przy kołowrocie stali ludzie. Wszyscy mieli poczerwione twarze, wszyscy byli zarośnięci, wszyscy schyłali rozczochrane brody nad korbami haszpli. Z szybu wyjechał w tej chwili czarny urobek. Robotnicy ujęli mocną kadź z węglem i pchnęli ku hałdzie.

— Jest paternoster — śmiał się Piotruś. — Dzielni ci Duszkowie.

— Nie wiadomo, czy właśnie Plecionka nie jest wynalazcą tego paternostru! — oponował Olek.

— Ach, ach, mój Bożyczku, ach — posłyszeli nagle biadający głos Hanki.

Kłęcząca przy koszyku i wydobywała gorączkowo śniadanie. Rozłożyła bieluchne płótno i umieściła na nim chleb ze słonecznej, pyłowanej mąki, osełkę masła w zielonym liściu buraka, ser, jajka i gliniany garnek z mlekiem.

— Francku, Francku — krzyknęła swoim piskliwym, dziecinnym głosikiem — szczerkajcie tam jeno dzwonkiem, aby bergmani wyjechali z gruby. Jest śniadanie.

Olek przybliżył prędko usta do ucha Hanki.

— Czy to Plecionka?

— A któż by?... O, widzicie, jak ciągnie za linkę?

Zbliżyli się wszyscy czworo do wylotu szybu. Pierwszy wystawił głowę starszy człowiek z oczyma Jindrzicha, potem zjawiała się czyjaś nieznana im twarz.

— Stryk Pawlik — krzyknęła znowu Hanka.

Gdy trzeci zdjął z głowy podartą kapucę, poznali po brudnej łysinie Kopcia. Piątka górników obsiadła śnieżny płatek płótna, który zastępował biesiadnikom stół.

— Tatuleczku złoty, alboż to nie widzicie, że mamy gości? — zawołała Hanka zbliżając się w otoczeniu swoich nowych znajomych.

— Wawrzku, niech mnie zaraz diasi wezmą, jeśli to nie są nasi znajomi — wyszczerzył białe zęby Jindrzych. — Przecież to mój Duszka, Macedończyk i pan ślachcic. Ale ani o cal nie urosli ci dwaj chłopcy. Nie wiem, co o tym sądzić.

Kopeć włożył kawał jasnego chleba w potężne usta, łypnął na wszystkich porcelanowymi gałkami, potem żując smaczny kąsek dziąsłami, rzekł:

— Nigdy nie wiadomo, czy ich tam pan Gaszwiec nie przysłał.

— Ależ nieee — rechotał Jindrzych — zapomniałeś Wawrzek, jakem was pobijał w dziurze? Dobrze, że się tak skończyło. Poza tym jest tam wśród nich Duszka, pewnie jakiś tam nasz krewniak...

— A ja się nazywam Plecionka — nadmienił Olek mimochodem.

— No to masz, Wawrzek. Ktoś z twojej rodziny.

— Chyba Francka krewniak — mamrotał Wawrzek. — Ale tyle się teraz wszędzie kręci szpionów, których nasyla Gaszwiec, że się każdego podejrzewa...

— Tak, tak — powiedział Jindrzych do Piotrusia — niech pan ślachcic spojrzysz het tam na nową porębę. Prawda, ile tam nowych szachtów?

— Widzieliśmy je — odparł Piotr Wałęga — kiedyśmy weszli na wzgórze. Chyba to nie wasze, Jindrzychu?

— Nie, nie moje i nikogo z nas, co tu siedzimy. Pan Gaszwiec powymieniał pola z chłopstwem, a zaraz się zabrał do kopania węgla. Tylko ten po prawej stronie to Borczyka. Gaszwiec, ho, ho...

— Ho, ho... — powtórzyli wszyscy jego towarzysze. Jedząc utkwili spojrzenia na nowych szybach.

— Tak — ciągnął dalej Jindrzych — pan dworski zamienił się w bergmana. Chociaż to dopiero początki, ale już mi kilku kowali odbił. Daje im tańsze węgle, choć gorsze.

— Pii, żebyż to tylko odmawiał, ale on nawet zmusza kowali — wtrącił się do rozmowy Pawlik. — Jeno nie zna jeszcze kunsztu kopania, więc nas podpatruje. Wawrzka często wypytuje po dobroci, nawet go chroni przed łapiduchami. Ciągłe mu się zdaje, że wydlubie z niego albo i z innych kopalniane nowinki.

Ale Olek wpatrywał się bez przerwy jak sroka w kość w czwartego górnika. Był to oczywiście Francek Plecionka. Wreszcie i ten zabrał głos:

— A jest tych nowinek wiele. Jedziemy już na sto stóp pod ziemię. Dajemy sobie radę z wodą owym Jindrzychowym różańcem. A jego to w oczy kole.

— Wszystko by było dobrze — rzekł Wawrzek swym ponurym głosem — gdyby nie Schlagwetter. Jeszcze sobie z nim radzimy świeżym powietrzem ze sztolni i miechami, ale coraz ciężiej tam na dole.

— Na darmoś go nie nazwał Strapicielem — śmiał się Jindrzich. — Aleć zawdy on lepszy od „Marii Wspomóż”.

— A przyszedłszy szyb ochrzczimy „Pocieszycielem” — dowcipkował Pawlik.

— Tak — rzekł znowu Wawrzek Kopeć — ale przynosi nam na razie same strapienia. Powiem wam — Kopeć zniżył głos jakby się bał, że słowa jego poniesie wiatr do nowej poręby — że się tam już z lampą nie czuję bezpiecznie...

— To sprawa bardzo prosta — rzekł Olek głośno — trzeba się postarać o lampy Davy'ego...

Technik uszczypnął go w ramię, potem szepnął:

— Przecież tę lampę wynaleziono dopiero w roku 1815. Nie ma jej więc jeszcze na świecie.

Dlatego też wszyscy zebrani dookoła nich górnicy przyjęli Olkową radę jak błazeński wyskok, roześmiali się też chórem i powrócili natychmiast do swoich spraw.

— Heeda — rzekł w końcu Jindrzich do swoich gości — nie macie tam ochoty zejść z nami na dół? Oglądnicie sobie moją kopalnię.

— Francek — rzekł Kopeć do swego zięcia — zejdziesz z nami do przodka i zrosisz nam porządnie ścianę. Cosik mnie dziś od rana niepokoi.

Schodzili powoli na dół za nikłymi świeatełkami żarzącymi się pod nimi jak robaczki świętojańskie. Drabiny były mocne, okute, pomosty zaś podobne do małych ambon. W drodze do czeluści kopalni natrafili naraz na silny strumień chłodnego powietrza.

— Sztolnia — zawołał Piotruś. — Ale kopalnia znajduje się poniżej chodnika.

Dotarli wreszcie do podszybia, oświetlonego jakby dla nich przez znany im już kaganek górniczy, wiszący na stemplu. Zdziwiła ich solidna obudowa podszybia, wózek z załadowanym urobkiem, tor po którym się toczył do szybu i wiele szczegółów, które nie uszły uwagi bystremu oku technika. Właśnie zbliżył się do jednego z wózków węgla, by go lepiej zbadać, kiedy Jędrrek pokazał ręką na płomyk lampy.

— Ej, chyba metan — rzekł krótko Piotruś. — Czyżby oni tego nie zauważyli?

W tej samej chwili podziemiem wstrząsnął niesamowity huk. Wałęga podbił chłopcom nogi, wszyscy wywrócili się i przez chwilę leżeli oszołomieni twarzami do ścieku. Wreszcie zerwał się Piotruś i pierwszy dał hasło do ucieczki. Chłopcy skoczyli do drabin. Za nimi dopiero piał się do góry młody górnik.

— Uciekamy sztolnią! — rzucił ostry rozkaz.

Lecz Jędrrek i Olek orientowali się równie dobrze w tej możliwości ucieczki. Silny ciąg powietrza zwiastował wkrótce bliskość Jindrzichowej sztolni. Na dole, pod nimi, hałasował żywioł, gazy kopalniane łomotały i wstrząsały podziemiem. W tym piekielnym huku ledwie dały się słyszeć głosy ludzkie.

Biegli schyleni sztolnią, w której Jindrzich kiedyś tak sobie z nich zażartował. Gdy wreszcie wydobyli się zziajani na polanę, spojrzeli za siebie ku wzgórz, gdzie pozostał Strapiciel. Jędrrek upadł nagle na trawę i począł spazmatycznie szlochać.

— Czego płaczesz? — zapytał Piotruś pełen niepokoju.

— Jindzicha mi żaal...

— Nic im to nie pomoże.

Olek też ocierał oczy.

— Olek, i ty beczysz?

— Nieee, ja tylko tak sobie...

Po chwili Olek również buchnął do trawy. Jednak oczy jego bezustannie wpatrzone były w wzgórze. Ale potem zapytał nagle:

— Dlaczego podbił nam pan nogi?

— Jest to najlepszy sposób uniknięcia płomienia, który leci pod stropem. Nie wiem, czy oni znają się na sztuczkach gazu kopalnianego. Może jedynie Wawrzek, który jest wśród nich



najstarszym górnikiem.

Gdy wypowiadał te słowa, na górze rozszalał się dzwon. Dzwon bijący na trwożę, dzwon wzywający ratunku. Wtedy wszyscy trzej skoczyli na zbocze góry. Gdy wreszcie się znaleźli na porębie, ujrzeli Hankę stojącą nieruchomo przed budynkiem kopalnianym. Nie było Tomka, stały przy kieracie tylko jego smutne koniki, jakby rozpamiętywały górniczą tragedię. Olek obrócił się instynktownie w stronę otwartej przestrzeni poręby, a wtenczas zobaczył obok szybów haszpłowych człowieka na koniu, zapatrzonego jak i oni w nieszczęsnego Strapiciela.

— Piotruś — krzyknął Jędrzek z rozpaczą — biegnijmy na ratunek. Tomek już tam poleciał.

— Nic nie poradzimy — odrzekł jego młodziutki wujek poważnym głosem — to wszystko się już stało kiedyś. Może jednak nie jest tak źle. Słyszałem pod moimi nogami głosy ludzi.

## GDZIE SIĘ PODZIAŁ GOTTLIEB MEYER

Kaj siedział cierpliwie przed furtką i czekał na swego pana. W tym jednak dniu daremnie wypatrywał jego charakterystycznej sylwetki w dole ulicy. Pobiegł kawałek drogi, ale znowu zawrócił.

— Wiecie, coś się musiało stać — rzekł stary Rajda — waszego Herr Gottlieba nie ma. Powiedziałbym: nie jest to zgodne z jego zasadą.

— Małoż to roboty teraz w ogrodzie, gdy zbliża się jesień? Hodują jakieś specjalne odmiany chryzantem, mówił mi o tym...

Ale kiedy zapadać już poczał popielaty zmierzch, zaczęła się i ona niepokoić.

— Olek — krzyknęła do syna, który na dachu altanki nadawał dla wprawy sygnały semaforowe — poleć no do ogrodnika i dowiedz się, gdzie jest pan Meyer. Kaj się niepokoi.

— Oczywiście — mruczał inwalida.

Olek, skory do eskapad kryjących w sobie posmak przygody, ruszył natychmiast w drogę. Kaj, który przed chwilą wybiegł na ulicę, przepadł w tumanie kurzu, więc też chłopak go już nie tropił. Jak zawsze poleciał zakomunikować niepokojącą nowinę Jędrkowi i obaj przyjaciele udali się do ogrodnika, który zatrudniał Meyera. Na dość głośne pukanie w znane im drzwi nikt nie odpowiedział. Ogrodnika Grzenię znaleźli w cieplarni. Podniósł na nich głowę zabezpieczoną wielkim słomianym kapeluszem przed palącymi promieniami słonecznymi i rzekł:

— Nie, nie ma go w domu. Wyruszył trochę wcześniej po zakupy.

— A Kaja pan nie widział?

— Wpadł tu jak bomba — odparł Grzenia — i wystrzelił z powrotem. Pewnie poleciał za swoim panem.

Olek rozejrzył się ciekawie po wielkiej cieplarni. Pełno tu było najcudniejszych kwiatów, wśród nich sporo miejsca zajmowały chryzantemy.

— Podobają się wam nasze kwiaty? — zapytał ogrodnik.

— Tak — odpowiedział Jędrzek za siebie i za Olka — ale jak pan to robi, że chryzantemy zawsze kwitną panu na Święto Zmarłych?

— No, troszeczkę to nasza tajemnica — odrzekł ogrodnik śmiejąc się pod nosem. — Po prostu skracamy chryzantom dzień.

— Skraca pan dzień?

— No tak. Chryzantemy to kwiaty jesienne. Więc my jesień przyspieszamy.

— Ach tak — powiedział zdawkowo Olek, a potem zniżył nieco głos: — Proszę pana, czy ten pan Meyer to nie dziwny człowiek?

— Jest bardzo dobrym ogrodnikiem. Wielu rzeczy nauczyłem się od niego. Nie wiem, gdzie się uczył ogrodnictwa, ale po jego wybitnej wiedzy o tulipanach mógłbym nawet przypuszczać, że w Holandii

Chłopcy porozmawiali jeszcze chwilę, lecz ponieważ nie mogli dłużej czekać na Meyera, grzecznie podziękowali Grzeni i poszli.

— Co się stało z Kajem? — zastanawiał się Olek, gdy rozpoczęli marsz powrotny.

— Na pewno pobiegł za swym panem — rzekł Jędrrek.

Najmniej niepokoił się sprawą stary górnik. Uważał on Meyera ze obiężyświata, który nigdzie długo miejsca nie zagrzeje. Widocznie znudziła mu się praca u Grzeni, więc spakował po kryjomu manatki i pożegnał Szarą Wieś na zawsze, nie troszcząc się o psa. Zaprzeczyła temu niemal gorąco jego siostra, a również Olek stanął w obronie Meyera. Tymczasem zapadła noc. Spały domy zanurzone w kiściach drzew owocowych, ale sen nie sklejał oczu olbrzymowi — kopalni. Olek przewracał się niespokojnie na pościeli. Nie wiedział, kogo mu bardziej żal: Kaja czy też tajemniczego człowieka. A może obu w równym stopniu? Jeszcze przed nauką pobiegli z Jędrkiem do ogrodnika. Szerokie sombrero potrząsnęło przecząco głową.

— Nie było go w nocy. Nie było również Kaja. Sam się już niepokoję.

Po nauce chłopcy przybiegli jeszcze raz do ogrodnika, ale i teraz poważna twarz Grzeni wyrażała nieme zaprzeczenie.

— Tak — odparł w końcu — jeśli nie zjawi się do wieczora, zamelduję o tym na milicji.

Jędrrek wciągnął do akcji poszukiwania zaginionego swego wujka. Obaj zjawili się po południu na podwórzu Olkowym. Usiedli wszyscy na ławce pod altaną. Olek gotował się właśnie do powtórzenia wszystkiego co wiedział, gdy nagle trzasnęła furtka. Na podwórze wpadł jak bomba Kaj. Był zziąpany i sponiewierany. Stanął naprzeciw nich jakby zaskoczony obecnością trójki opiekunów, potem usiadł w pewnej odległości od nich.

— Kaj — krzyknął Olek. — Chodźcie do nas.

— Kaj — wołał również Jędrrek.

Nic nie zdołało jednak nakłonić psa do zmiany swego dziwnego zachowania. Wtedy Olek zrobił dwa susy w jego kierunku, ale Kaj uchylił się zręcznie przed pieszczotą chłopca. Olek oglądął się na przyjaciół jakby stamtąd nadbiec miało wyjaśnienie tej zagadki. Ale Piotruś i Jędrrek również już wstali. Jędrkowi udało się pogłodzić kark psa.

— Co mu się stało? — zastanawiał się głośno Olek.

— Nic — odparł Piotruś zwięźle. — Natomiast jego panu...

Kaj zaskomlił po cichu i pobiegł kilka kroków naprzód. Chłopcy poszli z wolna za nim. Pies siadał, potem znowu uskakiwał, przy czym słychać było co chwila jego skomlenie podobne do skarżenia się pokrzywdzonego dziecka.

Dopiero kiedy udało mu się wyprowadzić wszystkich na ulicę, nie unikał już ich pieszczot. Pozwolił się pogłaskać, biegł nawet przez chwilę między nimi, ale potem wysunął się naprzód i prowadził ich przystając tylko co jakiś czas by sprawdzić, czy idą jego śladem.

— Zrozumieliście go już teraz? — zapytał technik.

— On nas gdzieś prowadzi — rzekł Jędrrek.

— Chyba do niego — powiedział Olek. — Pewnie mu się coś stało.

Kaj skręcił na południe prowadząc swoich przyjaciół na gór pod hałdę. Ale i tam się nie zatrzymał. Wiódł ich wszystkich jak hipnotyzer na postronku swych sugestywnych oczu w kierunku wzgórza.

— Nie mówiłem? — rzekł Olek przytłumionym głosem, choć przecie nic nie powie-

dział. — Zobaczycie, że pójdzie po zboczu na górę.

Kaj zatopił się w gąszczu krzewów, ale jeszcze raz wrócił, by się przekonać, czy jego towarzysze go zrozumieli. Wszyscy trzej wydostali się wreszcie na szczyt wzniesienia. Olek spojrzał triumfalnie na Piotrusia.

— Stra-pi-ciel! — powiedział skandując wyraz i pomknął naprzód.

Jędrak rzucił się za nim. Niebawem biegli obok siebie równo i wytrwale jak maratońscy. Przed nimi migał brązowy kształt Kaja, który dążył do jakiegoś ważnego celu. Naraz znikł im sprzed oczu, ale intensywne poszczekiwanie alarmowało, że doznał do tego, co im chciał pokazać.

— Kaj, Kaj! — wrzeszczał Olek.

Ale w tym samym momencie zahamowali instynktownie kroki. Przed nimi bowiem rozwarła się ziemia. Kaj wsparty nogami o krawędź głębokiej studni zanosił się radosnym szczekaniem.

— On! — zawołał Olek nachylając się nad jamą. — Proszę pana! Panie Meyer...

Do chłopców dotarł już również Piotruś. Był więc świadkiem Olkowych wykrzykników i milczenia człowieka, który tkwił na dnie ziemnej beczki.

— Haloo! — zawołał i on, nadając swemu tonowi brzmienie niemal uroczyste.

Na to postać na dole się poruszyła. Po chwili zajaśniała tam jaskrawo blada twarz Meyera. Wyciągnął rękę do nich.

— Runęło to nagle, gdy wstąpiłem na szczyt kopca.

— Trzeba liny — odezwał się Olek. — Skoczę po nią i po wujka.

— Raczej drabiny, tylko drabiny — odparł Piotr Wałęga, który jednym rzutem oka ocenił powstały dół i sytuację człowieka wessanego przez jego lej. — Patrzcie, chłopcy: zwierzały łupek, czarny kamień i węgiel...

Gdyby nie los uwięzionego, którym się żywo przejęli, byliby wybuchnęli wspólnym okrzykiem: Strapiciel. Byli bowiem pewni, że ten loch przed nimi, to właśnie szyb Jindrzicha.

— Jędrak — wydawał dalsze rozkazy Piotruś — ty pozostaniesz na miejscu, a my z Olkiem polecimy po drabinę. Proszę pana! Halo, proszę pana! Jest pan na dnie starego szybu, niech się pan nie rusza.

— Domyśliłem się tego. Czy wiecie, co przeżyłem podczas tej długiej nocy?

Był to bodziec do szybkiego działania. Wałęga i Olek znikli w krzakach, a Jędrak usadowił się obok Kaja, który się wreszcie uspokoił, czując że zjawili się przyjaciele jego pana, którzy nie pozwolą mu zginąć. Chłopiec nie wytrzymał jednak długo na miejscu. Usunął się raptownie pod wpływem jakiegoś niepokoju od brzegu przepaści, a niemalże w tej samej sekundzie posłyszał suchy szelest szutru w rozpadlinie i krótki skowyt psa. Jędrak cofnął się jeszcze bardziej. Wtedy dopiero uderzył go krzyk człowieka. Bezwiednie padł na ziemię. Leżał tak dłuższy czas, a gdy opanował strach, począł się czołgać do przodu. Zapuścił wzrok swój w wielki lej i spostrzegł zmianę w położeniu Meyera. Pan Kaja zanurzony był po łydki w korku leja, a pies przywarł do jego nogi drżąc na całym ciele.

— Proszę pana — zawołał Jędrak — żyje pan?

— Wciąż się sypie ze wszystkich stron. Porwało Kaja...

— Niech się pan nie poddaje, oni tu będą za chwilę. Niech pan wytrzyma.

— Nie wiem jak długo...

Nowy szmer przechodzący w szeroki szum połknął resztę słów jeńca Jindrzichowego szybu. Fala silnych kamyków wyniosła Kaja aż do kolan Meyera. Jędrak przypatrywał się temu przerażającemu zjawisku z bijącym sercem. Przestał prawie oddychać; bał się, że najmniejszy ruch spowoduje nowe obsunięcie się brzegów. Meyer również milczał, przy kolanie jego dygotał Kaj z gardłem ściśniętym przerażeniem, bo nie wydawał z siebie żadnych głosów. Wszystko spowilo się w wielką złowróżebną ciszę. Kamyki zastygły. Tego straszliwego napięcia nie wytrzymały już nerwy chłopca, rozpoczął chaotyczny odwrót. Wtedy usłyszał

jeszcze raz szurgot zwietrzałego łupku i kamieni. Widocznie ruszyły do kolejnego ataku. Jędrak obrócił się na pięcie i skoczył do ucieczki. Gonił na oślep prosto przed siebie, ale potem ogarnął go tak wielki wstyd, że stanął.

— Ale jak ja mu pomogę... — szeptał do siebie.

Tysiące myśli, tysiące sposobów ratunku jak race, jak błyskawice krzyżowały się w jego mózgu. Ale wszystkie zdały się na nic, gdy się dostały pod sąd rozwagi. Jędrak czołgał się znowu do szybu. Pełen obawy spojrział w dół. Szary piarg omotał nogi nieszczęśnika powyżej kolan. Pies leżał przy nich niemy, wierny i zrezygnowany. Nagle chłopiec wyprostował się niby świeca i krzyknął donośnie. Po drugiej stronie szybu wyjrzała czarna, osmolona dębowa drabina Jindzicha spięta mocnymi okuciami.

— Proszę pana, proszę pana — krzyczał. — Uratuje się pan. O, jest drabina.

Meyer dojrzał ją również, ale bał się każdego ruchu. Chłopiec odgadł jego obawy. Zawołał:

— Niech pan poczeka. Niech się pan nie rusza. Zaraz wrócę.

Biegł rozglądając się dokoła, szukając czegoś, co mogłoby być przydatne w tym krytycznym momencie. Wreszcie znalazł. Była to długa zakrzywiona gałąź. Jędrak porwał ją oburącz i wrócił do szybu, gdzie na szczęście nic się tam nie zmieniło. Stanął więc po stronie drabiny. Był pewny, że tutaj brzeg studni jest bezpieczny, wstrzymywany drabiną.

— Proszę pana — zawołał — podam panu gałąź. Niech pan dąży do drabiny. Niedaleko do niej i bezpiecznie.

— A Kaj?

— Nic mu nie będzie, jest lekki!

Meyer nie odpowiedział. Zdawał się wahać. W końcu potrząsnął głową.

— Nie mogę go zostawić jego losowi. On mnie ratował...

Jędrak znalazł w kieszeni jutowy sznurek, przywiązał go do końca gałęzi i ostrożnie opuścił gałąź w dół.

— Niech go pan przywiąże do gałęzi. Wyciągnę go ostrożnie.

Meyer zamknął na chwilę oczy jakby się bał tej najokrutniejszej rzeczywistości: ujrzenia sypkiej lawiny toczącej się na niego i na psa. Ponieważ jednak i tak nie miał wiele do stracenia, schylił się nieznacznie i począł manipulować koło sznurka. Wkrótce Kaj znalazł się na gałęzi. Osypisko nie przeszkodziło w najmniejszym stopniu tej jego miłosiernej pracy. Kaj jakby wiedział, że od zachowania jego zależeć będzie powodzenie sprawy, siedział bowiem cicho i wyczekująco. Gałąź ślizgała się lekko i delikatnie ku gorze. Kilka kamieni potoczyło się w dół, ale wtedy już pies był bezpieczny.

— Nie utrzymasz mnie sam jeden — rzekł właściciel Kaja.

— Niech się pan nie boi. Nie możemy czekać, bo cały brzeg po tamtej stronie jest pęknięty.

Gałąź wylądowała u kolan Meyera. Do drabiny nie było więcej jak dwa kroki. Wysunął jedną nogę z szutru, ostrożnie zrobił krok, potem drugi. Szyb nie reagował na tę próbę ucieczki i dopiero gdy ręce więźnia uczepliły się drabiny, za jego plecami szusnęła powódź gruzu. Meyer jednak znajdował się już poza jej chciwymi ramionami. Upadł na ziemię obezwładniony męką całej doby, a również świadomością niespodziewanego ocalenia. Jędrak przysiadł obok niego i przyglądał mu się ze współczuciem. W Kaja wstąpiło nagle życie, począł się łąścić do swego pana, potem okrążał go w radosnych podskokach.

— Jędrak... Jędrak... — wołał Olek z daleka. — Idziemy...

Minutę później wtargnął na wzgórze Olek, za nim wydostała się drabina podtrzymywana krzepkimi rękami Piotrusia. Na końcu pojawił się wujek Olka, a chwilę później przybyła zadyszana biegiem Plecionkowa.

## U UCZONEGO BEDNARZA

Stary Szymon miał Olka od dawna na oku. Na samym początku „jego choroby” posądzał siostrzeńca o dziecięcy nawyk zmyślania, potem jednak zrodziło się w nim przekonanie, że te łgarstwa wypływają po prostu z jakiejś nieuchwytniej choroby chłopca. Zaostrzył więc nad nim kontrolę, a wynikiem podpatrywania i śledzenia był list, który górnik znalazł w zeszyście. Potrząsając nim silnie ze zdenerwowania biegł szybko do siostry.

— Oto masz — zawołał. — Olek kompletnym wariatem. Wariat, mówiłem to sto razy.

— Olek? — śmiała się Marta. — Chyba go dobrze znam. To najnormalniejszy chłopiec pod słońcem.

— Słuchaj, Marto, znałem takiego, co stale łapał muchy na ścianach, choć ich tam nie było. Mówiłem, że to wariat. Wszyscy się śmiali. Aż pewnego dnia zajechała po niego karetka i zawiozła do bednarza.

— Jakiego bednarza?

— No, psychiatry. Zresztą zaraz będziesz inaczej śpiewała, gdy ci przeczytam ten oto list. Skąd on wziął te swoje pikasowskie wyrażenia?

Szybko wsadził na zadarty nos okulary w drucianych oprawkach i począł czytać z mozołem:

*„Szanowna Koleżanko i Towarzyszko wesółych urodzin!*

*Donoszę, Szanowna Koleżanko, że powodzi mi się dobrze, czego i Tobie życzę jako błyskawicznemu Pogotowiu Ratunkowemu moich mankietów. A teraz pytam grzecznie na wstępie, czy wiesz dlaczego jabłko spada na ziemię. Czy ty lub twoja szanowna koleżanka, Małgosia, umiecie obliczyć wysokość waszej wieży kościelnej bez wchodzenia na nią i bez mierzenia jej taśmą mierniczą? Jeszcze jedno: Dlaczego Archimedes zawołał kiedyś: eureka? Jak ci z przykrością wiadomo, radość urodzin wiadomych zmącił szklany zgrzyt w osobie mego kochanego wujca, czego nikomu nie życzę. Przez karygodne roztargnienie wujcio mój przytransportował szlafrok mojej mamy zamiast wizytowej gali, co mnie zbiło — jak mówi wujcio — z pantaląku. Toteż stałem pod muzycznym oknem urodzinowym i topiłem się w maśle Waszej uciechy. Nic to. Kiedy nie było opatrunku na me zasztyletowane serce, zabrałem się arcysmutny do wujciowego wigwamu. Ale jeśli się, Szanowna Towarzyszko Zabawy, zdecydujesz kiedykolwiek na uroczysty obchód urodzinowej pamiątki, to ja się zjawię w angielskim stroju wizytowym...”*

— Ach, Boże — śmiała się matka Olka — przecież nie ma nic anormalnego w tym liście. Wyrażenia? Są żywcem wzięte z twego bogatego języka.

— Nie ma nic nienormalnego? No, to posłuchaj dalej, moja Marto.

*„A teraz o tym, przed czym się mówi: „sza”. Nie śmie o tym wiedzieć mój drogi wujcio, nie śmie o tym wiedzieć nikt. Myślą, że nie dotrze ani słowo z tego do Szanownej Koleżanki Małgosi, ani do kochanej Twojej mamy. Sekret na siedem pieczęci. Szanowna Koleżanko, uwikłaliśmy się cztery kopy lat temu w nową przygodę, która by nas była kosztowała życie. „Zjechaliśmy” po drabinach do kopalni, którą Jindrzich nazywa sobie grubą. Właśnie wtedy zapalił się Schlagwetter, co możesz sobie, Szanowna Koleżanko, przetłumaczyć na zwariowany gaz, który mój wujcio nazywa Matuszowym gromem. Ale to po prostu metan. Trzasnęło więc bardzo ładnie, ażeśmy plusnęli do rynsztoka, który się zrobił kasą pancerną naszego marnego życia. Potem uciekaliśmy sztolnią. W końcu śliczna Leśniówka wzięła nas w swoje*

*kryształowe ramiona...*”

— Śliczna Leśniówka — szydził stary Szymon — kryształowe ramiona... Ten brudny ściek nazwać ślicznym, to już za dużo. Śmieję się dalej, moja Marto...

— Przecież nie będę płakała...

— Tak — rzekł inwalida zmęczonym już głosem — teraz jednak nie możesz powiedzieć, że to zdrowy chłopak. Oglądał te swoje bzdury cztery ko-py lat temu...

Nie spłoszyło to jednak pogodnego uśmiešku z twarzy siostry. Wzięła w końcu list z ręki brata i zaczęła go jeszcze raz czytać. A uśmiech przeradzający się w miarę czytania w rozbawienie nie schodził z jej ust.

— Panie doktorze, panie doktorze, przyszedłem tu z naszym Olkiem.

— Chory?

— Iii, chyba nie tak jak inni w jego wieku. Rozsznurował się jego worek z fantazją.

— Co, wariata chce pan z niego zrobić? Jeśli dobrze zrozumiałem...

— Niech pan posłucha. Od pewnego czasu stale bredzi. Naszą ulicę Topolową przyozdobić chce w paprocie i skrzypy, wielkie jak wieża kościelna. Urządza wycieczki do czasów Piasta i Rzepichy. Ale najgorsze, że łapie wciąż ryby w Leśniówce...

— To rzeczywiście majaczenie. Zresztą zobaczymy. Siadaj, mój synu. O, tutaj! Tylko spokojnie, bez nerwów.

Lekarz przyglądał się Olkowi z tak niesamowitą miną, że chłopak się cofnął. Biały kitel zrobił krok i złapał „chorego” pod brodę. Olek przeraził się jeszcze bardziej jego łagodnego, a wydawało się, podstępного tonu w głosie.

— Więc, mój Olku, łapałeś — powiadasz — ryby w Leśniówce?

— I raki, proszę pana.

— Hm, naprawdę bardzo to rezolutnie powiedział. Domyślam się, że pluskały się tam kaczkę, a przechodzień trawiony pragnieniem napił się z Leśniówki wody.

— Sam ją piłem.

— Powiedz mi, powiedz, co to jest miłosierdzie?

— Miłosierdzie? Jeśli się komuś odwiną mankiety przy spodniach, a dziewczynka mu je przyszyje.

— Panie doktorze, zupełny mente captus.

— Niech się pan nie denerwuje. Jeszcze przebadamy go testami. Słuchaj, Olek. Pewien człowiek poszedł na grzyby do lasu. Nagle stanął przerażony, zawrócił i pędem pobiegł na milicję, krzycząc, że zobaczył na gałęzi drzewa... Co zobaczył?

— Niedźwiedzia...

— Olek — karcił go wujek — strzelasz bez prochu. Miałeś powiedzieć: wisielca.

— Ja bym się bardziej przeraził niedźwiedzia.

— Słusznie. A nie czułeś się ty kiedy inną osobą? No, dajmy na to wróblem, albo Napoleonem?

— Nie.

— A nie zastanawiałeś się kiedy, dlaczego stołek ma cztery nogi? A może cię ciekawiły inne zagadnienia?

— Nie. W chwili obecnej interesuję się pewnym panem, który wydaje mi się być Skarbnikiem.

— A więc jednak.

Lekarz usiadł za biurkiem i zsunął rogowe okulary z czoła na oczy. Po chwili zaczął pisać. Pióro jego drapało papier, aż się stary Szymon wzdrygnął, urywało jakby się wraz z lekarzem zastanawiało, potem nakreśliło coś zamasyżuje i szybko. Doktor wyprężył swą barczystą postać i podał kartkę zapisaną drobnym maczkiem staremu górnikowi.

— To przekaz do specjalisty psychiatry, panie Rajda. Uleczy on Olka jak nic z jego pociesznych mrzonek.

## NIECH ZGINIE STRAPICIEL

Była to ta sama polana, a jednak inna. Bardziej cicha, melancholijna i bardziej opuszczona. Wszystko mówiło w tym upalnym lecie, że człowiek rzadko tędy przechodzi.

— Znosi się na burzę — zauważył Piotruś, spoglądając na zachód, gdzie z ciemniejszej połaci nieba, jak z rozprutej pierzyny, wydostawały się kłęby fioletowych obłoków.

Olek szukał śladów dawnej drogi, ale nie było jej wśród traw. Wałęga przypatrywał się zdumiony drzewom boru, których liszajowate pnie były potężniejsze; zwichrzone korony okrzepłych sosen świadczyły, że szarpały je i były wszystkie wichry długich lat.

— Gdzie są ludzie? — martwił się Olek, czując się tylko wtedy dobrze, gdy dokoła niego panował gwar i życie.

— Wszystko tu wygląda tak, jakby nie było tutaj węgla — rzekł Piotruś. — Coś się stało w czasie naszej nieobecności.

— Chodźmy ku Leśniówce — zaproponował Jędrek.

Leśniówka miała znowu złote dno, warstwę węglowego mułu wody uniosły widocznie ze sobą. Ujrzeni ku swej radości srebrne pręgi ryb. Dotarli do mostu, był zaniedbany. Tylko Olek odważył się przelecieć balansującym krokiem przez jego zmurszałe belki.

— Mam złe przeczucie — odezwał się Piotruś na ten widok.

— Pozostał nam jeszcze Strapiciel.

Rypata, Jindrzychowy wąwóz, biegnący ku Strapicielowi, ginął w lasku pogodnych brzóz. Atramentową plamę sztolni zasłaniały frędzle gęstych krzaków. Tu i ówdzie ze skarpy wystrzelały wiotkie modrzewie. Wszędzie dostrzegali dzikie, zapuszczone uroczyska, po których błąkały się niespokojne promyki słoneczne.

— Czy jeno dobrze idziemy? — pytał Jędrek.

— Prawidłowo — odparł jego wujek. — Są jeszcze pozostałości kopalni: okruchy węgla i kamieni... O, jesteście na pagórku! Och, patrzcie!

— Szyb! — Zawołał Olek.

Wszyscy trzej stanęli. Najciekawsze, że spostrzegli najpierw kierat, którego złamany kikut dotykał ziemi. Stał również kopalniany budynek, ale pełno w nim było szczerb i braków. Wiatr stukał oderwanymi deskami.

— Piotruś — rzekł Jędrek jakimś ściśniętym głosem — to musiała być wielka katastrofa...

Weszli w otwarte wrota. Wielkie wnętrza znaczone było jak ostatnio mistycznymi cieniami. Stanęli nagle. Na dylach, z których szpar wyrastały małe brzózki, leżał wiklinowy koszyk.

— To koszyk Hanki — zawołał Jędrek. — Olek, nie poznajesz?

W koszyku była zbutwiała łyżka drewniana i wypłowiałe szczątki fujarki.

— Nie ma haszpli! — anonsował Olek.

Rzeczywiście nie było kołowrotu. Niema, rozwartą paszcza kopalni zarzucona była rupieciami, wielka taśma, Jindrzychowy paternoster, sterczał jak olbrzymi strach na wróble z pogniecionymi czerpakami.

— Wstrząsające — westchnął młody górnik. — Ale nie traćmy otuchy. Nie byliśmy jeszcze nigdy na południu, zróbmy sobie wycieczkę w tamtym kierunku.

— Lećmy do Duszków — proponował Jędrrek. — Nie mogę się uspokoić, dopóki nie dowiem się o losie Jindrzicha.

Weszli więc do południowej części lasu. W pewnym miejscu powitała ich skąpa poręba. I tu właśnie doleciał ich pierwszy pomruk burzy.

— Haszpla! Wiwat! — Olek okręcił się na pięcie w radosnym nastroju odkrywcy.

Naraz zobaczyli człowieka, który wyszedł spoza małej hałdy węgla i maszerował prosto do doliny. Wtedy ruszyli żwawo naprzód. Niebawem stanęli nad haszplą. Był to znany im kołowrót ze Strapiciela. Teraz znowu rzuciły im się w oczy odcinki znaczone śladami kół.

— Tak, to haszpla Jindrzicha — rzekł Piotruś po zbadaniu kołowrotu ze wszystkich stron. — Ten człowiek, który ją przed chwilą opuścił, musi mieszkać niedaleko, tam w dole.

— Tam przecież znajduje się zagroda Duszków — zaznaczył Jędrrek. — Myślę, że to był na pewno Duszka.

— Ho ho, a nie czasem Plecionka? — wtrącił Olek. — Przecież nie wiemy, kto z górników wtedy ocalał. Może akurat Francek Plecionka.

Nie było wszakże czasu na te wszystkie drobne roztrząsania. Pół nieba znaczone było draperią burych chmur, a metaliczne odgłosy burzy stawały się coraz ostrzejsze i coraz krótsze. Wyżłobiona droga zaprowadziła ich na jasne pole. Stał tam długi wóz drabiniasty z parą dorodnych koni. Na wóz śmigwały tłuste snopy. Podawał je mężczyzna drewnianymi widłami, a może szesnastoletni wyrostek układał wiązki zboża zręcznie i szybko.

— Boże pomóż! — krzyknął Wałęga, który na widok żniwnego krajobrazu odtajał zupełnie. Poczul się w tej chwili szczęśliwym kmiotkiem, który staje przed niespodziewanym przepychem złotych zbóż.

Chłopcy żwawo przystąpili do pomocy. Pięciu nie dwóch. Wóz smykał się od kopy do kopy, połykając hojny dar pola. Wreszcie kiwając się i poskrzypując ruszył ku dolince. Chłopiec na wysokiej stercie przynaglał konie do pośpiechu, wkrótce wóz wjechał na obszerne podwórze przed ośmioboczną stodołę.

Mimo bliskości burzy, która porykiwała wezbraną gniewnie pierśią, fura obracała jeszcze kilka razy, wreszcie wpadła z ostatkiem zboża w pamy tunel stodoły. Żywioty jakby na to tylko czekały. Ślepy wichur wtargnął pod dach i wyszarpał otwór w słomianej strzesze, potem lunęło jak z wodospadu.

— Idźcie no — rzekł mężczyzna na wozie — do chałupy, trochę ochłoniecie. A my sobie już tu damy rady.

Lecz strugi deszczu były tak gęste, że doszczętnie ich przemoczyło, kiedy doskoczyli do sieni. Mimo to odetchnęli z ulgą. Znaleźli się bowiem w cierpko-słodkiej woni siana i ziół. Na ścianie wisiały chomąta i uprzęż końska. Pod schodami prowadzącymi na strych stały żarna. Po lewej ręce były proste drzwi bielone wapnem. Jędrrek zapukał do nich mocno i nacisnął na skobel.

Przemoczeni goście znaleźli się w dużej, mrocznej izbie. Ciągłe, jakby z fotograficznego flesza wydarte błyski piorunów za oknami, odślaniały z wielką dokładnością wnętrze chałupy. Na długiej ławie leżał człowiek z siwą brodą i białym włosiem. Obok niego siedziała zgrzybiała, może stuletnia staruszka.

— Mamulko — odezwał się siwy człowiek na ławie, podnosząc się wpół — czy mi się śni? Uszczypnijcie mnie trochę... Dyć to oni. I zawdy ci sami. Ci dwaj nic nie urosli, a pan ślachcic młodziutki w swojej śniegowej koszulinie.

— Jindrzych! — krzyknął radośnie Jędrrek i rzucił się w objęcia starca.

Olek zrobił to z tą samą serdecznością, jedynie Piotruś czekał statecznie przed Jindrzychem. Ale i jego przygarnął sędziwy gospodarz do swojej piersi.

— Och, Jindrzych, Jindrzych — wołał Jędrrek — co się z wami stało?

— Masz na myśli ów przeokropny dzień? Widzisz, żyję.

— A Plecionka? — dowiadywał się Olek.



— Jest zdrów.

— Wawrzek?

— Widzicie, moi roztomili — rzekł Jindrzych nie odpowiadając na ostatnie pytanie — leżę jak ta zmurszała kłoda, ciężki a niemocny. Jeno o krykach się przenoszę. I to tak od niepamiętnych czasów. Ale jeszcze jedną jedyną pielgrzymkę przygotowuję...

Jindrzych zniżył głos. Za oknami szalała burza. Starusienka kobieta siedziała przy jednym z nich i modliła się głośno. Mrugająca gromnica kładła jasne plamy na jej dobrej twarzy.

— ...I dojdę tam.

— Dokąd?

— Do Strapiciela. Czy wiecie, że Strapiciel już nie mój?

— Coo? — zdziwił się Olek.

— Wszyscyśmy wyszli cało z biedy — ciągnął dalej Jindrzych. — Jenom ja zahaczył niebacznie o szczebel i trzasnął o ostrza drabiny na kazalnicy. Ale nam wszystko na dole Schlagwetter pogruchotał i zawalił chodniki. Jeśli żyjemy, to Wawrzkowej roztropności to zawdzięczamy. Leżeliśmy, a nad nami jak szatan...

— Jindrzychu, nie klnij przy takiej pogodzie — beształa go staruszka.

— Nie klnę, mamulko, jeno porównuję ognistego smoka, co chciał zgasić nasze żywoty.

— Ale co z Wawrzkiem?

— Ha, ktoś go we dworze w Jeżynie omaścił i Gaszwiec zjawił się po niego. Znowu nieszczęśnikowi groziły sądy, szubienica, śmierć. Tedym ofiarował piekielnikowi...

— Jindrzych, bój się Boga...

— Dobrze już, dobrze, mamulko. Daję mu całą łąkę za Wawrzka, a on nie, tylko Strapiciela. Za Strapiciela puści nieszczęśnika, a jeszcze go będzie ochraniał. Uratowałem Kopcia, ale przepadł szyb, który pod rządami pana nigdy się już nie dźwignął. A my? Cóż my... Pawlika wzięli Prusacy do wojny. Nie wrócił już biedak. Nie wrócił z frycowej wojenki mój najstarszy Jindrzych. Trochę tam dłubie w węgłach Cyprian. O, widzieliście go pewnie, bo zwoził zboże.

— Ale co z Wawrzkiem? — dopytywali się wciąż chłopcy.

— A umarł szczęśliwie.

— Umarł?

— Przecie miał blisko dziewięćdziesiąt lat. Ja już przekroczyłem osiemdziesiątkę. Mamulka mają przeszło sto lat.

Olek chciał znowu zapytać o Plecionkę, ale sień ożyła licznymi głosami, wreszcie uchylły się lekko drzwi i do izby wsypało się dużo ludzi.

— Moje dzieci — rzekł Jindrzych z pewną dumą w głosie — wnuki i prawnuki.

Jakiś chłopczyk w lnianej koszuli zbliżył się do stołu i zagapił się na starego Duszkę, potem odwrócił się raptem do Jędrka:

— Ja chodzę do szkoły, a ty?

— Ja też.

— W lecie nie, co?

Jędrak skinął głową, że również. Na to chłopiec powiedział chełpliwie:

— My w lecie chodzimy trzy razy w tygodniu, a w zimie rano i po południu. A jak się nazywa twój przesektor?

— Przesektor? Aha, już wiem, to pewnie nauczyciel. Pan Wojtanek...

— A mój: Maciej Jochemko. Wasz bije mocno?

— Bije? — Jędrak uśmiechnął się, a potem zaprzeczył energicznie głową.

— Uuch, nasz nie daruje. Dwa tuziny lyskowych bijaczy zużyje w jednym tygodniu. Uuch, jak ci przytnie, zaraz się pręgi wydrą ze skóry. Ale za to już dukam znośnie w biblijce...

Reszta domowników krzątała się cicho przy piecu, widać było, że poddawali się wszyscy woli starego Jindrzicha. Na dworze nadal pluskała ulewa i hałasowały pioruny. Naraz ustały przyciszzone rozmowy pod piecem. W sieni bowiem zabrzmiały nowe głosy.

— Założyłbym się — rzekł Jindrzych — że to Wawrzków Jakusz.

Drzwi rozwarły się z łoskotem i do izby weszło dwóch mężczyzn: jeden wysoki z czarnymi wąsami, drugi niższy z gładko ogoloną twarzą. Obaj zrzucili z siebie mokre worki, które im służyły za kapuce. W twarzy wąsacza pałały ciemne, przenikliwe oczy.

— Jakusz, podobnyś do ojca jak kropla do kropli wody — rzekł Jindrzych. — Co was przyгнаło w taką pogodę?

Czarny gość zacierał ręce jakby je chciał zagrzać.

— Jindrzychu, wojny tam nie będzie? — zapytał.

— Nauczyłeś się tego od ojca. I on tak zawdy pytał. Mało to już wojen było? Nie było dnia, żeby nas pruscy, albo austriaccy dragoni nie płukali. Trzynaście roków. Ledwo z tego dychamy. Mogłeś oglądnąć naszą stodołę zeszłej jesieni.

Obaj goście usiedli na ławie pod łóżkiem.

— Aleście swój pan i ślachcic! — Rzekł Jakusz. — Nikt wam nie ma prawa rozkazywać. Chocia tam żemły nie jadacie, ale też nie gniotą was oddawkami jak nas pańszczyźnianych. Tatulek mieli blisko dziewięćdziesiąt roków, a pan nie dawał im pokoju. Rok w rok to samo...

— A dyć wiem, Jakuszu, że wam ciężko...

— Szwagier Plecionka może zaświadczyć.

— Idzie podzim, a trza do dworu zawieźć dwa koruszki rży, jeden żyta — mówił Plecionka — trzy miarki owsa. A skąd wziąć, nikt nie pyta. Samiście prawili, jak królewscy łupili, a latosiowe żniwa kiepskie. Oddaliśmy dopiero dworskiej beczce bez dna dwa mendle jaj, a trza im ponadto zanieść dwie tłuste kury i masnego kokota, do tego jeszcze twardego talaru. Nieście panu fararzowi oprócz tego ćwierć rży i ćwierć owsa, panu przesektorowi miarkę krup, miarkę rży, pecen chleba, a na kiermasz dwa wielkie kołaczce.

— A czy to już wszystko? — zastanawiał się gorzkim głosem Jakusz. — Gdzie powinności pańszczyźniane? Zasier dworowi na podzim koruszek ziarna, na wiosnę drugi. Trzeba to w końcu zeżniwować i do pańskiej stodoły zawlec. Potem jeden dzień wozisz panu gnój, w każdym ćwierćroku jedź mu po drzewo do lasa. Jeden dzień koś mu łąkę, susz i znowu wieź, jeden dzień stawiaj mu płoty, trzy dni wieźcie mu znowu drzewo, cegłę i kamień na budowę...

— Lepsza już wojna i śmierć — dodał Francek Plecionka.

— Żal mi was serdecznie. Gdym był jeszcze przy jakich takich siłach, wspomniałem Gaszwicowi, żebym was wykupił. Ale on już wtedy miał Strapiciela. Umyślił sobie, że mu go odwodnicie i fedrować zaczniecie węgłe dla kowali...

— Jeno mu było żal paru talarów na nowy gepel i łańcuch z czerpakami. Aleć tam w dworze sprawy Strapiciela jeszcze nie pogrzebali.

— Patrzcie.

— Niech zginie Strapiciel! — rzekł Jakusz zaciętym głosem.

— Tak — potwierdził Jindrzych — i zginie jeszcze dzisiaj.

— Wiele się tam w Jeżynach teraz zmienia. Młody miesza się do wszystkiego. Podczas kiedy stary jeno kalendarz czytał i czarownic szukał, młody jest uczony. Był w Prusiech i na Saksach. Oglądał tam gruby, werki i kuźnice. Mówi wciąż o industrii i industrii... On tu wszystko zakopci kominami. Jaki to — powiada — widok: te kominy pnące się do nieba i okadzające obłoki. Na coś się tu zanosi, bo już wszystkich wykupił. Borczyk, Kałuża, Pięta, Różga — wszyscy odstąpili mu swoje szyby. Teraz on jedyny na tej ziemi pan. Nikt już węgla nie fedruje.

— I co jeszcze powiedział ten przeklętnik?

— Jindrzych, nie kluj!

— Dobrze, mamulko, już milczę... A wiecie, moi roztomili, jak tu będzie wyglądało? Przedwczoraj była tu moja Hanka z Boguszowic. Tam pan graf Węgierski zamyka swoich poddanych w lochu, jeśli im się zdarzy zalegać ze zbożem czynszowym. Pan graf zagląda nawet do garnców pańszczyźniakom. Latem goni wszystkich, i dzieci, do zbierania grzybów, malin, szyszek, czerwca i inszych rzeczy. Teraz rozkazał na dodatek, aby chłopstwo oddawało wszystkim popiół drzewny, bo nim chce lasy swoje użyźnić.

— Nasz nie lepszy...

— Ludzie roztomili, Strapiciel? Toć to dla nich gratka, by was wszystkich wydoić do cna. I nic ich nie będzie od tej chwili obchodziło. Ani Schlagwetter, ani żyły wodne, ani nic. Niech tam giną ludzie. Mało to ich na świecie.

— Dlatego Strapiciel musi zginąć?

— I zginie.

— Po to po was posłałem. Cyprian, Jędrzych.

Do starca zbliżył się ten sam człowiek, którego widziano przy kołowrocie i zwożeniu zboża. Za nim wysunął się smukły, wysoki młodzieniec.

— Ruszamy wszyscy. Jest nawałnica. Uderzyło, rozumiecie?

— Gdzież ty się wybierasz, Jindrzych — odezwała się nagle staruszka — czy nie widzisz, co się dzieje na dworze?

— Dlatego, mamulko, idę. Trzeba spełnić dobry uczynek przed śmiercią.

Wyszli wszyscy z gwarem na próg domu i poczęli badać zasępienie nieba. Padało jeszcze, ale burza przewaliła się już na wschodnią połowę niebios. Porykiwała też rzadziej, choć równie głęboko i gniewnie. Pięciu mężczyzn skierowało się na ściernisko, a stąd prosto na drogę wiodącą do lasu i Strapiciela.

— Rozumiecie co z tego? — pytał Olek. — Ja bo nic.

— Przeczuwam tylko, a boję się to wypowiedzieć — odrzekł Jędrzek.

— Zniszczą Strapiciela, to pewne. Nie powstrzyma to zamiarów młodego Gaszwca, ale opóźni na pewien czas rozwój tutejszego kopalnictwa, tym bardziej, że w Strapicielu zgromadzonych jest wiele cennych doświadczeń, wydobytych „z wspólnej torby górniczej”, jak to twój ojciec określił.

Zdawało się, że wielki zbiornik wodny na dachu nieba wyczerpał swe zapasy, nie padało już bowiem. Piotruś ze swoimi towarzyszami znalazł się na wysokości małego szybu haszpłowego Cypriana. Zatrzymali się na chwilę, a mężczyźni z kaleką-starcem znikli tymczasem w lesie.

Burza jakby się namyśliła, zatoczyła koło i znowu zawisła nad wzgórzem Strapiciela. Trzepnęła w twarze czekających kilkoma grubymi kroplami deszczu i załkała głucho. Nagle z czarnego nieba oddzielił się jaskrawy wąż i strzelił w ziemię. Rozległ się postrzępiony huk.

— Uderzyło — krzyknęli Olek i Jędrzek.

Po chwili wyskoczyło spoza lasu kilka ognistych warkoczy. Piorun wznicił gdzieś pożar.

— Strapiciel ginie! — Zawołali chłopcy.

## GOTTLIEB MEYER PRZESTAJE BYĆ TAJEMNICZY

— Ach, ach, nie wiem, co na to wszystko powiedzieć?

— Na ten przekaz do uczonego bednarza? Mamo, udaję teraz przed wujkiem dobrego

już kłamcę. Więc nie ma powodu...

— Nie to. Olek, ten człowiek przypomina mi stale kogoś.

— Kogo?

— Nie powiem ci, Olek, za nic na świecie. — Potem dodała ostrożnie: — Po co rozdzierać sobie serce, Olek.

Istotnie, lepsze poznanie Meyera, który po ostatnim wydarzeniu jeszcze bardziej się zbliżył do mieszkańców jasnego domku, mogło nasunąć pragnienia by go porównywać, oceniać, charakteryzować. Najoszczędniej robił to stary Rajda. Nie lubił takich myśli, a traktował gościa z rubaszną poufałością. Nazywał go Gottliebem, często opuszczał „pan”, mylił się też wołając na niego: Józef. Meyer pomagał prawie codziennie staremu w różnych robotach domowych. Zrzucał wtedy schludną marynarkę, brał piłę, siekierę czy młot i wykonywał powierzone mu zadanie z wielką pilnością, a przede wszystkim znajomością rzeczy.

Stary Szymon przyglądał mu się nieraz, a potem mruczał z uznaniem:

— Jeden tylko człek umiał to tak jak wy: ojciec Olka.

Zdawało się, że Meyer zna w tym domu każdy już zakamarek. Ekspediował razem z Olkiem pocztowe gołębie na miejsce zbiórki, oczekiwał z równą niecierpliwością, jak stary, powrotu zawodników. Jego skąpy sposób wysławiania się ustępował dłuższym zdaniom okresowym. Przy Rajdzie pierzchała jego nieśmiałość. A Olek posłyszał raz nawet jak się rozśmiał.

— Krzepki z was, Gottlieb, chłop — rzekł mu Rajda — dlaczegoście się nie ożenili?

— Dlaczego?... Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałem. Nie wiem dlaczego, lecz czułem, że nie mam prawa tego uczynić. Ale pan też nie jest żonaty...

— Byłem żonaty — stwierdził szorstko Rajda. — Moja żona umarła, a dziecko wpadło pod auto.

Meyer zrozumiał, że niechcący zadał ból staremu człowiekowi. Wycofał się więc prawie w popłochu, a przerzucił na zupełnie inny temat. Innym razem inwalida, przypatrując się jego robocie, zagadnął go tak:

— Nie mogę zrozumieć, Gottlieb, że oddajecie wasze mocne ręce fiołkom alpejskim i pelargoniom. Gdybyście poszli do kopalni, zarobiliście więcej i czulibyście się lepiej.

— Czuję jakąś wrodzoną niechęć do tej pracy. Nie mogę jej przewyciężyć. Nie mogę wszystkiego mówić, bo wiele rzeczy jest dla mnie niejasnych...

Następnego dnia matka Olka zwróciła się do brata.

— Olkowi konieczne jest ubranie. Czy nie poszedłbyś z nami do sklepu? Zawszeć to lepiej z mężczyzną kupować ubranie chłopięce.

Rajda spojrzął na siostrę nieco złośliwymi oczyma, potem odrzekł:

— Alboż to nie macie w domu mężczyzny? Weźcie ze sobą Gottlieba. Młodszy ode mnie, ma oczy i zna się na rzeczy, sądząc po jego ubraniach.

Siostra zapłoniła się cała. Olek wybałuszył ciekawe oczy na Meyera. Czekał co powie. W duszy pragnął jego zgody na propozycję wujka, lubił bowiem Meyera z każdym dniem bardziej. Płat po płacie tajemniczości zlatywał z niego i stawał się takim człowiekiem jak inni.

Meyer wstał i chrząknął jakby zażenowany.

— Jestem gotów, pani wie... Mam czas. Sklepy są jednak otwarte do siedemnastej, toteż trzeba się nam spieszyć.

Olek znalazł się od razu przy boku Meyera. Matka szła trochę odsunięta, nieco sztywna i zamknięta w sobie. Olek nie lubił takiej atmosfery.

— Proszę pana — odezwał się głośno, by zepchnąć to brzemie niepotrzebego milczenia — czy pan wie, że wpadł pan do starego szybu?

— Aha, wtedy. Rozumiem... Skądże szyb? Zwykle zapadlisko, takie, jakie zdarza się często na Śląsku.

— Nie, nie. To naprawdę szyb. Nazywał się Strapiciel.

— Strapiciel? Zaczekaj... Gdzieś, gdzieś tę nazwę już słyszałem. Strapiciel, powiadasz?

— Olek — powiedziała matka — przestałbyś męczyć pana. Wiesz, że to bardzo niemiłe wspomnienie.

Meyer zaprzeczył.

— Lubię wspominać rzeczy, które były trudne, a jednak się z nich wybrnęło.

— Ale dlaczego pan tam właśnie poszedł? Może pan w tym miejscu czegoś szukał? Może czegoś bardzo ważnego?

— Nie wiem, mój Olku. Rzeczywiście błędę po tych wertepach dość często. Może mi się też wydaje, że tam właśnie coś znajdę. Byłbym szczęśliwy, gdybym umiał sam na to odpowiedzieć...

Weszli do wielkiego sklepu konfekcyjnego. Uśmiechnięta ekspedientka zaprezentowała klientom kilka ubrań różnych fasonów i kolorów. Olkowi podobało się ciemnozielone z drobnym maczkiem w deseniu. Przymierzał je dwukrotnie i oglądał się w wielkim sklepowym lustrze. Kiedy jednak matka spojrzała na etykietkę, przeraziła się ceny, kazała więc szybko usunąć ubranie. Pani w czarnym fartuszkach rzekła do Olka:

— Poproś swego tatusia, żeby dołożył różnicę ze swojej kieszeni i będziesz miał naprawdę śliczne ubranie.

Olek, który w chwilach zaskoczenia zwykł był wytrzeszczać oczy, zrobił to samo i teraz. Potem obrócił swe niebieskie tęczówki na Meyera i nagle parsknął śmiechem. Na twarzy Meyera pojawił się początkowo grymas podobny do skurczu bólu, potem rysy jego łagodniały, wreszcie równie nieoczekiwanie wybuchł śmiechem. Plecionkowa widziała po raz pierwszy jego śmiejące się usta. Meyer i chłopiec obrócili się do zwierciadła. A wtedy ujrzała coś, co ją wprawiło w niebywałe podniecenie, potem w osłupienie.

— Co się mamie stało? — zapytał Olek poważniejąc raptownie.

— Nic.

— Wyglądała pani, jakby się tu duch zjawił.

— Może się i pojawił. Byliście w tym niepohamowanym śmiechu zupełnie do siebie podobni.

— Więc bierzemy to ciemnozielone, mamó.

— Nie, Olku, to nie na naszą kieszeń. Ubierz jeszcze raz to brązowe.

Olek zrobił to niechętnie, prawie pogardliwie dla garnituru. Matka zapłaciła należność w kasie, a Olek oparł się niedbale o ladę z spojrzeniem galopującym ponad głowami kupujących wprost do wyjścia. Tymczasem Meyer załatwiał własne zakupy, potem odebrał zawiniątko Olka oraz swój niewielki pakuneczek i ruszył ku drzwiom.

Gdy wyszli na ulicę, Meyer niezwykle ożywiony zaprosił matkę i syna do kawiarni na ciastka. Olek pamiętał jeszcze o swej porażce w sklepie, zrobił więc dwa kroki w stronę zapraszającego i stanął solidarnie przy jego boku. Matka zachowała się inaczej. Była dziwnie obojętna. Usprawiedliwiła się dość szorstko, że ma pewne sprawy do załatwienia. Przykro jej, ale nie może. Meyer i Olek weszli więc sami do kawiarni. Chłopiec siedział po raz pierwszy w życiu w mięciutkim fotelu przed okrągłym stolikiem, na którym pachnęła kawa i uśmiechały się ciastka. Na podwyższeniu koncertowała orkiestra.

— Twoja mama nigdy nie bywa w kawiarni? — zapytał Meyer.

— Raczej nie. Moja mama nosi wieczną żalobę po ojcu.

— Hmm, wyglądała tak, jakby się na mnie gniewała. Może dlatego, że cię zabierałem do kawiarni?

— Nie. Moja mama ma takie kobiece napady. Ale to minie. Zobacz pan, gdy wrócimy do domu, będzie inna.

— Podoba ci się tutaj?

Olek skinął energicznie głową.

— Słuchaj, Olku... Mam wobec was, tj. pana Piotra Wałęgi, Jędrka i ciebie pewne niespłacone długi. Ale ja o nich pamiętam, być może kiedyś je wyrównam...

— Jeśli pan ma na myśli Strapiciela, to jesteśmy skwitowani. Przecież teraz dopiero wiemy na pewno, że tam właśnie znajdował się szyb. A poza tym my również...

Olek urwał, gdyż w porę przypomniał sobie ostrzeżenie przyjaciół. Meyer również nie nalegał. Opuścili więc kawiarnię zaprzątnięci myślami o swoich niezwykłych przygodach i resztę drogi do domu przebyli prawie w milczeniu. Zresztą ostatni odcinek ulicy upłynął im na przekomarzaniu się z Kajem, który ni stąd ni zowąd wyskoczył zza żywopłotu i począł ich wesoło oszczekiwać.

Zjawili się w sieni poprzedzani hałaśliwym ujadaniem Kaja. Matka była już w domu. Przywitała ich znowu z pogodną i życzliwą twarzą.

— Olek — rzekła — rozpakuj ubranie i przywołaj wujka. Niech oceni nasz gust.

— Gust mamy, a nie mój.

Rzucił paczkę na stół i jął powoli rozwiązywać supełki sznurka, potem rozpląszczył ze złością papier, schylił się jak gdyby źle widział i krzyknął głosem niemal alarmującym. Matka odwróciła się szybko od pieca.

— Dlaczego krzyczysz?

— Ekspedientka się pomyliła. Rozumiesz?

— Twoje pobożne życzenie.

— Naprawdę. Patrz, mamó. Ciemnozielone ubranie, w sam raz na urodziny mojej koleżanki.

— Nie, Olek. Trzeba z nim lecieć do sklepu. Zawień je w papier. Jutro je zwrócimy, bo dziś już za późno.

— A może je jednak weźmiemy, mamó. Zaczekaj, pomówię z wujkiem. Wujek się zgodzi, bo teraz już się mną nie martwi.

— Nie trzeba — odezwał się na to milczący dotąd Meyer. — Nie ma konieczności, by ubranie wędrowało do sklepu. Wszystko w porządku...

— Nie rozumiem — rzekła Plecionkowa jakimś nieodgadnionym głosem.

— Mamó, wszystko jest przecie jasne. Pan Meyer... załatwił sprawę. Rozumiesz?

— Nie, nie możemy się na to zgodzić.

— Proszę pani, niech się pani nie gniewa. To takie proste. Olkowi i Jędrkowi zawdzięczę może i życie. Nie mówię już o Kajku. Widzi pani, w tej drugiej paczce jest prezent dla Jędrka.

Ostatnie słowa rozbroiły matkę Olka. Jej oczy straciły chwilową surowość. Spojrzała nawet cieplej na zmieszanego ofiarodawcę i powiedziała:

— No, dobrze. Niepotrzebnie pan to zrobił. Olek i Jędrk spieszili panu z pomocą zupełnie bezinteresownie.

## PAN MASZYNUS, KTÓRY ZA BŁAŻKA PRACUJE

Wielka łąka, działająca zawsze tak silnie na wyobraźnię trójki wędrowców z innej epoki, miała prawdziwie zaskakujący wygląd. Oto znikła z niej wysoka, bujna trawa. Drzewa, otaczające ją swym wiecznie żywym, pachnącym częstokołem, wycofały się na dalszą, obronną już redutę, tonącą w gęstej mokrej mgle.

— A co z Leśniówką?

— Obawiam się najgorszego — rzekł Piotruś. — Co za zmiany! Co za kolor!

Woda była brudna, cuchnąca. Nie było ryb, nie było w niej życia. Najsrozsze jednak spustoszenia widniały na polanie. Przerżnięta była gmatwaniną śladów kół jak miejskie targowisko.

Wszystko tonęło w jesiennej szarudze, co dodawało jeszcze większego smutku krajobrazowi. Gdy wyszli na wzgórze, zdumiał ich nowy, niespodziewany widok. Ujrzeni tam budynki, szopy, szyby haszplowe i kieraty, które obracały konie.

— Wulkan, wulkan! — darł się Olek pokazując dym i poświatę ognia, wydobywające się wprost z ziemi.

— Nie, nie — uśmiechał się Wałęga — to szyby wentylacyjne. Pali się w nich ognie, by umożliwić powietrzu jak najlepszą cyrkulację. W ten sposób łatwiej wietrzyć kopalnię.

— Piotruś, jest nawet komin blaszany — rzekł Jędrak.

Rzeczywiście z ceglanego niskiego budynku wyrastał ku zasępionemu niebu prosty, czarny komin, podobny do niezaostrzonego ołówka. W pierwszej chwili zaniemówił nawet Piotruś. Przywołał na pomoc wszystkie swoje wiadomości z historii górnictwa, wreszcie rzekł wolno i z namysłem:

— Cóż, chyba to maszyna parowa. Pierwsza pewnie jaka się u nas pojawiła.

Mimo że widać było wszędzie ruch i życie, obraz, jaki się przed nimi roztaczał, był mroczny i niedobry jak niemiły sen. Było chłodno i mżyło siwiuśkim kapuśniaczkiem, tak drobnym, że się go zrazu nie zauważyło. Zaprzątnięci tyłu niezwykle rzeczami, nie zauważyli, że niedaleko nich siedział chłopiec w długim łachmanie i spiczastej, baraniej czapie na głowie. Spozrzegł go pierwszy Jędrak, a raczej poddał się ssącemu działaniu wielkich czarnych oczu. Na kolanach chłopca leżało kilka fujarek, które widocznie przed chwilą fabrykował.

Chłopiec mruczał coś bez przerwy. Zaintrygowany tymi bezładnymi i dziwnymi, jak się wydawało szeptami, Jędrak podszedł bliżej i wreszcie wyłowił kilka niezrozumiałych słów: czaru maru, czaru maru... Teraz i Olek zauważył kupę łachmanów na wielkiej bryle węgla. Gdy zbliżyli się do nich, stwierdzili, że chłopiec jest garbaty.

— Czaru maru, czaru maru, kto chce gwizdałkę od czarownika?

— Sprzedajesz fujarki? — zapytał Jędrak ogarnięty nagłym przyływem sympatii i współczucia dla chłopca.

— Za darmo daję. To są zaczarowane fujarki. Jak zagwizdam na nich, to mi nikt nie odmówi tego, co sobie będę życzył.

— To bardzo ciekawe — odezwał się Piotruś. — Czego więc mogłaby fujarka zażądać od słuchacza?

— Pieniądzy, dużo pieniędzy. Albo po prostu złota. Za złoto wszystko się dostaje. Zawiozłbym naszą Mechtyldkę do takiego owczarza, który by ją uzdrowił. Mam taką moc, że się nikogo nie boję.

— Nawet króla?

— Nikogo. Moja starka była czarownicą. Wszyscy się jej bali, dlatego spalili ją na stosie.

— Toś ty chyba Kopeć — zawołał Jędrak.

— Błażek Plecionka. To mój starzyczek, ale on już nie żyje. Mam dużo czasu, choć pan kazał mi pilnować swojej damfmaszyny.

Tutaj Błażek zachichotał serdecznie. Przechytrzył pana, przechytrzył maszynę, która musiała jego słuchać.

— Mogę nawet odejść do domu — chepił się Błażek — a damfmaszyna nie stanie. Ona jest z tego nierada, ale ja ją zaczarowałem. Lećcie ze mną do domu, to wam niejedno jeszcze pokażę.

Ujął mocno rękę Jędrka i ciągnął za sobą. Dziurawy ojcowski kabat chlastał bosc, sine nogi błotem, które zalegało drogę. Piotruś i Olek szli za nimi.

— Co to za damfmaszyna? — zapytał Olek.

— Maszyna parowa. Pierwsza maszyna, którą sprowadzono pod koniec XVIII wieku na Śląsk, była bardzo prosta. Aby nie przerywać jej ruchu trzeba było ją ciągle obsługiwać. Pracę tę powierzano chłopcom. Ale zobaczymy, co nam jeszcze powie o tym Błażek.

Weszli w las, który chłonał deszcz jak gąbka. Przeniknęli jego jałowe i rozwiane sosenki ocierając się co chwila o wielkie, zwężłone pniska starych drzew. W końcu las począł rzednąć, przeszedł w ugór porośnięty kępkami jałowców i zziębniętych brzoźek. Pod ugorem stała krzywa chata z strzechą naburmuszoną ku niebu, jak wiechy sosen z lasu. Komin na dachu był rozczepiony jak zajęcza warga. Małe okienko od strony lasu zatkałe było skołtunionym gałganem. Przy ubogiej zagrodzie rosła płonka poskręcana jakby w boleściach.

— Widziałeś kiedy dzikie króliki? — zagadnął Błażek swego towarzysza.

— Nie, nigdy.

— No to chodź, pokażę ci tę dziką hołotę.

— A gdzież jest ich chlewik?

— Gdzieżby? W chałupie. Pod łóżkiem siedzą.

Błażek wyrwał się chłopcu i pomknął na swych zbiedzonych, chudych nogach do chałupy. Pchnął stare drzwi, wiszące na parze niezgodliwych zawiasów: żelaznym i skórzanej łacie, tak że zaskowytały z męki. Goście przekroczyli wysoki próg i od razu znaleźli się we wnętrzu chałupy. Buchnęło na nich odorem chlewa i obórki. Stanęli zaskoczeni tym wielkim ubóstwem.

Spod nóg Olka pierchnęły dwa króliki. Usadowiły się pod pryczą i spoglądały rubinowymi oczami na obcych. Na oknie siedziała czarna kura, obok pod ścianą stała koza z naręczem słomy na rogach i w pysku, zaskoczona równie jak króliki najściem nieznanymi ludźmi. Jedynie cielę leżące nie opodał, senne i apatyczne, nie zainteresowało się przybyszami, tylko opierało łaciatą głowę na grzbiecie prosięcia, które zdawało się być najzupełniej zadowolone. Na pryczy leżała blada dziewczynka, której gorejące oczy niepokoiły patrzących. Pod oknem stała gromadka dzieci z oczyma wystraszonymi.

— Nie bójcie się, głupie — sfukał je Błażek. — To moi przyjaciele. Pokażemy im naszych dzikusów.

— Masz karmelki? — odezwała się naraz blada dziewczyna.

— Karmelki? — zastanawiał się Błażek, prawdopodobnie po to, żeby zyskać na czasie. — Pan wypłaci mi dopiero w sobotę.

— Prawieś, że wyczarujesz je nowym zaklęciem.

— Nie wyszło mi jeszcze to nowe zaklęcie, wiesz?

— Prawieś, że zagadniesz pana o karmelki, jeśli zaklęcie się nie uda.

— Mechtyldko, dyć go zatrzymałem... Ale on mnie skrzyczał, że mnie wyleje z roboty. Słuchaj, dam ci chleba... On też smaczny. O, patrz: gęsim smalcem posmarowany. Dał mi go Michałek, ten od koni...

— Nie chcę chorego chlebaaa... chorego chlebaa... Daj mi Karmelkaaa...

— Co to znaczy „chorego” chleba — zapytał się Piotruś, który jak wiadomo nie pochodził ze Śląska.

— Tak nazywano dawniej czarny, razowy chleb — wytłumaczył Jędrrek. — Nie mogę się temu przysłuchiwać. Dlaczego nie możemy jej pomóc?

— Pra, przecie jak jest chleb i woda — powoływał się na świadectwo swoich znajomych Błażek — to nie ma głoda. No, skąd ci wezmę białego. Białe je ci pan w dworze albo bogaty kmieć.

— Błażek — rzekł Piotruś — a gdzie są twoi rodzice?

Błażek zwrócił swe śliczne, niebieskie oczy, pełne teraz udręki na pytającego.

— Tatulek pracują w szachcie, mamulka są przy haszpli. Adam i Serafin rozwożą węgiel po kuźnicach. Wszyscy są w kopalni.



Dziewczynka przysłuchiwała się chwilę rozmowie, a potem zaczęła jeszcze głośniej krzyczeć. I wtedy to przypomniał sobie Olek, że Meyer wetknął mu wczoraj kilka pralinek do kieszeni. Wydobył szybko swój słodki skarb i z najczulszym uśmiechem podał dziewczynce. Ona przestała krzyczeć, śledziła jego ruchy ogromnymi oczami, potem wlepiła spojrzenie w cukierki. Naraz porwała czekoladki i skryła się z nimi pod baranym kozuchem. Chłopcy ujrze-  
li potem jej oko spod uchylonego nakrycia. Ssała łakomie czekoladkę nie spuszczać z twarzy chłopców.

— Co się jej stało? — zapytał Jędrzek współczującym głosem.

— Niemocna — odparł Błażek z wypogodzonym już obliczem. — Jeno leży, leży i leży. Nie je, a ciągiem jej się czegoś zachciewa. To ci leczę do Duszków po kwaśnicę z kapusty, bo oni już ją mają, to znowu trza aż do miasta pędzić po śledzia. Pra, Mechtyldko?

— Bom niemocna.

Reszta dzieci zamknęła szczelnym kręgiem gości i pryczę. Nie mówiły nic, nawet nie szeptały. Obserwowały to tajemnicze misterium: ssania nieznanym im czekoladek.

Błażek roztrzącił rodzeństwo i zanurzył się pod łożę chorej jak szczupak za rybą, potem położył na Mechtyldzinym kozuchu trzepoczącego króliczka. Dziewczyna pieściła go wychudłymi rączkami.

— Widzicie jaki roztomiły? — rzekł Błażek. — Czy poznajecie, że jest dziki? Wiecie, ile ich mamy?

— Cztery — odparła Mechtyldka.

Błażek opowiedział jak to z ojcem chrzestnym Jędrzichem wykopali całą izbę króliczą na piaszczystym przedborzu. Pod koniec tej króliczej opowieści zadudniły za oknem czyjeś ciężkie kroki. Dzieci rozdarły wieniec dokoła gości i spadły jak anemiczne płatki kwiatów na próg chałupy.

— Nasi tatulek — krzyczały.

Tylko Błażek pozostał przy siostrze. Zachichotał jak mały diablik.

— Zobaczycie jak będzie wyglądał ten nasz bergman. Nic nie mówcie, że tu jestem, bo mnie zwymyślają. Skryję się za pryczą. A ty, Mechtyldko, ani słowa do tatulka.

Do izby weszło dwóch silnych mężczyzn z umorusanymi twarzami. Pierwszy miał wesołe, żartobliwe oczy z błękitem zapożyczonym od nieba, drugi był skupiony, uważny; a jego czarne źrenice powędrowały zaraz do chorej dziewczynki.

— Widzę, Mechtyldko, żeś weselsza — rzekł.

Potem nagle spostrzegł niezwykłych gości. Zauważył ich również pierwszy.

— Niech to jasny gwint — zawołał — przecież to ci sami, co u nas byli przed ćwierć wiekiem. Ten mały, to Duszka jeśli się nie mylę...

— A ja nazywam się Olek Plecionka — przedstawił się Olek.

— Pamiętam. Wraziliście się wszyscy w moją pamięć jak nikt inny. Ale, do licha, dlaczegoście wy dwaj nie urosli? Ten z konopnym włosiem to twój krewniak, Marku. A jest jeszcze pan ślacheć, jak mówił mój dziad Jindrzych. A wy poznajecie mnie?

— Jędrzych — zawołał Jędrzek. — A co z Jindrzichem?

— Starzyk? Dawno już nie żyją. Masz tu, Mechtyldko, trochę orzechów, podzielże się z wszystkimimi.

Marek Plecionka podsunął gościom długą ławę do siedzenia. Sam zaś z Jędrzichem usiedli przy stole z grubych, nieheblowanych desek. Jędrzych wydobył spoza pazuchy zwój papieru. Rozłożył go na stole i jął po nim wodzić palcem. Ale naraz oplotły jego ogorzałą szyję czyjeś cieniutkie rączka. Nim się opamiętał, Mechtyldka siedziała na jego kolanach.

— Mechtyldka — śmiał się Jędrzych. — Pokaż się no w świetle. Wyglądasz jak ten aniołek w kruchcie. Założyłbym się, że wnet wyzdrowiejesz. Powiem ci coś...

— A co?

— Stary młynarz na Dołach ma oślicę. Piłem jej mleko, gdy byłem niemocny. Po

dziesięciu dniach już nogami wywijiałem. Mówiłem młynarzowi o tobie. Powiedział, by posyłać po nie Błażka albo kogoś innego.

— Nie chcę oślego mleka. Wolę karmelki.

Błażek wystawił głowę ze swego ukrycia.

— Głupia — zawołał — chcesz dalej gnąć na barłogu? Ośle mleko nawet umierającego wskrzesza. Uczyliśmy się tego w szkole.

— Błażek — krzyknął ojciec — a ty skądś się tutaj wziął? Kto pilnuje maszyny? Gadaj mi tu zaraz.

Błażek podszedł do stołu, oparł na nim ręce w postrzępionych rękawach i odparł bez bojaźni:

— Nic się nie bójcie, tatulku. Ona sama siebie pilnuje.

— Co to znaczy? Nieszczęsne dziecko, przecież w każdej chwili może stanąć. Zatopi kopalnię.

— Tatulku, wszystko w porządku.

— Więc ktoś za ciebie nią steruje?

— Tak, pan Maszynus.

— Kto?

— Wymyśliłem, tatulku, pana Maszynusa, który sam za mnie pracuje.

— Od kiedy ten twój Maszynus cię zastępuje? — wrzasnął ze śmiechem Jędrzych.

— Przeszło miesiąc...

— I nigdy cię nie zawiódł?

— Przecież on jest bardzo posłuszny. On mnie musi słuchać.

— To znaczy, że nie jesteś wcale przy maszynie?

— Bo mnie tam nie trza.

Ojciec podparł głowę, był tą sprawą wyraźnie zaskoczony, ale dobry, a nawet dumny uśmiech rozrzewniał jego chudą twarz. Zwrócił się do Jędrzicha i do gości.

— Ma takie talenty, że co jeno weźmie w swoje ręce, to na coś przeonaczy. Umiałby Gaszwcową damfmaszynę porozkręcać na kawałki i znowu by ją złożył. Idź, Błażek, żebyś nie miał jakiej biedy z Gaszwcem. Nie przekona go nawet twój zacny Maszynus.

— I co ten twój Gaszwiec — odezwał się Jędrzych. — Coś mi masz do powiedzenia, tak miarkuję.

— Zaglądałeś w papiery, to i wiesz jak cię podszedł. Wszystkie już grunty jego. Nawet z tym swoim węglem już nie wyjedziesz. Poza tym Gaszwiec pozawierał kontrakty z wszystkimi kuźnicami aż po Rybnik, powiązał nimi wszystkich kowali.

Jędrzych zafrasował się wyraźnie, ale po chwili namysłu odparł niemal zawziętym głosem:

— Prawisz jakby mój nieprzyjaciel. Alem Duszka, pra mały, i nie dam się ukrzyżować.

— Nie mam powodu, by mu sprzyjać. Wszyscyśmy u niego w niewoli. Pięcioro nas pracuje, a w kantynie jeno chleb bierzemy. Zresztą widzisz jak u nas w doma. Więc ci mówię tylko to, co idzie na twoje dobre. Gaszwiec głębi szyb. Do osiemdziesięciu metrów. Osiemdziesiąt metrów!

— Żadna to nadzwyczajność. Jeszcze trzy, cztery lata, wezmę się i ja do mego szybu. Żeby pola były obrodziły, byłyby i talary. Miałem ci pojechać do Anglii, żeby obejrzeć tamtejsze gruby. Myślę i o maszynie...

Nastało milczenie, podczas którego tylko trzaski gniecionych orzechów były rozmową dzieci. W końcu Marek Plecionka przemawiać począł jakby w imieniu właściciela kopalń.

— Gaszwiec, wiesz wszystko to ci ofiaruje.

— Niby co? — zapytał Jędrzych, podejrzliwie spoglądając na przyjaciela.

— Talary, wyjazd do cudzych krajów, abys się tam mógł wyszkolić i jeszcze więcej.

— Ciekawie mówisz.

— No, bo nie daje mi spokoju. To tęga głowa — prawi — potrzebna mi w moim interesie. Jeśliby oddał mi swoją kopalnię i ziemię do polany, wziąłbym go do spółki. Ba, zrobiłbym go sztygarem. A ciebie, gdybyś go nakłonił, mianowałbym szychtmistrzem.

— I bez tego kopalnia wasza rośnie.

— Gaszwiec sprowadził bergmanów z Saksów, z Westfalii. Ani diabeł nie wyznałby się na tych hajerach, szleprach, wysypywaczach, drzewiarzach... Rozsadzamy już węgle prochem strzelniczym...

— Wy jeszcze zapalacie ładunek słomką, a my papierem natartym prochem.

— Tak, on się tego domyśla. I dlatego się do ciebie pali. Nie dasz rady, Jędrzych. Zgorzał mu Strapiciel, a on w innym miejscu założył nowy szyb.

Zapadła jeszcze raz cisza. Dzieci, które już się uporały z orzechami, goniły teraz po izbie, więc ta ich cisza podbita była dziecięcą zabawą. Jędrzych z Mechtyldką na kolanach zagłębił się znowu w papierach. Po dłuższym czasie rzekł:

— Nie mogę się sprzeniewierzyć woli dziada.

— Masz czas. Zastanowisz się, to i powiesz. Aleś się, widzę, spocił z tego wszystkiego. O, z panami nie dasz rady. Od kiedy zwietrzyli w ziemi czarne złoto, to już pójdą nawet po naszych trupach do celu...

— I powiedzieć, że myśmy je odkryli, w naszej ziemi wieki całe kryły się węgle przed ich oczami.

— Rozmyślaj nad tym...

Błazek, stojący wciąż jeszcze obok zatroskanego ojca, uśmiechnął się nagle, promiennie i figlarnie. Potem szturchnął kościstym, ale silnym łokciem Olka w bok, a drugim Jędrka. Jego przeniebieskie oczy powędrowały do drzwi. Zrozumieli go i oderwali się od stołu, przy którym wciąż jeszcze burzyła się namiętna rozmowa.

Znaleźli się na świeżym powietrzu. Chłopców ogarnął na nowo smutny dzień. Wydawało im się, że jest on ramą tego obrazu, na którym byli Mechtyldka, Błazek i gromadka obdartych dzieciaków. Ale wkrótce nastrój ten spłoszył stary człowiek, który macając kosturem drogę zbliżał się do nich.

— Stryk Jędrzicha — rzekł Błazek. — Jak się macie, stryku?

— A a a... poznaję cię po głosie, Błazku. Nie wymyśliłeś tam znowu jakiejś maszyny?

— Stryku Cyprianie, chcecie oglądać bergmanów? Za godzinę wyjadą z gruby.

— Jak to, wyjadą? — zapytał Jędrzek. — Nie wychodzą po drabinach?

— Po drabinach, ale wyciągają ich też kieratami z gruby.

— Słuchaj, Błazek, ta wasza gruba to przekleństwo dla biednych ludzi. Gaszwiec, wasz pan, cycka z nich krew. Powiedz, wielu tam już straciło życie...

— Dyc cięgiem ktoś wyzionie ducha, albo staje się kaleką, albo go zasypie, że go nikt już nie wydobydzie. Łońskiego roku w jednym dniu zabiło Szkatułę, Jakubczyka, Cebulę i Jelenia.

— Mój ty Błazku, słyszałem, żeś tej maszyny twojej jest panem. Że cię słucha jako wierny pies, że nie potrzebujesz jej już polewać zimną wodą, że jej każesz ruszać się tam i nazad...

— Nie, stryku. To mój Maszynus za mnie pracuje...

— A czy ten twój pan Gaszwiec dał ci choć grosz za to, co dla jego maszyny wymyślasz? Dyc go znam. Lepiej byś zrobił, żeby się wciąż psuła i zdychała.

Cyprian usiadł na mokrym pniaku. Błazek przykucnął obok niego na piętach. Milczał. Jego pogodnie usposobienie zmroził stryk Cyprian. Na wzgórzu pracowała wolno i statecznie maszyna parowa, jej głośnie puf puf, puf puf słyhać tu było wyraźnie. Ale po pewnym czasie oddech stalowego kolosa zabarwił się jakimś dziwnym poświstem. Błazek skoczył na nogi i jął nasłuchiwać.

Cyprian otoczył konchę uszną dłonią i skierował ją w stronę Strapiciela. Jego zmar-

szczona twarz wykrzywiła się szyderczą radością.

— Hę, coś jej tam w brzuchu nie służy, mój Błażku. Stęka niby ten żarłok, co się grochu najadł.

Maszyna rzeczywiście stękała, marudziła, zachłystywała się własnym oddechem i przyspieszała swoje puf puf, puf puf. Błażek spojrzął na Cypriana weselszymi oczyma, wyrażającymi niezachwianą pewnością, że pan Maszynus nie zawiódł.

Cyprian Duszka zaśmiał się krztuszącym głosem. Błażek, przestraszony tym dziwnym rechotem starca, rzucił się nagle naprzód. Jego cienkie nogi migotały tylko na drodze, był to bieg na śmierć i życie. A wtedy właśnie zadudniło głucho i oddech maszyny ustał.

## POŻEGNANIE

Było to już pod koniec września, w piękny złoty dzień. Meyer zjawił się o zwykłej porze po Kaja, lecz pies nie wyszedł na jego spotkanie. Wszędzie też panowała niemal świąteczna cisza. Zdawało się, że nikogo w domu nie ma. Wszedł więc na podwórze i stwierdził, że drzwi do sieni stoją otworem. Nie potrzebował wchodzić do domu, wiedział, że ktoś znajduje się w ogrodzie. Gdy minął furtkę, przystanął zdumiony. Niewielki sad odprawiał właśnie jesienne gody. Spośród listowia, barwiącego się z lekka w żółte i czerwone plamy, wyzierały złote, rumiane i granatowe owoce. Pomyślał jak to przyjemnie, że ma zdrowe oczy i może to wszystko oglądać, podziwiać, oceniać.

— Cudowna szata — szepnął.

Oderwał się wreszcie od tego widoku i spostrzegł gospodynię przy czerwonych pomidorach.

— Dzień dobry — pozdrowił nieco sztywnie.

— Chyba się nic nie stało? — zapytała.

— Nie, właściwie nie. Tylko...

— Dlaczego pan taki uroczysty?

— Uroczysty?

— Jest pan przecież w świątecznym ubraniu. No i z teczką...

— Tak, bo... bo przyszedłem do pani, do Olka... ostatni raz.

Kobieta raptem się wyprostowała i wsparła rękę na podpórce pomidora. Była spokojna i opanowana, ale przez jej opaloną twarz przeleciał krótki, wiotki cień.

— Chyba pan żartuje.

— Nie. Mówię serio. Chciałbym się widzieć z Olkiem. A również z Szymonem...

— Z Olkiem?

— Tak.

— Olka nie ma. Wylecieli z Kajem do Jędrka. Jakieś trudne zadanie, wie pan.

— Tak. To poczekam. Pomogę pani.

— Nie ma tu co pomóc. Obieram pomidory. Ale powiem panu, że nic z tego nie rozumiem.

— Mówiłem już kiedyś, że nigdzie nie zagrzewam długo miejsca. Po pewnym czasie przychodzi coś na mnie i muszę ruszać dalej.

— Ale dokąd?

— Tego sam nie wiem. Jestem jak ten wieczny żyd-tułacz.

— Czy było może źle panu w Szarej Wsi?

— Nie, przeciwnie. Znalazłem tutaj dobrych ludzi. Nawet się do nich przywiązałem.

Polubiłem chłopców... Olka... Ale coś mi mówi, że nie rozwiążę mojej zagadki...

— Jakiej zagadki? Czego pan szuka?

— Właśnie, że tego sam nie wiem. Czuję tylko, że jest w moim życiu pewna tajemnica, której nie udało mi się dotąd wyjaśnić.

Plecionkowa potrząsnęła głową. Dopiero po chwili rzekła:

— Chyba poczeka pan na Olka. Byłby bardzo strapiony, gdyby się pan z nim nie pożegnał. Myślę, że Jędrak również...

— Poczekał oczywiście. A w tym czasie pomogę pani w gospodarstwie.

— W tym ubraniu?

— Wdziewę na siebie roboczy „ancug” Szymona. Naprawię klamkę w pokoju; miałem to zrobić wczoraj, ale nie było już czasu.

W stroju roboczym wszedł do pokoju, rozmontował zamek. Stwierdził, że pękła sprężyna. Zahartował w piecu kuchennym kawałek stali i wczepił ją w zamek. Był już prawie gotowy z robotą, gdy spojrzenie jego utknęło mimo woli na przedmiocie, którego przedtem nigdy tutaj nie widział. Był to portret młodego mężczyzny, wiszący naprzeciw drzwi. Doznał na ten widok jakby konsternacji. Na tej bezradnej męce zastała go gospodyni. Spoglądała milcząco na swego gościa.

— Nie miała pani nigdy tego obrazu w domu — rzekł ten jakby z wyrzutem.

— To powiększenie z małe i kartki.

— Kto to?

— Mój mąż.

Spojrzała szybko na portret, a potem na gościa. Nie chciała tego powiedzieć, ale wymknęło się jej to z ust i nie mogło już wrócić.

— Jesteście do siebie podobni, bardzo podobni...

— To przecież młody jeszcze człowiek, a ja...

— Pan? Był wtedy młody. Nie miał blizny, ale mógłby też mieć już siwe włosy.

Na podwórzu odezwało się szczekanie Kaja. Po dwóch sekundach pies tańczył jak opętany koło Meyera, a potem zwrócił się do kobiety. Olek pokazał z sieni swoją wesołą twarz.

— Olek — rzekła matka — pan Meyer przyszedł się pożegnać. Wyjeżdża na zawsze.

Chłopiec spochmurniał w oka mgnieniu, potem błysnął okiem na Kaja.

— To i Kaja nie będzie — rzekł wreszcie.

— Nie, Kaja też nie będzie — odparła matka. — Będziemy nad tym rozstaniem bardzo boleć.

Meyer uśmiechnął się słabo. Nie wiedział, czy dotyczyć to będzie jego, czy Kaja. Tymczasem pies jakby przeczuł rozłąkę, skoczył bowiem do Olka, chłopiec zaś wziął go na swoje ręce i przytulił mocno do siebie.

Gość w czystym już ubraniu podniósł teczkę, miętosił ją długo koło paska, wreszcie wydobył z niej dużą postać górnika i podał Olkowi.

— Nie wiem, Olek, czy przypadnie ci mój prezent do gustu, ale wręczam go tobie w tym celu, abyś spojrzawszy na niego przypomniał sobie samotnego, nieszczęsnego człowieka, którego nikt nie rozumiał i który sam siebie też nie przeniknął...

Nim się Olek opamiętał, Meyera już nie było. Znikł również Kaj... na zawsze.

— Olek — powiedziała matka jakimś nie swoim głosem — on zapomniał o wujku. Poleć za nim, żeby się wrócił.

Chłopiec pomknął w dół ulicy, a kiedy nie spotkał nigdzie Meyera, poleciał aż do Grzeni. Wszystko daremne. Kaj i jego pan przepadli. Nazajutrz Olek dowiedział się, że tułacz był wieczorem u Duszków. Jędrak otrzymał taką samą rzeźbę jak Olek, a Piotrusiowi Meyer pozostawił precudnie wyrzeźbioną parę taneczną.

Olek umieścił pamiątkę po Meyerze na starej komodzie, wprost pod portretem ojca. Matka, chociaż widziała ją w rękach Olka, „odkryła” ją dopiero przypadkowo podczas sprzą-

tania. Wzięła charakterystyczną rzeźbę w ręce i zaczęła się jej przyglądać z rosnącą ciekawością. Figurka przedstawiała umorusanego robotnika dołowego w brudnym ubraniu, z brązowym hełmem na głowie. Twarz górnika była jak żywa, miała ostre rysy i zafrasowane oczy. Plecionkowa postawiła ją na powrót na komodzie, cofnęła się i jęła się jej przypatrywać z jeszcze większą uwagą. Na jej obliczu pojawił się jakiś niepokój, który rósł jednocześnie z budzącym się coraz bardziej zainteresowaniem. Nagle rzuciła się na kolana, wysunęła z hałasem ostatnią szufladę i poczęła z niej gorączkowo wyrzucać płyty śnieżnej bielizny, aż dotarła do samego dna. Trzęsącymi rękami wydobyła stamtąd duże pudło z pamiątkami po mężu. Były tam paczuszki listów, związane różowymi wstążeczkami, fotografie z żółtymi plamami, muszelki i bursztyny, które przywieźli z wycieczki morskiej, wreszcie rzeźba...

— Jest! — szepnęła pełna napięcia. — Jest.

Wyswobodziła ją z warstwy miękkiej ligniny i umieściła obok figurki Olka. Ledwo to uczyniła, krzyknęła zdumiona. Obie rzeźby były identyczne, bliźniacze. Zdenerwowana cofnęła się kilka kroków i rozpoczęła laickimi oczyma drobiazgowo studia artystyczne obu statuetek. Wtedy nie mogła sobie już poradzić z uczuciem, które w niej krzyczało. Zawołała donośnie:

— Olek!

Głos chłopca odezwał się gdzieś przy altance, a po chwili zobaczyła jego uśmiechnięte oczy w drzwiach. Wskazała niemo na obie rzeźby. Olek wsunął się do pokoju, w końcu rzekł:

— Mamie też podarował?...

— Olek, Olek, czy nic nie widzisz?

Olek uśmiechnął się głupekowato i wzruszył ramionami.

— Owszem, widzę że jeden górnik ma lampę, a drugi jej nie ma.

Matka, uderzona trafnością tej uwagi, uspokoiła się na chwilę, ale po paru minutach właśnie ten brak lampy stał się nowym problemem. We wszystkich wspomnieniach najbardziej się utrwaliły rzeźby męża. Ulubioną tematyką artysty-amatora były postacie górników. Stworzył ich wiele, a każdy górnik trzymał lampę w lewej ręce.

— Olek, ale chyba spostrzegłeś, że obie figurki są do siebie podobne?

— Tak. Przecież robił je obie pan Meyer.

— Jedną wyrzeźbił twój ojciec.

Olek obracał obie rzeźby w dłoniach. Matka poznała po minie, że doszedł do takich samych wyników jak ona.

— Fałdy te same, załamane buciary...

— A twarz?

— Tak, te same twarze.

— Mówiłeś, że Jędrzek otrzymał również swego górnika. Czy też był bez lampy?

— Bez.

Matka odetchnęła, ale nie przyniosło jej to ulgi. Zaczęły ją bowiem bombardować nowe podejrzenia. Każde było brzemieniem zagadnień, każde było źródłem niepokojów. W swojej rozterce zwróciła się do brata. On podobnie jak Olek przekładał figurki w rękach i mruczał niewyraźne słowa.

— To wszystko „dłubał” jeden człowiek. To on, mówię ci.

— Mówisz to na serio?

— To był Józef. Czyż go nie poznałem?

— A mówiłeś, że ma bliźnię, że inne ruchy, że — nawet — inne oczy, że powolniejszy chód...

— A nie zgadłem, że obieżyświat? A nie trąbiłem wiecznie, że powsinoga? Prorokowałem, że długo nie wytrzyma, że odleci jak ten niewdzięczny szpak na zimę, którego się karmiło z ręki, gdy mu skrzydło zwisło...

— Mówiłeś przeciwnie. Lubieś tego człowieka, i z przekory go oczerniasz.

— Dobrze. Lubiłem, bo mi stale przypominał kogoś. Nic więcej o Herr Gottlieb nie powiem. Amen.

Nie wiedzieć skąd się wzięła ta myśl i dlaczego ją już bez przerwy prześladowała. Wciąż się jej zdawało, że ten obcy, niezrozumiały człowiek mógłby być jakimś cudem jej mężem. Z głową pełną troski położyła się spać, lecz już do samego rana nie zmrużyła oka.

Równie bezsenne noce nastąpiły później. Uczucie lęku, że własną opieszałością zaniebdała sprawę wyjaśnienia zagadki Meyera, rosło, a wreszcie przerodziło się w cichą rozpacz. Wszystkie informacje, jakich wspólnie z Olkiem gorliwie na wszystkie strony zasięgali, przynosiły im jedynie rozczarowanie. Meyer i Kaj znikli bez możliwości nawiązania z nimi kontaktu.

## BĄDŹMY POBŁAŹLIWSI... DLA KŁAMCÓW

Pewnego dnia przyjaciele stali przed oknem wystawowym księgarni. Nęciły ich nowości wydawnicze, wśród których fascynowała ich okładka „Winetou”. Ale właśnie Olka nawiedziła „genialna” myśl. Wyłuskał ją też zaraz porywczy Jędrkowi.

— Mam, Jędrak. Napiszemy książkę do spółki, książkę o naszych przeżyciach. Zaraz się weźmiemy do niej. Rozumiesz?

— Tak.

— Więc się na to zgadzasz?

— Olek, nie mamy na to przygotowania. Pisałem pamiętnik, a ile się przy nim napociłem! Trzeba mieć do tego talent.

— Talent? Jędrak, nic łatwiejszego jak napisać to co się przeżyło. Ty jeno smarujesz, rozumiesz? A redaktor wszystko potem prostuje. Możesz robić nawet błędy ortograficzne, interpunkcja też nie obowiązuje. Byle była treść. Zaraz dzisiaj się do tego zabiorę.

Gdy się tak entuzjasmował, zabrzmiał za ich plecami dziewczęcy głos, który był im bardzo znany. Odwrócili się obaj błyskawicznie.

— Jędrak i Olek! Jakże długo was już nie widziałam. Wybierzcie się kiedy z Piotrusiem do nas. Mama moja się bardzo ucieszy. A może będzie w domu mój tato. Posłuchałby z przyjemnością waszej opowieści o karbonie. Sam bowiem poszukuje węgla.

— To czym ten pan tato jest, proszę pani? — zapytał Olek Krysi.

— Kieruje przedsiębiorstwem wiertniczym. Teraz badają Lubelskie na pokłady węglowe. W styczniu tatuś mój ma wyjechać do Mongolii. Nigdy go prawie nie ma w domu. Gdy byłam małą, w ogóle go nie znałam.

— A ja nigdy mojego nie widziałem.

— Oo!...

— Zginął na początku wojny. A potem, gdy już zjawił się jego cień, słońce nagle zgasło.

— Jesteś, Olek, jakimś mistykiem. A jakże wam idzie nauka? Słyszałam, że macie same piątki...

— To Jędrak je kolekcjonuje.

— Ja mam z chemii czwórkę, a Olek piątkę. Na razie, bo do końca okresu jeszcze daleko. A wie pani, za co była ta piątka? Za las karboński. Olek gadał całą godzinę, a nauczyciel założył ręce i słuchał.

— Tak, las karboński. Słyszałam po raz pierwszy o nim od Piotrusia. Wybuchaliśmy tak niesamowitym śmiechem, że musiało go to ranić. Widzę to dzisiaj. Toteż stałam się już pobła-

złiwsza. Kłamcy też mówią prawdę. Zresztą nigdy już nie słyszę tych uroczych historii, choć o nie proszę. Jeszcze jedno, Olek. Co to znaczy Błyskawiczne Pogotowie Ratunkowe? Kaza-  
no mi. bym się o to zapytała.

— Miłosierdzie. Niech pani powie Leosi, że dzięki fatalnemu roztargnieniu wujka sta-  
łem się właścicielem paradnego smokinga.

— Leosia wspominała o nowym torcie urodzinowym. Smoking twój na pewno się  
przyda.

Podobną pobłażliwość kłamcom obiecywała matka Jędrka. Ale tą amnestią objęte były  
jedynie małe kłamstewka. Często odwiedzała Piotrusia. Traktowała go zresztą zawsze jak  
troskliwa matka, trochę nawet jak swego Jędrka, „jak dziecko. Piotruś nie ukrywał już dowo-  
dów swego zmyślenia. Ona brała do rąk obrazy albumu i odczytywała ich treść malowaną z  
oznakami najwyższego zadowolenia.

— Tak — rzekła — to mi się podoba, nareszcie wszyscy zmańdrzeli. Piotruś, powiem ci,  
że to bardzo rozsądna rozrywka. Nie przewraca ona też Jędrkowi w głowie. Przestał też już  
pleść Basi niestworzone rzeczy. Mój braciszku, nie zrozum mnie jednak źle. Jeśli kiedy po-  
wiedziałam ci coś przykrego, to tylko dla twego dobra. Czy nie postąpiłam słusznie? Wyrasta-  
łeś tam, w kopalni, na blagiera. A teraz nie mają pochwał dla ciebie.

— Ii, trochę w tym było niezrozumienia sprawy.

— Na pewno. Tak i ja myślę. Zawsze jestem pobłażliwa dla czyichś małych głupstw.  
Powiedzmy po prostu dla małych, Piotruś, uroczych kłamstw. Bez nich życie byłoby napra-  
wdę szare.

A wujek Rajda... Olek wystrzegął się zakazanych tematów.

Były to w tym wypadku wszelkie górnicze pogawędki. Mimo to niewiele brakowało, a  
byłby się potknął na niewinnym paternostrze. Było to owo urządzenie, które czerpakami pod-  
nosiło wodę z kopalni Jindrzicha.

— Wujek — tłumaczył Olek — paternoster to taka instalacja, która biegnie na łańcu-  
chach i ma blaszane kubki do wody. Widziałem to przecież...

— Gdzieś to znowu widział?

— Wujek, czy to takie ważne?

— Ważne, bo mogę przypuszczać, że ci się znowu robaczki świętojańskie lęgną w  
głowie, a wtedy trzeba by sprolongować przekaz.

— Na obrazku u pana Wałęgi.

— Według mnie, mój Olku, Pater Noster śpiewa ksiądz w kościele. Jeden mi objaśnił,  
że to ojciec nasz. Albo paternoster to po prostu szewski pociąg, którym majster grzmoci  
ucznią. Być zresztą może, iż tak to urządzenie się nazywa. I być może, iż ma te blaszane  
kubki do wody, czy też do czego innego. Wyczułeś, Olek, że jestem bardzo pobłażliwy na  
wiele rzeczy. Tak więc wiem, że dziewczyna, która mi z litości przyszyje mankiet do spodni,  
zasługuje na pochwałę w rodzaju „błyskawiczne pogotowie ratunkowe”, ale nie mogę być  
wrozumiałą, gdy „ktoś sadi paprocie lub skrzypy wzdłuż drogi”, albo kiedy łapie się szczy-  
paki i karpie w Leśniówce, albo gdy niedźwiedź w niej się pluska i jeszcze potem puszcza się  
w gonitwę za kimś aż na drzewo. Tak, Olek.

— Ale bo nie pozwalasz mi nigdy, wujku, wypowiedzieć się do końca. Wtedy by się  
niejedno wyjaśniło. Paproć to nie była paproć, Leśniówka nie była Leśniówką, a niedźwiedź  
wcale nie był niedźwiedziem.

— Tak jak Meyer wcale nie jest Meyerem.

— A kim, wujek?

Wujek spojrzał w niebo jakby się modlił o dobre natchnienie, potem dopiero rzekł  
wymijająco:



— Olek, zepchnąłeś mnie znowu z drogi na miedzę. Kiedy się jednak tego domagasz, to ci powiem. On, rozumiesz, On jest kimś, kogo dawniej bardzo dobrze znałem. A wiesz, jak do tego doszedłem?

— Nie, wujek.

— Zawsze w zamyśleniu kładzie ten mały palec do ust. A ja to widziałem u tamtego. Olek... Ty to trochę też robisz... Rozumiesz mnie?

— Tak, zauważyłem to również. Wujek, a kto to jest „tamten”?

— Tego ci właśnie nie mogę powiedzieć ze względów rodzinnych. Dość się gorzkich żalów nasłuchałem ze strony twojej matki. A w moim wieku nie chce się już rozgryzać rzemiennych węzełków. Za twarde na moje dziąsła. Więc dajmy tej sprawie spokój.

— Wujek, ale ja jej nie dam spokoju. Muszę się dowiedzieć, kim był pan Meyer.

Obaj chłopcy tylko w sobotnie popołudnia odwiedzali Piotra Wałęgę. Według Olka było wtedy nieco czasu na głębokie odsapnięcie. W inne zaś dni odrabiali pracowicie zadania i powtórki lekcji.

— Proszę pana — pytał szybko Olek — a co panienka?

— Noo — zastanawiał się pogodnie młody ich przewodnik — myślę, że układa się coraz lepiej. Nie jestem już bajecznym zmyślaczem, lecz skąpym w słowach człowiekiem, który nim coś powie, dokładnie odważy i zmierzy swe myśli.

— Olek — przypomniał sobie Jędręk — miałeś pisać książkę.

— Ślęczę nad nią cały czas. Nie wiesz, ile mnie kosztuje. Muszę to robić skrycie: w szafie, w altance, nawet w kurniku, a raz bazgrałem w budzie Kaja.

— Dlaczego?

— Nie znasz mojego wujka? Depcze mi wciąż po piętach..

— Bardzo nas ciekawi twoja książka. Prawda, Piotruś?

— Jeszcze jak!

Wtedy Olek niczego już nie ukrywał. Wydobył bez słowa zmięty szesnastokartkowy zeszyt i rzucił go na stół jak gracz dobrą kartę. Jędręk spadł niby jastrząb na „dzieło” Olka. Przewracał kartkę po kartce, ale wszystkie były puste. Nie. Pierwsza, strona przyozdobiona była w kolorowy tytuł:

„BAJECZNI „ŁGARZE”.

— Fantastyczne, co?

— To prawdopodobnie my, Olek?

— Ależ tak, dlatego ł g a r z e ująłem w cudzysłów. Patrzysz się na mnie jak ktoś na malowane wrota. Wiem dlaczego. Widzisz jednak, że rozpoczęła się akcja. „W wesoły lipcowy dzionek wesoło się zaczęło...”

— W każdym razie — odezwał się Piotruś tłumiąc uśmiech — powieść zaczyna się bardzo wesoło. A to najważniejsze.

— Właśnie — roześmiał się Olek — każda książka winna być wesoła.

Olek zmieniał jeszcze kilkakrotnie nagłówek swej beztroskiej powieści. Jedyne początek jej głosił trwale to samo. Lecz manuskrypt ten w końcu zaginął.

## CO SIĘ STAŁO PEWNEJ NOCY PRZED STU LATY NA POLANIE I W STAREJ WSI

Był już zmierzch. Z wąwozów, dolin i zapadlisk wypełzały cienie dziwnej nocy. Kładły się właśnie dzisiaj niby zmory na wzniesieniach. Dlatego też Piotruś przystanął nagle, to samo zrobili chłopcy.

— Proszę pana — odezwał się niespodziewanie Olek, podejmując zupełnie inny temat — czy pan tak samo jak my rozmyślał o biednym Błażku?

— Pewnie. Przeżywałem tamto wydarzenie bardzo głęboko. Nędzę, chorobę Mechtyldki, wypadek z maszyną parową. Wszystko. Wzruszam się zawsze niepowodzeniami ludzi. Boli mnie każda krzywda...

— Obiecał nam pan wyjaśnić, co się właściwie z Błażkiem i maszyną stało...

— Trudno to powiedzieć, mogę się tego tylko domyślać. Pierwsze maszyny parowe, jak to już powiedziałem, były bardzo proste. Nie miały na przykład tak zwanych kulis. Jest to bardzo ważne urządzenie. Na drodze między komorą suwakową i osią koła zamachowego znajduje się rama sterownicza, czyli kulisa, która umożliwia kierowanie, czyli zmianę kierunku biegu maszyny, a również regulowanie jej mocy. Tłok w cylindrze poruszał się tylko w jednym kierunku. Aby doprowadzić do jego ruchu powrotnego, trzeba było cylinder chłodzić zimną wodą. Robili to chłopcy, no — Błażki, którzy opryskiwali cylinder wodą z cebrzyka. Para się skropiła, a ciśnienie atmosferyczne wepchnęło tłok z powrotem do cylindra. Nowy dopływ pary poruszył tłok. Cóż ten nasz Błażek mógł usprawnić w maszynie? Chyba sposób regulacji jej biegu. Tak też legenda mówi...

— A ten wybuch! — wtrącił Jędrrek.

— Może rozerwało kocioł. Ale temu nie winien Błażek. Nikt go też pewnie o tak poważną awarię nie posądzał.

Przestali rozmawiać, bo ujrzeli naokoło niezwykle rzeczy. Po polanie nie było śladu. Wszędzie stały zabudowania: wielkie i niskie domostwa, w których zapalały się już światełka. Tam, gdzie niegdyś pola szpikowały szybiki z wyciągami haszpłowymi, wznosiły się smukłe fabryczne kominy, wieża wyciągowa i cynobrowe budynki.

— Ach — westchnął Piotruś — to już trochę podobne do dzisiejszej Szarej Wsi.

Najwyraźniejszym znamię tych nowych czasów była spiczasta hałda z tlejącymi się resztkami węgla. Krajobraz był szary, bezbarwny. Co chwila przelatywały nad nim jakieś dziwne łoskoty. Wszędzie panował hałas, a w nim pierwsze miejsce zajmował szczęk żelaza. Wyczuć się dało, że gdzieś tam w najszybszych zakamarkach wieczoru toczą się wózki po żelaznych szynach.

Stanęli z nawyku już obok rzeczki. Domyślali się jedynie, że to Leśniówka, gdyż przykry zapach, a jeszcze więcej pozrywane brzegi rzeczki nie przypominały w niczym czystej, krynicznej strugi, którą kiedyś była Leśniówka. Mijali na drogach ludzi, którzy spieszyli w stronę kopalni, lub wsiąkali w oświetlone sklepy. Do ogólnego hałasu fabryki przyłączył się gwar ludzi na ulicach.

— A gdybyśmy ruszyli w stronę zagrody Duszków? — zagadnął Jędrrek.

— Och, bardziej mnie ciekawi chałupa Plecionków — rzekł Olek. — Co za dzielny chłopak.

Szli jednak ku Jindrichowej zagrodzie, która po pewnym czasie wynurzyła się z pogłębiających się coraz bardziej ciemności. Jędrrek spostrzegł niebawem długą szyję studziennego żurawia, za nim czernił się dom, a w nim różowiły się otwarte drzwi, za którymi paliło się rdzawe światełko kaganka.

Od studni oderwał się cień wysokiego człowieka, który dźwigał na nosidle dwa dre-

wniane kubły.

— Jindrzych — szepnął Jędrzek i przyspieszył kroku.

Nie był to jednak Jindrzych, ale starszy człowiek w pełni jeszcze sił, ze szczupłą twarzą i mądrym spojrzeniem.

— No, patrzcież — rzekł zatrzymując się przed Jędrkiem, który wysunął się naprzód — któż się to u nas płacze. Zabłądziłeś może? — a spostrzegłszy jeszcze dwie postacie za plecami chłopca, dodał: — Oho, jest was cała trójka.

— Jędrzej — odezwał się w oborze ciepły głos kobiecy — z kimże tam rozmawiasz?

— Jacyś goście, pewnie z tej nowej kolonii.

Mężczyzna poszedł z wodą do koni a Olek, idący za nim, zatrzymał się na progu obory.

— Dobry wieczór — rzekł do kobiety, która doła krowę po drugiej stronie dużego budynku pełniącego równocześnie funkcję stajni i obory. — Pewnie pani jest panią Duszkową.

— Krasula, czyś się wściekła! Przestań się oganiać ogonem, przecież nie ma much. Jaka ja pani, chłopczyku, jestem tylko Duszkową.

Za drewnianą przegrodą wydierało się do mleka czarne ciele, pobekujące tak żałośnie, że chłopcom się serce krajało. Kobieta ujrzała teraz chłopców, a za nimi Piotrusia. Nie przestając krowy doić, poczęła z nimi rozmawiać.

— Nie boicie się włóczyć po nocy?

— Powiedz: dzisiejszej nocy — dodał Jędrzej Duszka.

— Nie ma jeszcze nocy — odparł Olek — a zresztą wszędzie pełno tu ludzi. I jest nas cała trójka...

— Tak. Lecz ta noc jest osobliwa. Lepiej byście zrobili uciekając do domu.

— Gadaj tym młodym! — odezwał się mężczyzna przy koniach. — Zawsze szukają przygody. Ale dzisiaj będą ją mieli, będą jej mieli tyle, że popamiętają tę noc po wszystkie czasy.

— Ach, Jędrzej, Jędrzej, dajże spokój. Przecież wiesz, że ci wszyscy z tamtych nowych domów, z tej kolonii — jak oni powiadają, są inni od nas.

— Tak, są chciwi nowych, niebytych rzeczy, niebezpiecznych przygód, a pogardzają tym, co stare i wypróbowane. Uciekają od znoju roli, a garną się do wygody.

Kobieta przesiadła się do drugiej krowy, rzuciła okiem w stronę Jędrka i rzekła:

— A ty jak się nazywasz, mój mały panoczku? Gdzieś cię przecie już widziałam.

— Ja? Andrzej Duszka.

— No to: Jędrzej, jak nasz ojciec. I my przecież Duszki.

— A ja jestem Aleksander Plecionka — przedstawił się Olek szastając przy tym nogami i składając wdzięczny ukłon w stronę starych ludzi.

— Ojciec, Plecionka? Czy nie jesteś krewnym tego maszynisty z Starej Wsi?

— Tak — bąknął Olek.

Kobieta napoiła wreszcie ciele i wyszła na podwórze, przy niej stanął jej mąż. Oboje zwrócili oczy w ciemną przestrzeń, gdzie w zmierzchu majaczyły kępy zarośli i grupki starych, podkasanych sosen.

— Cicho — ostrzegła kobieta. — Słyszę w tamtej stronie przytłumiony lament.

— Nie — zaoponował Duszka — to skwierczą żelazne wózki pod hałdą. Jeszcze nie ich czas. Zaczekaj, gdy zbliżać się pocznie północ.

— A ja ci mówię — upierała się jego żona — że się już zaczęło.

— A co to takiego? — wmieszał się do sprzeczki Piotr Wałęga. — Czy to jest związane z kopalnią?

— A z czymże by — odparł dość cierpko mężczyzna. — Wy pewnie nic nie ujrzycie, ani nie usłyszycie. Wy tam pod waszą grubą dawnoście stracili ów szósty zmysł na cierpienie natury. Wyzbywacie się bez skrupułów starych zwyczajów jak chłop brudnych onucek.

Noc była ciepła, ale nie cicha. W stawie pod młynem rechotały żaby, a niedaleka kopalnia wbijała się w ten chór żabich głosów swoją zgiełkliwą krzątanią. Duszkowa starła fartuchem długą ławę pod ścianą domu i zaprosiła wszystkich do zabrania na niej miejsca.

— Nie — rzekła, gdy umieścili się na niej jeden obok drugiego — psa bym nie wygo-  
niła na taką noc. Zostaniecie u nas, prawda?

— Tak — rzekł z wahaniem Piotruś — ale nie wiemy, czego się mamy spodziewać. Co to będzie?

Olek dostał gęziej skórki. Ten niesamowity nastrój podyktował mu jeszcze bardziej docieklive pytanie:

— Czy to będzie straszne?

— Jak dla kogo, jak dla kogo.

Siedzieli jeszcze przez pewien czas, ale nasłuchiwanie było wciąż bezowocne. Wtedy Duszkowa zaprosiła ich do izby. Jędrak powiódł po niej badawczym okiem. Była podobna do Jindrichowej, tylko meble robiły wrażenie nowszych. Gospodyni podsunęła gościom talerz z wielkimi pajdami razowego chleba. Żółte płatki pachnącego masła ukrywały skrętnie ciemne lica chleba, ale za to budziły przedsmak jego przyjemnej goryczki. Jak wyczarowane znalazły się obok talerza trzy gliniane kubki z świeżym mlekiem.

Do przestronnej, półmrocznej izby oświetlonej robaczkiem świętojańskim małego kaganka, wszedł gospodarz. Budził on zwłaszcza w Jędrku onieśmienie. Jednak intuicyjnie odgadł w nim Jędrak ludzkie, dobre serce.

— Choć raz weselej w domu — powiedziała kobieta.

— Tak — rzekł Piotruś — pusto u was. Nie ma pewnie żadnej rodziny.

— Kiedyś, mój kochany — odparła kobieta — było tu ludno i wesoło. Dzieci. Nie ma nic miłszego jak młodość. Och, nie ma...

— Najpierw gruba zabrała nam pola — tłumaczył stateczny gospodarz — potem rosła ta wasza kopalnia jak to smoczysko, co żarło ludzkie dzieci. Wybudowali więc czerwone domy, całe kolonie dla ludzi, którzy zrobili sobie u nas zbiegowisko. Mnóstwo ludzi, miał więc fabrykant w czym wybierać. Coraz marniej płacił swoich robotników. Wśród nich byli również moi synowie, zięciowie. Uciekli wszyscy do Westfalii, bo tam się otwarły nowe grube i lepsze zarobki. A kopalnia stworzona przez Duszków została... bez nich. Mój prastaryk był jej rządcą.

— Psst, uspokójcie się trochę — szepnęła gospodyni. — Słyszycie? Przecież ciągną...

— Kto? — zapytał Jędrak również szepsem. — Kto ciągnie?

— Oni, co wieki całe mieszkali w naszych rzekach, stawach, lasach, puszczech...

Gospodarz wyjrzał przez okno na dwór. Obrócił się do wszystkich i uzupełnił:

— ...i bazinech. Widzicie ten rój iskier? Widzicie?

— To chyba światełka nowej kolonii, kopalni i ulic oświetlonych lampami gazowymi — rzekł Piotruś głosem niepewnym.

— To myłki.

— Co to są myłki? — zapytali obaj chłopcy, choć już słyszeli o nich.

— Ho, ho, myłki — mruzczała kobieta. — Ho, ho, to niezwykle stwory, co w ciemnych nocach uganiają po mokradłach i bazinech. Skoro tylko ściemnieje, to wyslizgują się z wszystkich szpar, błędzą po grzędawiskach i wabią różnym światełkiem.

— Ho, ho... — powtórzył mąż jej z wzrokiem utkwionym w roziskrzonej dali — myłki to swawolne istotki. Niejeden je już poznał.

— Jak? Co one robią?

— Matko, opowiedz jak mamia ludzi.

— Ściągają pijaków na baziney. Po to je przecież Pan Bóg stworzył. Taplają ich rozkosznie w marasie, a co gorsze, nawet topią.

— Jak wyglądają?

— A czy je kto naprawdę widział dokładnie? Żarzą im się ślepska, mrugają ciągle ale kto bystry, może je zobaczyć. Trzeba tylko ostro spojrzeć w tej sekundzie, w której zamkną powieki.

Zapanowała złudna cisza. Za kominem bowiem ćwierkał przenikliwym głosem świerszcz domowy. Dal zaś, tajemnicza i zakłęta, błyskała, szumiała i łkała. Wszyscy utkwili oczy w małym okienku. Rozdzierała się tam jakby kurtyna i odsłaniała scenę tak niesamowicie piękną, że nikt już nie mówił. Do chałupy zbliżały się setki drgających i podskakujących płomyków. Oto są już przed stawem, wdzierają się na jego atramentową toń, odzwierciedlają w niej i — mkną naprzód. Tańczą potem wzdłuż Leśniówki, fala za falą prze w dal, byle uciec, byle nie zostać. Mkną niby cicho, a jednak szmer, jak szczebiot tłukących się o siebie, potykających istot, gniewnych, rozsierdzonych, dociera do izby.

— Ależ to cudowne, niewiarygodne — szeptał Piotr Wałęga. — Dokąd lecą? I przed czym umykają?

— Przed wami — burknął gospodarz. — Przed kopalnią, industrią, bo tego nienawidzą. Gdziekolwiek się pojawicie z waszym przemysłem, tam obalacie sędziwe drzewa, a nowych nie sadzicie. Paskudzicie wszystko węglem, smołą i popiołem. Psujecie powietrze wonią nie do wytrzymania.

Piotruś przyjął te cierpkie wymówki bez słowa. Tymczasem chłopcy wtopili rozgorączkowane źrenice w świetlikową noc. Właśnie nadbiegały dwa żarzące się węgielki. Były to oczy myłka. Mrugały tak szybko i gęsto, że oszałamiały patrzących. Chłopcy zdołali w końcu pochwycić dziwną sylwetkę. Było to fantastycznie szczupłe stworzenie, które podrygiwało w miejscu nie mogąc się wepchać w nurt innych myłków.

— Ojciec — szepnęła kobieta — która tam godzina na zegarze?

— Dwunasta, dwunasta.

Chłopcy zauważyli, że czas upłynął jakby z bicza trząśł. A tu już nowe obrazy, jak na taśmie filmowej, wyskakiwały z płachty nocy.

— Utopłce — komunikowała szeptem Duszkowa.

— Sowizdrzały — rzekł jej mąż. — One to ci zawdy wszystko wiedzą. Nawet co gospodyni w garnku gotuje. Skądś więc dowiedziały się, że długi Jantoń wybiera się do miasta po małe prosię. Słyszały też jak baba mówiła: „Jantońku złoty, żebyś tej naszej krwawicy gdzie nie zgubił, albo nie przepił”. Zachnął się chłop i przysiągł, że wodą gasić będzie pragnienie. Ale za wsią wypadła mała świnka prosto mu pod nogi. Jantoń rozwarł konopny worek, a po małej chwili prosiaczek szamotał się w więzieniu. „A teraz”, myśli sobie Jantoń, „przepiję krwawicę w karczmie. I nikt o tym nie będzie wiedział”. Z tym postanowieniem wszedł na most. Wtedy świnka porywa worek i talary, buch do wody. I po wszystkim. Tak to Jantoń wrócił do chałupy wykpiiony przez utopłców, boć to ich sprawka była.

— Ojciec, opowiedz no o Ferdianie.

— Młynarz na Falówce miał za groblą takiego urwipołcia, że strach nawet pomyśleć. Co noc musiał opuszczać z rodziną młyn. I nie wiadomo jak by się ta cała historia skończyła, gdyby nie pewien wędrowny towarzysz, czyli czeladnik, który tam zawitał i prosił o nocleg. Ferdian mu tłumaczy, że panem młyna jest utoplec. W nocy przewraca bezecnik wszystko do góry nogami. Nawet wodą zatapia młyn. Młynarczyk powiada, że się wodniaka nie boi. Jeno mu skrzypek trzeba, to sobie z utopłcem potańczy. Kiedy się tylko ciemno zrobiło, zuch zapalił ogarek i rzępoli z całych sił na skrzypcach. Bardzo się to wodnemu psotnikowi podobało. Wraził więc rogaty łeb do okna.

— Jak wyglądał?

— Ooo, zwyczajnie. Nawet podobny do niektórych ludzi. Zielone spodnie, króciutka marynareczka, szpicbródka, wąsiki jakby je piekielnym węglem narysował i kozie rożki ukryte pod kłobukiem z piórkiem. Na nogach dziwne trzewiczki, prawy jak kopyto. Utoplec wlaź na worek z mąką. Połyka muzyczkę, naśladuje rzępolenie. „Tyy — powiada wreszcie

— naucz mnie tej piłowanki na bucującym drążku”. „Dlaczego nie, wpierw jednak trzeba się zająć nieco szponami, bo inaczej drążek nie będzie buczał”. Wkręcił więc łapy utoplca w śrubasztak i piłuje aż młyn trzeszczy. Nie wytrzymał tego zabiegu nawet utoplec. Wyje jak opętany. Młynarczyk nie słucha, jeno dalej robi swoje. Potem woła majstra. Obaj: muzykant i młynarz przycinają rzemiennymi paskami skórę utoplca. W końcu go wypuścili. Strzelił prosto do stawu, wynurzył się i pogroził młynarzowi: „Ech, Ferdianie, popamiętasz ty mnie jeszcze!”

Razu jednego młynarz wybiera się wozem do miasta. A tu kto ci leży na grobli? On. I nie rusza się z miejsca. Widzi młynarz, że to nie krotochwile. Odpręga więc konie, chwytą orczyk i piłuje — rrr rrr — dyszel. Tego sowizdrzał już nie wytrzymuje. Rzuca się więc głową na dół do wody. Od tego czasu nigdy się już w młynie nie pokazał.

— Idą — rzekła gospodyni ze skupionym wyrazem twarzy.

Przed zagrodą wszczął się gwar i hałas. Zbliżał się jakiś harmider podobny do świstów, fukania, kwiczenia i wierzgania. Za opłotkami trzeszczeć począł ciężki wóz. Wtedy kobieta pchnęła okno, do izby wtargnęło chłodne, swarami skłócone powietrze.

W szerokiej luce ogrodowej pojawił się dziwny pojazd. Jego kontury zakreślała fioleto-wo-ognista linia. Mimo to było coś ludzkiego w tym obrazie. Wóz bowiem załadowany był tobołami ociekającymi strugami wody. Z nie domkniętych pak wymykały się kolorowe gałganki; wielkie skrzynie — trówały, spętano zielonymi porostami. Na tej ogromnej stercie kiwały się fantastyczne figury, podobne do śmiesznych kukieł. Woźnica-utoplec, istny obdartus, popędzał dwa wielkie a kudłate psy batogiem, skręconym z tataraku.

Obaj chłopcy roześmieli się głośno na ten widok, lecz gospodyni ofuknęła ich za to ze stroniczą gorliwością. Jednak już po chwili jakby się sama zaraziła wesołością małych gości. Było się bowiem z czego śmiać. Oto wóz zatoczył się niby pijany i jak pijak runął na trawnik. Rozległy się straszliwe krzyki. Paki i skrzynie rozbebeszyły się zupełnie. Dwóch obszarpanców z rozkami na głowie rzuciło się ku chałupie.

— Gospodarzu, gospodarzu, koło nam brzdękło... Pomóżcie!

Stary Duszka powiódł ich do kolarni, kobieta zaś kiwnąwszy na gości, wyprowadziła wszystkich na drogę. Wśród skrzyń uwijali się żywo rozbitkowie.

— Co oni wiozą w tych skrzyniach? — pytali się obaj chłopcy.

— Boże drogi, nie widzicie? Ludowe stroje. Heeda — zwróciła się do markotnego woźnicy, który końcem tataraku drapał swój rogaty łeb — a skądże Ktoś prowadzi?

Mogła zawołać zwyczajem ludzi: A skądże Bóg prowadzi? Ale nie zrobiła tego, byłby to przecież gruby nietakt w stosunku do wodniaków, którzy mieli więcej cech diablich niżli anielskich.

— Od Bytonia i Rozbarku — odparł lakonicznie zagadnięty.

— A dokąd to, jeśli można wiedzieć?

— Kapkę dalej.

— A co w tych skrzyniach, roztomiły panie?

— W skrzyniach? — powtórzył przeciągle utoplec, ale to „panie” polechtało jego próżność, więc odparł, choć niedbale:

— Lee, takie tam staniki, stroiki, wstangi, hyty, żurki, czepce, merynki i rozmaite.

Spod stodoły toczyło się koło po miękkiej murawie. Tuzin arcyśmiesznych wodniaków pędziło, wraz z nim. Szkodę naprawiono prawie błyskawicznie. Skrzynie hopsały z powrotem na wóz, utoplce skoczyły na toboły, a psy ruszyły z miejsca galopem. Jeszcze nie pochłonęła ich noc, gdy na zakręcie zaskrzypiały nowe koła. Był to znowu wóz objuczony zielonymi skrzyniami.

— Hej, a skądże Ktoś prowadzi? — zagadnął teraz podróżnych sam gospodarz.

— Ooo, ooo... szpod Sztragiczela. Prrr, wolniej psy...

— A co w skrzyniach, wielmożny panie?

— Przysłowia ludowe i porzekadła, zagadki, fraszki i rozmaite...

Wtem stare, zmordowane wozisko nieco się pochyliło, a z jarzącej kopy ładunków stoczyła się skrzynia. Prask, pękła. Ze szczeliny sypać się poczęły rzeczy krągłe, różnej wielkości i koloru. Najmniejsze jak orzechy włoskie, inne podobne były do orzechów kokosowych. Z upadkiem skrzyni powstał taki jarmarczny gwar, że oboje gospodarze zatkali sobie ze śmiechem uszy. Jędrzek schylił się szybko po jedną z kulek. W tej chwili postyszał piskliwy głosik: „Kalendarz, stary łgarz”, drugi orzeszek wyrzeszczał przysłowie: „Komu gęba jedzie, temu ręce stoją”. Wtedy i Olek począł zbierać śmieszne kuleczki. Jedna wyrecytowała: „Kto zawsze moc szumi, ten mało rozumie”, druga „Lepsza dóma kapuścina, niż na wojnie owięzina”, trzecia: „Kto na cudze buty czeka, musi długo boso chodzić”. Jędrkowa kuleczka wygłaszała znowu takie przysłowie: „W próżnym chlewie nic nie zdechnie”. Ale następne słowa trzeba już było łowić z największym trudem, bo kulki krzyczały na wszystkie strony. Chmara utoplców zleciała z góry wprost na skrzynię. Skądś znalazł się gorejący młotek, który postukiwał o skrzynię. Podrzuciona przez szybkie ręce pacnęła głośno na toboły. Psy puściły się gwałtownie naprzód.

Kobieta położyła obie ręce na głowach chłopców i szepnęła ostrzegawczo:

— Nigdy nie dotykajcie rzeczy, która należy do utoplca. Pali i parzy. On ci dla żartu każe potrzymać bicz, ale nie bierz go w ręce.

Mimo, że wozy przepadały nieustannie w dolinie, nowy gwar, nowy pośpiech zwiastował zbliżanie się dalszych, dziwnych postaci. Oto już je dojrzeli. Szły, kusztykając jakby na obolałych nogach, każda z nich niosła na głowie wielkie, okrągłe pudło.

Byli to już prawdziwi nędzarze. Gospodyni, obeznana z ich życiem, objaśniła szeptem, że są to wodni biedacy, pogardzani przez bogatych utoplców.

Cóżże nieśli ci utoplcowi szeregowcy? Swoje ubogie mienie? Dlaczego kuleją? Ale i oni jarzyli się ową sinomiedzianą poświatą, która znaczyła świat wodny.

— Heeda, heeda — zaczęła kobieta wędrowców — mości panowie skąd? Hej, skądże Ktoś prowadzi?

Obdartusy, dwie zmęczone pokraki, przystanąły. Pierwszy z nich miał na sobie zieloną, połataną bluzeczkę i strasznie kuse, czerwone portki, drugi na odwrót tkwił w czerwonym łachmaniku i w wyświechtanych, zielonych spodenkach. Teraz dopiero zauważyli chłopcy przyczynę ich charakterystycznego utykania. Lewe ich nogi były po prostu kopytami. Utoplce parsknęły i odpowiedziały niechętnie, jak ludzie mocno utrudzeni.

— Łeee, od... Rybnika.

— A dokądże się maszeruje, jeśli można wiedzieć, wielmożni?

— Kapeczkę dalej.

— A co w tych wielkich dzieżach, wielmożni panowie?

Nie odpowiedziano. Ale widocznie tytuł „wielmożni panowie” mile łaskotał dziwaczne stworzonka, bo już po chwili „panowie” zdjęli pudła z głowy i postawili je jedno na drugim. Czynili to ostrożnie, jakby się kryły w nich cenne skarby.

— Ha, no — odparł pierwszy, jękając się mocno — chcociemm biedny, rratujemm, co mogiymm. W tymm — zastukał lekko w górne pudło — ttysiąclettnie bbajki, bbaśnie i llegendy...

— Ha, ha, ha — roześmiali się gospodarze. — Ależ to dobre.

Na to utoplec się zaperzył, parsknął i leciutkim podbiciem wytrącił wieko pudła. Wszyscy pochylili się głodni widoku niezwykłości.

— Och! — westchnęła przychlebnie kobieta. — Ależ to istne cuda.

Pudło zapełnione było, jak i poprzednie skrzynie, warstwami równych, bliźniaczych kul. Gdy jednak wodniak sięgnął po jedną z nich, wydobył zamiast niej małego człowieczka. Ustawił go niby jarmarczną figurkę na wieku, a wtenczas ku zdziwieniu wszystkich pocieszne maleństwo zaczęło gawędzić starym głosem. Była to dziwna historia o dzikim, a dzielnym

księciu tatarskim Tin-fu, który przeleciał jak na skrzydłach całą Polskę, a śmierć znalazł pod raciborskim grodem.

W końcu mały człowieczek uśmiechnął się, a jego gałki oczne zalśniły jak dwa porcelanowe guziczki. Skończył. Utoplec zbliżył do niego kosmaty paluch, a malec wśliznął się natychmiast do swej kryjówki.

Gospodyni, chytrze i przebiegle, zmusiła drugiego oberwańca do pokazania swych skarbów.

— O szanowny, szlachetny panie, jaśnie oświecony książę — rzekła — co kryje ten oto brzuchaty sezam?

— Bajki — odparł bez zwłoki utoplec, a grymas błogiego zadowolenia przemknął po jego żabiej twarzy. Pochlebstwu, nawet przesadzonemu, nie oprze się i rozsądek.

— Bajki, samylkie bajki. Łapałem je, jak kocica myszy, niżadnej nie zostawiwszy...

Odbił gorliwie wieko. W „dzieży” widniała warstwa jasnych i czarnych kul. Naraz mały, śmieszny skrzacik śmignął na brzeżek swego więzienia. Obecni dojrżeli ze zdziwieniem, że ludek balansuje po nim zupełnie swobodnie. Wreszcie i on stanął. Przyjemnie brzmiący głosik opowiedział bajkę o głupim diable i chytrym chłopku.

Filigranowy człowieczek, mimo że mówił swobodnie, odetchnął jak po męczącej recytacji, szastnąwszy zaś nóżkami, skłonił się w zagadkowym uśmiechu. I on zniknął pod prowizoryczną sceną jak w zapadni.

Obaj tragarze klaskali w dłonie, szaleli z radości. Ale kobieta zdołała już wybadać słabe ich strony, podsunęła więc sprytnie:

— O wielmożni, warto owo ze sobą zabierać?

— I trudzić się, i męczyć? — dodał mężczyzna.

Na to wybuchnęli końskim rzeniem.

— Wierzę — odparł pierwszy — iż wszyscy by tak myśleli. Dwadzieścia człowieków by tej „dzieży” nie podźwignęło na swe ramiona. Ale dla nas to fraszka. Niewiasto, uciekamy z waszymi skarbami. He, wy jeno złoto podziwiacie, krom niego nic nie ma ceny u was. Aleć niech jeno pośniedzieje czas, a wygryzać będziecie oną bajkę z ziemi.

— Ej, a cóżże takiego wielkiego w tych małych pleciugach, iż łakomić się będą ludzie na to?

— Liszka z ciebie, a nie wiesz. Wierzę. A ja ci powiem. Boć w nich zaklęta jest mądrość pokoleń i moc całego ludu. Patrz, niewiasto, patrzcie i wy, gospodarze.

Wodny urwipoleć potrząsnął pudłem, aż zagrzechotało w nim zagadkowymi głosami. W tej sekundzie pięć się począł pod baldachim nocnego sklepienia olbrzym. Wszyscy cofnęli się mimo woli przed potęgą tej postaci.

— Kto takie ma — krzyknął utoplec — nic go nie zmoże.

Mijała czarowna noc, a na dalekim zachodzie przecierała się ciemność, a wciąż jeszcze nie było końca ucieczce tajemniczych stworzeń. Przemykał więc świat zaklęty w dalszym ciągu pieszo i na niezwykłych wozach. Jedni nieśli w węzełkach i tobołkach stare pieśni ludowe, inni mozolili się dźwigając w „trawniczkach” (płachtach do noszenia trawy) świątki, które pobierano z miedz i polnych drózek. Po pieszych wędrowcach, często w brudnych łachmanach, nadjeżdżały fantastyczne wozy albo ochryple świszczące dryndulki z rokokowymi ozdobami, takie, jakich nigdy oczy ludzkie nie oglądały. Niemal nad ranem wytoczyła się na drogę kolasa, wóz prawie wielkopański. Ciągnęły ją dwa półkonie — półszczupaki. Powoził nimi skrzat w czerwonej mycce. Z tyłu za nim siedziały jakieś melancholijne postaci, które nuciły smutne pieśni. Nad tylnymi kołami przytroczone były wielkie, okurzone wiklinowe kosze. Jeden z tych niezwykłych przypadków sprawił znowu, że patrzący dowiedzieli się co zawierają. Wywożono stare ludowe zwyczaje, obyczaje narodu i wszystko to, co było dorobkiem wielu, wielu pokoleń. Zaklęty, mściwy świat wysuwał błahe z pozoru rzeczy, które współcześni ludzie bagatelizowali, ale w przyszłości miały one ród w znaczenie i cenę.



Nie ma wiecznej ciągłości. Wszystko bieży ku swemu końcowi, co miało początek. Więc też noc ze swą niezwykłością powoli się uspokajała; uspokajała się w tym samym stopniu, w jakim ścisza się zgiełk miasta z nastaniem wieczoru. Siwa brew na wschodzie nieba podnosiła się jakby ze zdziwienia, że pozwolono szalonej nocy na takie się wyżycie. Natenczas zapiał z większą niż zazwyczaj hałaśliwością kogut Duszków. I od tej chwili wszystko zaczęło się zmieniać. Pierzchać poczęły drzewa, zamazywały się rysunki budynku, na samym końcu roztopił się dziobaty żuraw.

## FOTOGRAFIA

— Proszę pana — zagadnął pewnego razu Olek Piotrusia Wałęgę — chciałbym się pana o coś zapytać, tylko nie wiem, czy pan będzie mi to umiał wyjaśnić.

— Myślę, że masz do mnie zaufanie. Wiążą nas wspólne przeżycia i przygody. Chyba mnie już poznałeś?

— Wiem. Ale to bardzo delikatna sprawa. Rodzinna sprawa. Pan wie, że mój ojciec zginął bardzo tajemniczo. Wyszedł sobie na szachtę i nigdy już nie wrócił.

— Mówiłeś, że stało się to pierwszego dnia wojny.

— Tak, mówiłem. Ale sprawa ta się niespodziewanie komplikuje.

— Nie rozumiem.

— I ja też nie rozumiem — odezwał się Jędrek.

— Jak mogła się skomplikować, kiedy twój ojciec...

Olek wybłagał od matki fotografię ojca. Była to ta sama, z której łódzkie atelier fotograficzne wykonało portret. Wydobył ją teraz z portfelu i wręczył nabożnie Piotrusiowi.

— Meyer?... — rzekł zdziwionym głosem Wałęga. — Olek, on ci podarował? Kiedy ci tę fotografię dał?

— Proszę pana — powiedział Olek, pomijając zupełnie te pytania — czy słyszał pan o takim wypadku, że ktoś stracił pamięć?

— Noo — zastanawiał się technik — na brak pamięci narzeka wiele ludzi...

— Mnie o taką pamięć nie chodzi. Czy zna pan może takiego człowieka, który na przykład zapomniał swego nazwiska?

— Ależ tak. Słyszałem o pewnym starszym człowieku, który cierpiał na zanik pamięci. Nie umiał się ubrać. Marynarkę wkładał zamiast spodni. Zapomniał nawet jakie imię ma jego syn. Na ulicy nie trafił do swego domu...

— Ale tu chodzi o młodego człowieka.

— Pewien nauczyciel był na froncie, tam zasypało go od wybuchu granatu. Gdy go wydobyto, postradał pamięć pisania i czytania. Myślę, że takie wypadki się zdarzają. Lekarze nazywają to amnezją. Ale wytłumacz jaśniej jaki związek ma twoja fotografia z amnezją.

— To jest fotografia mego ojca.

— Co? — wrzasnął Jędrek i pochylił się jeszcze raz, żeby oglądnąć lepiej zdjęcie.

— Nie, byłbym przysięgł...

— Tak, zdjęcie to zrobił fotograf tydzień przed zaginięciem ojca. Najdziwniejsze, że moja mama uczepliła się tej myśli, iż ktoś mógł zapomnieć swego nazwiska naprawdę. Mógł zapomnieć po prostu kim jest w rzeczywistości.

— To znaczy, że niby ten... Meyer...

Olek skinął lekko głową na znak, że tak właśnie być może.

— Nie, ależ to, ależ to niedorzeczne.

— Olek — zapytał Jędrak — a ty? Co ty o tym myślisz?

— Ja nie wiem. Mnie jeno wciąż niepokoi, dlaczego cały czas krążył koło naszego Strapiciela. I on tego nie umiał wyjaśnić.

— Zaczekaj, Olek. Zaczekaj chwilę.

Piotruś opadł ciężko na łóżko, aż zabrzęczały sprężyny materaca. Ręką pocierał swe gładkie, myślące czoło. Nagle się zerwał jakby pod natchnieniem jakiejś niezwyklej myśli.

— Wiesz, że Meyer odwiedził nas, gdy miał opuszczać Szarą Wieś? Wiesz?

— Tak. Ofiarował Jędrkowi wyrzeźbionego górnika, a panu parę taneczną.

— Moja siostra widziała go po raz pierwszy w życiu...

— Po raz drugi — śmiał się Jędrak. — Mama mówiła, że spotkała go już kiedyś w Szarej Wsi.

Jędrak wypadł bez słowa wyjaśnienia z izdebki. Ale obaj rozmówcy nie zwrócili na to żadnej uwagi. Olek nie był jeszcze nigdy tak poważny jak w tej chwili. Jego stale wesołe oczy zmęczone były cieniem niezwyklej zadumy.

— Jędrak poleciał pewnie po swoją matkę — rzekł Piotruś.

Rzeczywiście, Jędrak wprowadził ją po chwili do pokoiku.

Olek okraślił swe nieco ściągnięte usta słabym uśmiechem powitania.

— No co, Olek — rzekła — masz podobno jakieś zdjęcie, które ci nie daje spokoju.

Duszkowa podeszła z fotografią do okna. Jasny strzał promienia słonecznego padł prosto na podobiznę ojca Olka i odsłonił ją z całą ostrością. Rysy Olka, ścigającego pół strwożonym wzrokiem uważne oczy Duszkowej, napinały się do ostatecznych granic. Wreszcie podniosła swe źrenice, tak bardzo podobne do Piotrusiowych.

— Tak — powiedziała — to ten sam człowiek.

— Kiedy go widziałaś? — zapytał Piotruś porywczo.

— Wiem to już teraz bardzo dokładnie. Jędrak, przynieś no rzeźbę Meyera.

Pod nogami Jędrka zadudniły gwałtownie schody jak gorący pasaż na fortepianie. Ta sama terkotliwa gama zwiastowała jego powrót. Matka odebrała z jego rąk brązowego górnika.

— Tak, nie zblądziłam. Był w tym stroju. Pędził od kopalni w stronę wzgórza obok hałdy.

— W stronę Strapiciela — zawołał Olek i zerwał się na równe nogi. — Jędrak, ja to przeczuwałem.

— Nie wiem, czy tam jest jakiś Strapiciel, ale uciekał prosto na tę górkę.

— Kiedy to było? — krzyknął Piotruś, podniecony nie mniej od Olka.

— Proszę pani, proszę pani, kiedy to było? — błagał Olek.

— Boże, uciekało się w takim popłochu w pierwszym dniu wojny.

— Jędrak — jęczał Olek — wszystko już jasne. Rozumiesz?

— Nic nie rozumiem — odpowiedział Jędrak półgębkiem, bo rzeczywiście nic nie rozumiał.

— To przecież mój tatuś uciekał w stronę Strapiciela. Był w górniczej odzieży.

— Nawet coś w rodzaju kasku miał na głowie — dodała matka Jędrka.

— Wiecie, to zaczyna być niezmiernie ciekawe — Piotruś zamyślił się.

— Nocowałam wtedy u teściów, bo Jędrak miał nocną szychcę. Zostawiłam ciebie, Jędrak, u dziadków, a sama wracałam wczesnym rankiem do domu. Nad polami latały nisko samoloty. Na jednym z nich była swastyka. Pod Szarą Wsią ujrzałam uciekających ludzi. Jeden krzyknął: „Niemcy na ulicy!”

Przerażona wpadłam na ugór przed hałdą. A wtedy właśnie zauważyłam człowieka, który szybko biegł od kopalni. Obok niego leciał kudłaty pies...

— Burek — krzyknął Olek.

— Wyjechał widocznie co dopiero z węgla, bo trzymał lampę w lewej ręce...

— Lampę? — zawołali słuchacze jednocześnie.

— Wrzasnął: „Niemcy łapią górników i zapędzają pod cechownię. Uciekaj!” On i pies zaszyli się w krzakach. A wtedy nadbiegli trzej żołnierze w nie znanych mi mundurach. Chwilę później rozległo się szczekanie psa, a wreszcie strzał. Stanęłam jak wryta. Pies leżał nieżywy na ugorze.

— Biedny Burek — chlipał Olek i wycierał oczy.

— Słyszałam krzyki: „Raus, raus!” Pod most kolejki linowej podjechało auto, z którego wyskoczyli inni żołnierze. Wtedy uciekłam. Wiedziałam, że go złapią. Nie miałam już sił, żeby na to patrzeć.

— I jesteś pewna, że to był ojciec Olka? — zapytał brat.

— Nie znałam ojca Olka. Ale to był ten sam człowiek, co na fotografii. Widziałam go tak wyraźnie i tak ostro, że nie może być pomyłki. Poza tym spostrzegłam, że jedną jego kieszeń zmontowano z niebieskiej łątki, jak to się zresztą robi z roboczym ubraniem.

— To on, to on — powtarzał Olek. — Właśnie o tej łącie wspominała mama zawsze z płaczem, bo w poprzedni wieczór przyszyła ją doraźnie do marynarki.

— Tak, ale co się z nim stało? W każdym razie nie możemy twierdzić, że to był Meyer. Że twój ojciec to Meyer.

Olek spojrział na Piotra Wałęgę jak na wariata, potem wybuchnął:

— Jak to nie był?...

— Nie, Olek, daruj. Ale dla mnie...

— Piotruś, nie wiem dokładnie o co chodzi. Ale Meyer jest zupełnie podobny do ojca Olka.

Olek zerwał się jak oparzony i skoczył do drzwi. Tutaj obrócił się i krzyknął:

— Poczekajcie wszyscy na chwilę, zaraz wrócę i pokażę panu coś ciekawego, co wreszcie pana przekona.

— Jaki ten chłopak zdenerwowany — rzekła matka Jędrka po jego odejściu.

Piotruś opowiedział- teraz ze szczegółami sprawę Meyera, swe pierwsze z nim spotkanie, przygodę z Kajem, wypadek na Strapicielu i podejrzenia matki Olka.

Olek wpadł do izby pod koniec tej opowieści. Stanął więc na moment, w pozie oczekiwania, pod etażerką z książkami. Gdy wreszcie technik skończył, Olek postawił na stole figurkę górnika obok Jędrkowej.

— Niech się pan przyjrzy mojej rzeźbie — rzekł.

— Znamy ją, pochodzi przecież od Meyera.

— Nie — krzyknął Olek triumfalnym głosem — to rzeźbił mój ojciec jeszcze przed wojną.

— Pokaż!

Piotruś, Jędrak i jego matka pochylili się nad obu figurkami. Wałęga potrząsał głową jakby się dziwił tej fantastycznej identyczności obu rzeźb. Olek oczekiwał jego okrzyku zaskoczenia, a gdy technik milczał, zawołał:

— Nie widzi pan, że jest różnica między obu górnikami?

— Olek, uspokój się trochę — rzekła matka Jędrka gładząc jego czuprynę, którą wiatr rozwiało, gdy Olek biegł z nim na wyścigi po rzeźbę ojca.

— Różnica?

— Piotruś, górnik Olka ma lampę — odezwał się Jędrak.

— Tak, tak. Widzę tę lampę. Ciekawe.

— Rzeźby Meyera — ciągnął Olek z pałającymi oczami — nie mają lampy górniczej. Ani moja, ani Jędrkowa.

— Ale poza tym są bliźniaczo do siebie podobne — stwierdził Piotruś lojalnie. — Czyli można by przyjąć, że pochodzą spod jednego dłuta. Ale co z tą lampą zrobimy? Dlaczego tam właśnie jest lampa, a u obu figur jej nie ma?

Olek usiadł przy stole, wsparł głowę na dłoniach i zapatrzył się w obu górników. Jędrak przysiadł się do niego i podobnie jak przyjaciel wlepił swe zadumane oczy w obie piękne rzeźby. Po chwili Olek westchnął.

— Nad tą lampą górniczą trzeba by się zastanowić.

— Ta lampa, ta lampa... — zastanawiał się Piotr Wałęga.

## TATUSIU, BŁAGAM CIĘ, WRÓĆ

„CZEKAM NA CIEBIE”.

Jędrak od telegrafował:

„BĘDĘ”.

Olek czekał przy furtce. Po jego skupionym wyrazie twarzy Jędrak poznał, że jest posiadaczem jakiejś ważnej nowiny. Ponieważ sprawa Meyera była problemem numer jeden w ostatnich dniach, Jędrak postawił pierwsze pytanie:

— Meyer?

— Kaj — odparł równie lakonicznie Olek.

— Co Kaj?

— Och, Jędrak, chodź ze mną. Zobaczysz.

Weszli do kuchni. Obok pieca leżał na swym dawnym, ulubionym miejscu pies Meyera. Był zziębnięty, ale mimo to czujny. Jego bursztynowe oczy zwróciły się do wchodzących chłopców.

— Poznał ciebie — szepnął Olek. — Przybiegł przed godziną. Patrz, jaki zmaltretowany. Uszy pogryzione: musiał staczać walki z wiejskimi kundlami. Ktoś go uderzył kamieniem w nogę.

Kaj podniósł się, zbliżył do Jędraka, powąchał go i zamerdał raźnie ogonem. Jędrak go pogłaskał. W tej chwili zjawiała się matka Olka z świeżo udojonym mlekiem.

— Dotąd nic nie jadł, pił tylko wodę.

— Musiał przebyć jakąś daleką drogę — przypuszczał Jędrak.

— Jest bardzo sponiewierany.

— Nawet błoto na nim — powiedziała Plecionkowa.

Kaj stał już obok niej i spozierał wyczekująco na misę z mlekiem. Gdy ją postawiła przed nim, począł chciwie chleptać aromatyczny płyn.

— O, przyszedł już do siebie — oznajmiła kobieta radośnie. — Nic mu nie będzie. O, Kaj, gdybyś ty mógł mówić...

Kaj oderwał się na chwilę od mleka i szczechnął krótko w stronę drzwi. Na progu stał stary „gdera”. Pies skoczył do niego, stanął na dwóch nogach i oparł przednie o kamizelkę inwalidy. Chropowate ręce poczęły pieścić sierść powalaną błotem.

— Tak, Kaj, widzę, żeśmy o sobie nie zapomnieli. Aby dałbym, głowę za to, że masz za sobą sto kilometrów drogi. Przewyciężyła je twoja wdzięczność i tęsknota do nas, prawda?

Kaj pomachał ogonem jakby potwierdzał przypuszczenia starego człowieka, potem jednak wrócił do misy, którą wylizal skrupulatnie, wreszcie zajął się kośćmi rzuconymi mu przez kobietę zaraz po jego przybyciu. Ona sama usiadła przy stole przyglądając się psu, który począł z chrobotaniem ogryzać specjały.

— Chciałabym wiedzieć, Olek — rzekła — dlaczego pies przyleciał.

— I z tak daleka — dodał Olek.

— Olek, ach — dlaczego Kaj nie może mówić.

— Mamusiu, może go tatuś wysłał.

Stary Rajda śmiał się od ucha do ucha. Potem zapytał ze Swoją zwykłą kpina w głosie:

— Uważasz tego włóczykija z całą pewnością za swego ojca. Olek, zazdrościć ci tej fantazji.

Ale Olek odciął się błyskawicznie.

— Przecież to wujkowy Józef. Mówiłeś, wujku, że sobie głowę dasz uciąć iż to on, twój szwagier. A ten palec w ustach...

— Ooo, ty mędrku. Czy mi nie wolno tak mówić? Nie znaczy to jednak jeszcze, że jest nim faktycznie.

Niespodziewane odwiedziny Kaja rozpełtały w sercach Olka i jego matki wszystkie dawne uczucia niepokoju, nadziei, wątpliwości i otuchy. Chłopiec i matka rozmawiali długo w nocy, przy czym Olek twierdził, że pies przybył w jakiejś misji od Meyera, matka natomiast zbijała jego optymistyczne wnioski snując różne niedobre przypuszczenia.

Kaj odpoczął, ale nie myślał o powrocie do swego pana. Przyprawiało to jeszcze bardziej matkę o drżenie serca. Nawet stary Szymon wyraził dość osobliwe podejrzenie:

— Widzieliście, nasz Kaj nie pakuje manatek. Można by z tego sądzić, że Józefowi się coś stało.

Olek Spojrzał ze złością na wujka i zaperzony krzyknął:

— Wujek by go najchętniej uśmiercił. Co on wujkowi zrobił?

— A nic. Przecieżem go lubił. Nie dawałem na to dowodów?

— A potem... Czy Kaj byłby tak beztroski, gdyby się jego panu coś przytrafiło?

— Muszę powiedzieć, żeś trafnie to wyraził. Rzeczywiście, Kaj jest bardzo pogodny.

Minął jeszcze jeden dzień, a pies jakby zapomniał o świecie, z którego przybył. Lecz nazajutrz, a była to sobota, Kaj tylko do południa gonił beztrosko po podwórzu. Po obiedzie zaczął się niepokoić, a godzinę później siedział już na ulicy wpatrując się w jakiś niewidoczny punkt na horyzoncie.

Olek obserwował go ze skupioną uwagą, ale również z pewnym zdenerwowaniem. W psiej duszy toczyła się ta sama walka co kiedyś. Dom i jego mieszkańcy działali na niego jak biegun magnesu, ale w dali znajdowała się równie potężna siła. Poszczekiwał co chwila w stronę domu, zawracał do niego, lizał rękę gospodyni i znowu zajmował swój „punkt zerowy” na drodze. Właśnie wtedy zjawił się przed nim Jędrek, którego przygnała ta sama troska o niego co Olka.

Olek w chwilach rozterki drapał się po głowie. Zrobił to i teraz.

— Wiesz co — rzekł — nie spaliśmy z matką całą noc. Ona i ja nie mamy już żadnych wątpliwości... Rozumiesz? Nie uspokojmy się przedzej, aż ta sprawa się zupełnie wyjaśni. Patrz na Kaja, może już za minutę puści się do niego. Jędrek...

— Chcesz coś powiedzieć.

— A gdybym poleciał za tym Kajem? Wujek utrzymuje, że to ze sto kilometrów, ale ja myślę inaczej. On zatrzymał się w pobliżu jakiejś kopalni. Może nawet niedaleko...

— Nie wiem, czy Kaj będzie na tyle cierpliwy, by się dostosować do naszego chodu. Mógłbym się bowiem do was dołączyć, jeno trzeba by zawiadomić moją mamę, że udajemy się w nieznanne. Jutro jest niedziela, czas więc na odrobienie lekcji...

Jędrek pobiegł do domu, a Olek udał się do matki, żeby ją przygotować na swą wędrówkę z Kajem. W pierwszej chwili sprzeciwiała się odruchowo temu przedsięwzięciu, ale potem uśmiechnęła się przyzwalająco. Olek rzucił się na ulicę, ale Kaja już tam nie było.

Upłynęło znowu kilka dni. W tym czasie Olek i jego matka byli prawie pewni, że pies wróci. Istotnie, w czwartek Kaj wtargnął z hałasem do kuchni. Był zmęczony, ale nie wyczerpany. Po żywiołowym przywitaniu pies poszukał swej miski. Gospodyni naląła do niej zupy z obiadu, którą Kaj spożył z przyjemnością. Plecionkowa pogładziła jego głowę, a wtedy zauważyła na szyi psa nową obrozę. Zdjęła ją szybko i podała Olkowi. Chłopiec krzyknął

głosem od serca:

— Jest! Mamo, jest adres!

— Jaki adres?

— G. M. Makoszowy.

— Pokaż.

W sobotę po południu chłopcy wyruszyli pociągiem do Makoszowów. Kaj, któremu przepisy kolejowe zabraniały towarzyszenia przyjaciółom w przedziale, wgramolił się z odrazą do klatki dla psów. Nieletni detektywi dążyli do celu z pewną obawą. Wytrącili bowiem psa z właściwego tropu, a nie wiedzieli nic o niepojętym jego instynkcie, który sprowadza go do domu opiekuna z trasy przebytej w skrzyni i nigdy nie widzianej.

Gdy wysiedli na stacji, pies wyswobodzony z dusznego schowka, biegł posłusznie obok nich. Zdawało się, że to oni są jego przewodnikami. Wkrótce już jednak chłopcy spostrzegli, że Kaj wysunął się naprzód, że to on dokonuje wyboru drogi, że prowadzi ich pewnie i nieomylnie, że mija kopalnię i wiedzie między pola. Minęli kilka zagajników, a zza ostatniego wysunęła się wiejska zagroda. Pies wbiegł na podwórze, machnął przyjaźnie ogonem na powitanie ludzi, którzy się tam znajdowali i wprowadził chłopców do wielkiej sieni, pełnej uprzęży, przesyconej zapachami koni i krów. Po wąskich, drewnianych schodach chłopcy weszli na mroczne poddasze. Tutaj pies uderzył piersią o klamkę ciemnych drzwi. Gdy odskoczyły, chłopcy stanęli na progu niewielkiej izdebki. Stąd ujrzeni bardzo wyraźnie sylwetkę Meyera siedzącego plecami do nich przy stole z drewnianymi figurkami. Pies wykonał dokoła niego swe zgrabne płąsy, potem umieścił mu się na kolanach.

— Ach, ty niewierny Kaju — strofował go rzeźbiarz.

Obróciwszy się do drzwi spostrzegł chłopców. Siedział kilka sekund w milczeniu, oni również nie umieli wykrztusić słowa. Tę napiętą ciszę przerwał dopiero Meyer.

— Olek — wyszeptał jakby się dziwił swemu głosowi, a potem: — Jędrak.

Olek układał sobie w drodze całe wzruszające przemówienie, ale wszystkie kunsztowne słowa wydusił obraz człowieka, którego darzył sympatią, a jednocześnie jakby bał. Tkwił więc nieruchomo w jednym miejscu i wytrzeszczał na niego oczy. Jędrak pierwszy się opamiętał. Rzecz szybko:

— Przywieźliśmy Kaja, proszę pana.

To krótkie oznajmienie rozluźniło hamulec onieśmienia Olka, uśmiechnął się trochę nieporadnie, potem wypowiedział coś tak niesłychanego, że uderzyło to w Meyera jak obuchem. Zmieszał się wyraźnie, a dopiero po chwili wymamrotał:

— Nie zrozumiałem cię, mój Olku.

Olek złożył ręce jak do modlitwy, ale był to ruch wzmacniający ów drugi okrzyk:

— Tatusiu, błagam cię, wróć.

Zrobił już dwa kroki, ale powstrzymał go sucho brzmiący głos rzeźbiarza podszyty głębokim wzruszeniem.

— Olku, nie jestem twoim tatusiem, choć... lubię cię jak syna.

— Ojczy...

— Nie, nie jestem twoim ojcem.

— Nie zdajesz sobie sprawy...

— Tak, wiem, że w moim życiu zagubiłem jakiś jego odcinek. Może bardzo ważny. Ale nazywam się rzeczywiście Gottlieb Meyer. Badałem już to wszystko. Czuję się Polakiem, a jednak papiery moje, dokumenty... mówią coś innego.

Meyer wstał, Kaj zsunął się z jego kolan i podbiegł do chłopców.

— Tak więc wędruję po świecie szukając tego zapomnianego odcinka. Nie wiem, czy go znajdę. Ale zawsze pamiętam, że ludzie mi dobrze życzyli. I was nigdy nie zapomnę...

## WYCIECZKA Z PRZYGODAMI

Pewnego październikowego dnia Piotruś Wałęga Wręczył chłopcom bilety na bezpłatną wycieczkę w góry, którą urządziła kopalnia dla swoich pracowników i ich rodzin. Tak więc rankiem, w cichą, trochę mglistą niedzielę stali wszyscy trzej na przystanku zasłanym rudym kobiercem liści. Niedługo potem nadjechał prawie bezszelestnie duży niebieski jelicz. Przez szybę uśmiechała się do nich Krysia.

— Nic nam pan nie powiedział — szepnął prędko Olek, gdy wchodzili do autobusu. — A co nasza panienka?

— Wszystko w najlepszym porządku — odparł technik w wybornym widocznie humorze. — Zdziwicie się, będzie jeszcze ktoś inny.

— Witam was serdecznie, Olek i Jędrzek — zawołała Krysia. — Mimo że uciekamy od siebie, los nas stale wiąże.

— Wiązałyby nas jeszcze bardziej, gdyby nie nauka, co nas pilnuje jak Burek podwórza — odparł Olek w swój zwykły plastyczny sposób. — No i gdyby nie pewne kłopoty rodzinne.

— Pewnie z wujkiem.

— Gorzej. Z sobowtórem mego ojca. Ale pani tego nie zrozumie, bo pani ma ojca.

— Olek, skąd ten gorzki ton?

— Tak — informował Piotruś niewyraźnie — Olek ma rzeczywiście swoje troski. Nawet nie bardzo się palił do tej wycieczki. Dopiero matka i wujek wpłynęli na niego...

Autobus przystawał co chwila na ulicach Szarej Wsi i zagarniał grupki wycieczkowiczów, wśród których był również pan Bąk z akordeonem. Na jednym z tych prowizorycznych przystanków dojrzał Jędrzek przez szybę okna dwie znajome dziewczynki. Wbił więc Olkowi łokieć w bok i pokazał je rozradowanymi oczyma.

— Poznajesz? — zapytała Krysia.

Zarumienione niespodziewanym snadź spotkaniem dziewczynki umieściły się prędko naprzeciw chłopców. Obie miały ze sobą dwie pojemne torby, wypchane zapewne jedzeniem. Olek na ich widok odzyskał znów swój pogodny nastrój.

— Pewnie na grzyby... — zauważył z wymownie utkwionymi w pękaty sakwach oczyma.

— Jedziemy przecież w Beskidy — rzekła rezolutnie Leosia.

— A tam zawsze są grzyby.

— O ile ludzie ich nie spłoszą. Wtedy uciekną w nieznaną, prawda, Jędrzek?

— Grzyby? — śmiały się dziewczęta. — Grzyby uciekną?

— No, widzieliśmy z Jędrkiem różne takie historie. Przyroda zawsze ma swe tajemnice. Trzeba tylko dopasować sobie odpowiednie okulary, żeby to wszystko spostrzec.

— Przeczuwam — powiedziała Małgosia zaintrygowanym tonem — że będzie to nowe bajeczne opowiadanie pełne niestworzonych rzeczy.

— Tak — przyznał Olek — teraz będzie to opowieść z dreszczykiem. Ale przedtem Leosia musi nam odpowiedzieć na pytanie o Archimedesie...

Obie dziewczynki zaczęły chichotać. Potem Leosia rzekła:

— Dlaczego Archimedes zawołał kiedyś: eureka? Nie wiemy. A pragniemy się tego dowiedzieć.

Wobec tego przyjaciele poczęli wyjaśniać, jak to Archimedes odkrył, że ciała zanurzone w cieczy stają się pozornie lżejsze. Gdzie odkrył? W wannie. Pędzi więc nagi na ulicę i krzyczy: eureka.

Naraz Olek zamilkł i niemal przytknął oczy do szyby. Coś tam przykuwało jego uwagę. Za sekundę zerwał się z siedzenia i żywo gestykulując pobiegł w stronę kierowcy.

— Stop. Zatrzymać wóz. Kaj.

Wielki jelec posłusznie zwolnił, wreszcie stanął.

— Co się stało? — zdziwiony kierowca spojrzął za siebie i spostrzegł, że jakiś rozczochrany chłopiec uderzył z impetem o drzwi i wylądował na krawędzi jezdni. Za nim rzucił się grubiutki pan Bąk, który łapiąc w przelocie małą gaśnicę i krzyżąc przeraźliwym głosem: „pali się”, wytoczył się niby eksplodująca baryłka na drogę. Było to hasło do ogólnego popłochu. Zaczęto się tłoczyć do drzwi i okien. Jakiś wyrostek śmignął między ludzi tarasujących drzwi i wypadł również na dwór. Ci, co. byli najbliżej okien, spostrzegli, że rozczochrany chłopiec pędzi z powrotem. Za nim z gaśnicą w ręku turlał się pan Bąk.

— Wariaci — odetchnął ktoś jakby tego wszystkiego nie zrozumiał.

— Piotruś — szepnęła Krysia — co się właściwie stało?

— Poczekajmy. O, Olek atakuje zgraję psów.

— No — śmiała się Małgosia — żeby z tego powodu zatrzymać autobus...

— Zaraz się wszystko wyjaśni — pocieszał wszystkich Piotruś — o, teraz naciera na Olka duże czarne psisko.

— Skonam ze śmiechu — weseliła się dalej Małgosia — cały autobus zamarł z powodu czarnego psiska. Boże, z tym Olkiem nigdy nic nie wiadomo.

— Gdzie się podział Jędrak? Tak, to on obok Olka. Pan Bąk, pan Bąk, widzicie?

— Leosia, można umrzeć z tego wszystkiego. Pan Bąk strzela do psów z gaśnicy!

Istotnie, pan Bąk uderzył białą pianą z gaśnicy w psich łotrzyków, w wyniku czego plac bitewny opustoszał. Polami sadziły kundle i kundliki. Pan Bąk wywijając bojowo gaśnicą wracał do autobusu. Za nim biegli chłopcy, Olek tulił jakieś brązowe futerko. Chlasnęły drzwi i wszyscy zajęli na powrót swoje miejsca. Olkowi kapały łzy na poranione uszy zgrabnego pieska, który drżał na jego kolanach.

— Olek — westchnęła Krysia — jaki on ładny. Czy to może wasz sławny Kaj?

Olek kiwnął głową i otarł łzy, których zaczął się wstydzić.

— Tak — wyjaśnił za niego Jędrak — to przecież Kaj. Pędził od pana Meyera do domu Olka, a te wiejskie włóczęgi go napadły, I wcale nie myślały rejterować. Dopiero pan Bąk swoim prysznicem rozpędził tę hałastrę na wszystkie strony.

Pasażerowie zaczęli się dopominać aby ruszyć wreszcie w świat, więc chwilę później autobus z rześkim warkotem jął się pięć na stromą górę. Dziewczynki zaopiekowały się Kajem, karmiły go kiełbasą, a potem łakociami. Z przodu dolatywał głos pana Bąka:

— Najpierw myślałem, że to autobus pali się z tyłu, bo widziałem tam kitę białego dymu. Dopiero później zorientowałem się, że to psia sprawa. Czy znam chłopca? Pewnie, że tak. Panie, w Leśniówce łowił ryby... Che, che, che... Nie mnie na to nabrać. Wierzę w cuda, ale w Leśniówce ryby...

Olek uspokoił się wreszcie. Dziewczęta nagabywały go o bajeczną opowieść, i chłopiec nie mogąc się wymówić rozpoczął historię o zaczarowanej nocy w zagrodzie Duszków. Przysłuchiwali się jego słowom również Krysia i Piotruś. Krysia dusiła uśmiezek na ustach, Piotruś zaś nie zdradził się nawet jednym drgnieniem twarzy, że był obserwatorem emigracji zakłętego świata. W końcu jednak zaczęto się śmiać, gdyż chłopcy zabarwiali swą niezwykłą przygodę własnymi humorystycznymi uwagami.

Tymczasem niebieski wóz przecinał zygzakami gąszcza złotozielonych wsi, wyskakiwał na pagórki, których było coraz więcej, spadał w doliny i znowu zdobywał pracowicie szczyty wzniesień. Dzięki jego wytrwałej, szturmującej jeździe wypęły wreszcie na sinym widnokręgu niebieskie kontury gór. Po blisko półtoragodzinnej jeździe jelec zanurzył się jeszcze raz w barwny drzewostan małej kotlinki i zarył się jak okiełznany rumak przed bardzo starą karczma. Grupę turystów objął od razu przewodnik i poprowadził dość stanowczo żółtą, wydeptaną drogą ku najbliższej górze. Ledwo wycieczka dotarła do szczytu łagodnej czapy wzniesienia, już wzbіл się gdzieś alarm, że nie ma pana Bąka. Nikt go nie widział. Nikt nie



wiedział, co się z nim stało.

— A miał nam przygrywać na akordeonie — przypominano sobie.

— No tak — rzekł przewodnik zawiedzionym głosem — w marszu muzyka zastępuje motorower. Szkoda, że nikt nie zauważył jego zniknięcia.

Zaczęto snuć różne domysły. Przypuszczano, że akordeonista rozstał się z autobusem na jednym z przystanków, lub po prostu wypadł. Ponieważ jednak kierowcy nie było wśród spierających się, nie można było ostatecznie rozstrzygnąć, co się stało z panem Bąkiem.

Dziewczynki serdecznością i gościnnością zaskarbiły sobie zaufanie Kaja. Dreptał więc gorliwie obok nich, a rozglądał się za swoimi przyjaciółmi jedynie wtedy, gdy byli zbyt daleko od niego. Tymczasem Olek nie był spokojny.

— Jędreku, mógłbym przysiąc, że on jest niedaleko.

— I ja tak sądzę.

— Prawda.

— Kto wie, czy nawet nie na dole.

— Ej, nie. Przecież Kaj biegł z innej strony.

— To o kim myślisz?

— Jędreku, zawsze o Nim. Nawet teraz źle śpimy z mamą. On, On...

— Myślałem, że o panu Bąku. Swoją drogą Kaj, wcale nie jest zmęczony.

— Nareszcie mówisz rozsądnie.

— No tak. Jest rzeński mimo psich tarapatów, więc nie biegł daleko.

Dłuższa, nieco męcząca wspinaczka, skłoniła wszystkich do założenia chwilowego obozu na skraju małej polany. Jedni kładli się na słońcu, inni okupowali cienie pod drzewami. Reszta rozbiegła się po lesie za grzybami. Przyleciało stamtąd zawodzące jodłowanie. Naokoło zaś wybuchały głośne śmiechy. Wreszcie ułożono cięty dowcip na temat zaginionego pana Bąka i podawano go z ust do ust.

Chłopcom się to nie podobało; prześladowała ich wrzawa, raziło zaśmieczone otoczenie.

— Olek, Olek — rzekł Jędreku — patrz, jak wygląda las i polana.

— Potem się dziwić, że... tamte istoty uciekają przed człowiekiem. Ale on je wszędzie dogania i ogłusza swoim hałasem.

— Olek, kto? — chciały wiedzieć dziewczęta.

— Ten drugi świat, którego teraz nie widzimy.

— Zresztą odłączmy się od nich. Nie wiem, po co w ogóle siedzimy w jednym miejscu — dąsała się Małgosia. — Pobiegnijmy do tej poręby. Przecież cudowny z niej widok, a jakie ostrężyny!

Kaj, wielbiciel obu dziewcząt, poparł zachciankę Małgosi wesołym jazgotem i puścił się za nią w fantastycznych podskokach. Jasna poręba pławiła się w blaskach jesiennego słońca. Nad zasiekami porudziałyich jeżyn zagłowały siwe kosmyki babiego lata, wysoko w granacie nieba kołował jastrząb, pod nim zaś, tuż nad ziemią, umykały milczkiem w stronę wsi wróble.

Nagle dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Stała skamieniała i wpatrywała się w jeden punkt jak sparalizowana. Wszyscy rzucili się w jej kierunku. Kaj był pierwszy na miejscu. Na chwilę i on znieruchomiał, potem jednak stał się piorunem, który uderzył w ów punkt. Ujrzano po chwili Kaja tańczącego w kółko i potrząsającego w pysku jakąś czarną pętlę.

Kaj — wrzasnął Olek i skoczył naprzód.

— Żmija — meldował Jędreku lakonicznie.

Pies oszołomiony hałasem Olka wyrzucił niebezpieczną pętlę i odskoczył w tył. Chłopiec porwał Kaja w ręce i drugi raz dzisiaj tulił go do siebie.

— O, Kaj, Kaj. Głupiutki Kaj. Nie wiesz, że to żmija?

Kaj jednak rwał się do Małgosi, która opowiadała Krysi swoją przygodę. Olek wypuścił go wreszcie z rąk i zbliżył do węża wijącego się i usiłującego resztkiem sił zanurzyć się w

suchej szczeci trawy.

— Kaj ją mocno potar mosił — rzekł Piotruś.

— Żal mi jej — powiedział Olek.

Żmija przepadła w zaroślach. Wszyscy teraz zwrócili się do Kaja, który się stał bohaterem dnia. Dziewczęta sięgnęły znowu do swych torb i obficie częstowały pieska ich zawartością. W końcu dzielny obrońca Małgosi zaprotestował i zeskoczył do stóp Olka.

Włączono się jeszcze po górach i napawano pięknymi widokami. Potem niespodziewanie donośnym buczeniem zarządzono odwrót do wsi. Śpiewano i żartowano. Olek zapomniał na chwilę o swoich głębokich troskach. Maszerował bowiem obok swego zarumienionego „Pogotowia Ratunkowego”, niosąc dziewczynce jej chudziutką już torbę. Małgosia wlokła się za nimi, narzekając, że ciąży jej sak, choć i on był mocno pomarszczony. Wtedy Jędrrek zdjął to „brzemie” z jej ramienia i obracał młyncem, aby pokazać, że dla niego to bagatela.

Wkrótce obaj przyjaciele znaleźli się znowu obok siebie. Poruszali się teraz wśród dorodnych buków z szkarłatnym dywanem liści pod nimi. Nagle Olek przystanął przed jednym z tych stalowych filarów.

— Jędrrek — rzekł — jesteśmy jakby w lesie karbońskim.

— Przecież to buki.

— I tu uwiecznię Kaja.

— Jak?

— W korze tego olbrzyma wyrzeźbię taki napis: BOH. KAJ RATUJE LEOSIĘ.

— Co to znaczy?

— Bohaterski Kaj ratuje Leosię. I do tego data.

— Ale on ratował przecież Małgosię.

— No, to można drugi napis zrobić. A wszystko zmieścimy w dwóch sercach. Rozumiesz? Kaj po prostu ratuje obie koleżanki. Rozumiesz?

— Nie. Olek, chcesz to wyrzeźbić w żywym drzewie. To niedobrze.

— Ale fakt uwiecznimy na zawsze. Kaj mojego t... jest bohaterem.

— Mojego „t”?

— Tak. Przecież wiesz, że to „t” nie daje mi spokoju, że mnie dręczy, że z mamą nie śpimy po nocach, że...

— Rozumiem cię, Olek. Dajmy jednak temu drzewu spokój. Potępił to kiedyś pan Wojtynek w szkole. Pamiętasz?... Nie wiem co by na to powiedział Piotruś.

— Podobałoby się to jednak Leosi i Małgosi. Jędrrek, dwa serca... dwa serca...

— Nie, ja rezygnuję z tego. My, którzy kochamy przyrodę...

Tę dramatyczną rozmowę spłoszyło nagle zziajane hhh, hhh, hhh... Był to Kaj. Wpadł on bez ceremonii na Olka i byłby go wyrzucił. Tuż za nim nadleciały z dala jakieś dziwne głosy, które tłukły się bez celu między sędziwymi bukami i odlatywały nic nie wskórawszy.

— Co to takiego? — zapytał Olek.

— Słuchajmy.

— Leekoo... Leekoo... ooo... Reek... Reek...

— Jędrrek, to echo. One wołają: Olek, Jędrrek.

— Wobec tego trzeba lecieć. Pewnie zmęczona i każe się nieść. Te dziewczęta mają takie kaprysy, że rozsądny człowiek dębieje.

Nikt się jednak nie kazał nieść, tylko dziewczynki chciały trochę poigrać sobie z echem. Przybyli wreszcie do wsi. Przewodnik wszczął gorączkowe poszukiwanie za panem Bąkiem. Pytano się i biegano na wszystkie strony. Kiedy nie dało to żadnego rezultatu, pomaszerowano do autobusu. Kierowca odemknął kluczykiem drzwi jelicza, a wtedy ryknęli wszyscy śmiechem. Pan i Bąk leżał na ostatniej ławie z akordeonem pod głową i chrapał z takim poświstem, że poruszała się firaneczka przy oknie.

## W PAŃSTWIE WIELKIEGO SKARBNIKA

Piotr Wałęga, nie wiedzieć czy to przez lekkomyślność, czy też z nadmiaru wiary w uczciwość Jędrka i Basi, zostawił starą lampę górniczą na etażerce. Zajmowała więc znowu owo honorowe miejsce, na którym kiedyś stała. Jędrak doskoczył do niej i wziął ją prawie nabożnie w ręce drżące z emocji i niecierpliwości, lecz struchlał na jej widok. Zaskoczył go wygląd długowiecznej lampy. Była szarozielona, popękana, przy każdym poruszeniu sypał się z niej mialki pyłek. Jędrka ogarnęła panika. Postawił spieszenie lampę i wybiegł na balkon.

Była śliczna październikowa pogoda, prawdopodobnie jeden z ostatnich dni złotej jesieni. Łagodne słońce wsiąkało w postaci złotego deszczu w zieleń i domy Szarej Wsi, rozpałało bajecznie kolorowe sady, przeświałało na wskroś brzożowe zagajniki. Cały ten cudny obraz nie przemawiał teraz do Jędrka. Pochwycił nerwowo białe chorągiewki i zatelegrafował do Olka:

„KATASTROFA LAMPA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE”

Już po paru minutach zadudniły schody. Olek wpadł jak artyleryjski pocisk do izdebki.

— Koniec przygodom — oznajmił Jędrak ponurym głosem i wskazał głową na lampę.  
— Ostrożnie, ostrożnie, bierz ją ostrożnie do ręki.

— Och — stęknął Olek i starł rękawem pot z czoła — musiał ten twój cacany wujcio zaniedbać lampę.

— Niby jak? — rozindyczył się Jędrak.

— Na pewno nigdy jej nie czyścił, nigdy nie oliwił — mówił Olek gorzkim tonem. — Ale co tu się dziwić? Romansował z panienką, która i tak nie wierzyła w nasze przygody: Nam zaś nie dowierzał. A jak: wiesz. Sprawa „t” wciąż jeszcze nie załatwiona.

— Jesteś niesprawiedliwy. Piotruś? — zdziwił się jeszcze bardziej Jędrak. — Nie było dnia, żeby jej nie dogadzał. Prawie się do niej modlił. Sam zresztą o tym wiesz. Olek, widziałeś, że kupił zamzowy płatek i polerował ją z prawdziwą czcią. Aż śmieszne to było. Olek, sam widziałeś, że błyszczała na podobieństwo lustra.

— Wobec tego co się z nią dzieje? — zawołał z rozpaczą Olek. — Akurat strajkuje, kiedy męczy mnie zagadka „t”. Kaj znowu był. Rozumiesz?

— Olek, ja inaczej myślę. Może jeszcze nie wszystko stracone. Zdradza ją jednak jej wygląd. Ona traci widocznie swą moc.

— Moc, moc... — mrucał przyjaciel i krzyknął nagle: — Masz zapalniczki?

Jędrak podał mu je bez słowa. Nie miał nadziei, by próba się powiodła, ale czekał. Olek obracał lampę na wszystkie strony jak uczeń ślusarski nie znanym mu narzędziem. Potem żgnął porywczą jej śmieszny dziob płomykiem.

— Żyje — szepnęła Jędrak, ale wciąż jeszcze bez wiary.

Olek spojrział na niego bez wyrazu, następnie zacisnął zęby, wgniół dolną część lampy w brzuch, krzywił się i próbował zakręcić.

— Olek — jęknął przyjaciel trwożnie — uważaj, rozleci się w atomy.

— Niech ją licho porwie — zaklął chłopiec. — Mam jej dosyć.

— Może lepiej poczekać na Piotrusia.

— Patrz!

Trzasnęło, jakby w pobliżu piorun uderzył. Ku sufitowi trysnął gejzer przeraźliwych płomieni. Ale potem działo się inaczej niżli dawniej. Gama światła tworzyć się poczęła z odwrotną mocą. Od najjaskrawszych do mdłych. Wygaszały stopniowo wszystkie jasności. Nastąpiła w końcu noc.

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł Olek. — Jeszcze nigdy tak nie było. Gdzie jesteśmy?

— Przy hałdzie. Na pomoście kolejki linowej.

— Szaleństwo — zawołał Olek. Głos jego był zdławiony i drżał wzruszeniem. Ręka chłopca wskazywała na prawo.

Na linie wisiały żelazne wagoniki, których tam wczoraj nie było. „Rufy” i „dzioby” tych powietrznych wehikułów jarzyły się seledynowymi źrenicami. A wszystkie te światła, nanizane jak paciorki na nitce, ciągnęły się aż do widnokręgu. Był to jeden z tych niezwykłych, a niezapomnianych widoków, jakie chłopcy tak często widzieli z pomocą lampy.

— Jędrak, siadajmy — rzekł Olek — wygląda to tak jakby dla nas przygotowane. Rozumiesz co z tego?

— Nic a nic. Ale i mnie się wydaje, że to dla nas. Olek, strach mnie bierze.

Ale Olek usadowił się już w czarnym pudle. Jego białe zęby błysnęły z cienia w uśmiechu zadowolenia. Uwikłali się w nową przygodę, a Olek przecież to lubił. Jędrak usadowił się więc obok niego. Jakby na to tylko czekali. Drewniany pomost zadudnił pod czyimiś krokami. Olek wystawił głowę i wtedy ujrzał nad nimi wielką postać w białej górniczej odzieży z śnieżnym kapiszonem na głowie.

— Jeśli nie jest prawdziwy Skarbnik — szepnął Jędrkowi do ucha — to niech mnie cieleń ogonem zamiele. Ma taką lampę jak nasza...

„Tylko silniej świeci” — pomyślał Jędrak bojąc się wypowiedzieć to głośno.

Wielkolud stanął obok chłopców, a wtedy owionęło ich tchnienie głębokiej kopalni. Ale on jakby ich nie zauważył. Wypatrywał długiego sznura zielonych światełek na linie kolejki. Olek bał się spojrzeć w jego twarz, ale mimo to pochwyił kącikami oczu siwą, długą brodę, która sięgała nieznajomemu niżej pasa. Poza tym płynęło od tej dziwnej postaci jakieś dostojęstwo i onieśmielenie tak duże, że chłopcy bali się poruszyć.

Właśnie zjawa podniosła swoją zabytkową latarkę górniczą, a strumień jej światła popłynął wzdłuż rozjarzonych paciorków. Teraz wszystkie te robaczki świętojańskie mrugnęły jakby porozumiewawczo. Był to zapewne sygnał do odjazdu, bowiem wagonik chłopców ruszył nagle z miejsca. Dziwne to było, bardzo dziwne. Stara, martwa od lat kolejka ożyła. Dał się słyszeć raźny klekot kół na grubych szwach liny. Pasażerowie tej kolejki oddalali się od Skarbnika, który kołysał bez przerwy lampą.

Kolejka linowa jazgocząc wesoło pędziła w stronę kopalni, roziskrzanej jak niebieski firmament. Ale nie tam zmierzała, zatoczyła bowiem łuk i rozhulała się w kierunku starych szybów, prosto na stromy pagórek. Jędrak krzyknął:

— Olek, schyl głowę!

Było to wypowiedziane w porę, bo po żelaznej skrzyni chlasnęły gałęzie krzaków i jęły ją z wściekłością biczować. Ale już po sekundzie żelazny wąż wagoników wsunął się w sztolnię jak nóż w bochen chleba i spieszył dalej.

— Jindrichowa sztolnia... — oznajmił teraz Olek.

Ogarnęła ich cisza, głęboka i niezwykła. Powietrze w sztolni było wilgotne, piwniczne. Jej ciemności wyłapywały lampy umieszczone na wózkach.

— Patrz — dziwił się Olek — nie zaważyła się, choć taka stara.

— Wykuto ją w skale.

Ale kolejka linowa zadziwiła ich znowu. Jak spoza aksamitnej kurtyny wyskoczyła naraz inna scena. Było to podszybie kopalni. W przestronnej komorze panowało oszałamiające życie. Z chodników wpadały tutaj tasiemcowe pociągi z węglem, a puste wdzierały się w głąb podziemi.

Wśród ogromnego hałasu uwijali się czarni ciskacze i manipulowali koło wagonów. W tej gromadzie ludzi Olek poznał swego znajomego. Podniósł do niego rękę i wrzasnął na całe gardło:

— Fedruj, a nie gap się, Zelmek!

Zelmek pchnął wóz nogą, aż zachłysnął się metalicznym jękiem, potem zrobił w tył

zwrot i wystawił na widok Olka tak baranie oczy, że chłopak parsknął śmiechem. Młody ciskacz zupełnie wytrącony z równowagi powiedział do kolegów:

— Żeby to nie było na podszybiu, powiedziałbym, że to po prostu Olek Plecionka.

Kolejka obrała następnie inną trasę, mianowicie wtargnęła nieoczekiwanie w poprzek do obudowy, w sam rdzeń węgla. Chłopcy spotykali umorusanych ludzi, poczwarne wozy i lokomotywki. Niektórych górników poznawali, a Olek witał ich takimi samymi okrzykami jak Zelmka. Tymczasem obrazy wciąż się zmieniały. To wdzierali się w pochylnie, to mijali ustronne szybiki, gmatwaninę przedziałów drabinowych, to znowu głośny szyb, potem taśmociągi z czarnym nurtem węgla. I w takiej to chwili Jędrak dojrzał za węglowym filarem dwóch jakby przyczajonych górników.

— Hej! — zawołał swawolnie Olek.

Odpowiedzią było kilkakrotne echo. Jędrak wychylił się cały, bo poznał jednego z górników. Był to jego ojciec.

— Tatusiu!

— Jędrak — krzyknął odruchowo górnik.

— Tak, to ja: Jędrak.

— I Olek — dodał przyjaciel.

— Czy widzisz mnie, tatusiu?

Górnik oglądał się zdziwiony dokoła, ale nie spostrzegł nikogo, więc w końcu odparł:

— Nie.

Teraz z kolei Duszka powiedział do swego towarzysza pracy:

— Przysiągłbym, że słyszałem głos Jędrka.

— Ii, to ci tam za nami hałasują.

— Odbywamy cudowną podróż po kopalni — telefonował Olek za pomocą tuby z rąk.

— Nic nie rozumiem. Co to wszystko znaczy?

— Czary — śmiał się Olek.

— Do widzenia, tatusiu.

Powietrzem targnął ryk stu potworów. To odstrzelono w przodku węgiel. Kolejka jak żywa istota umknęła przed drugą kanonadą. Był to hurkot walących się brył. Nieco później mroki podziemia pojaśniały o jeden ton. I odtąd jakby dniało w kopalni. Ciemność przykucała, malała, kurczyła się, w końcu zgasła niby ogarek. Nastął wesoły, rażny dzień. Korytarz, którym pędził zaczarowany pociąg rozszerzał się, znikwały chropowate ściany, a zastępowały je filary, pałace się złotym blaskiem.

— Jędrak — gorączkował się Olek — nareszcie coś dla. oczu! Może to złoto? Wyskoczyć?

— Chcesz zostać na wieki w kopalni?

— Niby tak. Przeczuwam, że to skarbnikowy zamek. Uważaj na złoto.

Minęli nagle przecudnie lśniąca bramę, a potem równie niespodziewanie znaleźli się w olbrzymiej sali. Wśród tego rażącego blasku nie zauważyli zrazu, że ta ogromna przestrzeń przed nimi to nic innego tylko znana im puszcza karbońska, różniąca się jedynie od swego pierwowzoru tym, że przesiąknięta była ciepłem złota.

— Jędrak, Jędrak — szeptał z zapalem Olek, gdy wreszcie odkrył, czym jest otoczenie — poznajesz? Lepidodendrony, kalamity itede. Wszystko szczerze złoto. Złotooo!

Pod kolumnami złotych drzew stały białe posągi z siwymi brodami. Chłopcy zwrócili przede wszystkim uwagę na ich lampy górnicze. Stanowiły one kolekcję różnorodności, gdyż były między nimi lampy olejne, karbidówki, benzynówki a nawet latarki elektryczne.

— Ha — mówił znowu Olek — Skarbnicy. Nie przypuszczałem nigdy, że jest ich aż tyle.

Nagle rozległ się potężny głos. Zwielokrotnił się on jak górskie echo, a jednak był wyraźny i zrozumiały. Mówił Wielki Skarbnik siedzący na tronie wykutym w połyskującym

antracycie.

— Bracia, wzywam was, abyście zdali sprawę z waszego stróżowania koło naszych zagród węglowych. Coraz trudniej, coraz mozolniej powinności te spełniać, albowiem w państwo nasze wkraczają przemożne, nowe obyczaje, wobec których bezradni stajem. Zmienia się hań świat na górze, a my, zwierciadło tej góry, czynim to co on. Lube, drogie druhy, przystąpmyż tedy k rzeczy. Bracie dziejopisie, zaczynaj swoją koleję.

Na to ożyła kamienna figura po prawej stronie Wielkiego Skarbnika. Dziejopis otworzył wielką księgę i objął spojrzeniem złotą salę.

— Słusznie zaznaczył Wielki Skarbnik, że stajem się igraszką ludzkiej mody. Jednak w skarbnikowskim ordynku obowiązuje nas stary zwyczaj. Dotyczy on nas wszystkich: i Skarbników, i Matuszów rybnickich, i Pusteckich cieszyńskich, i wszelkich pozostałych górniczych stróżów.

— Hej, gospodarzu zagrody zwanej Marcel.

Pod lśniącym blokiem złotego kruszcu odezwał się gromki głos:

— Jeśm.

— Zagroda węglowa Rydułtowy.

— Jeśm.

— Zagroda Ignacy.

— Jeśm.

— Nowa zagroda Moszczenica.

— Jeśm.

— „Jeśm” — szeptał Olek — to pewnie: jestem albo jesteśmy.

— Zagroda węglowa Chwałowice — zawołał poważnym głosem dziejopis skarbnikowski.

— Jeśm.

— Olek — szepnął Jędrrek — licz kopalnie. Dowiemy się, ile ich jest w Polsce.

— Dobrze — zapalił się Olek do Jędrkowej propozycji i — dyń, dyń, dyń — kilka grudek złota zadzwoniło o blaszane dno wagoniku.

— Ach, co robisz? — złościł się Jędrrek. — Kradniesz złoto.

— Używam go tylko jako liczmanu. Przy pomocy złota ludzie najlepiej rachują.

— Ale bierzesz po trzy grudki na kopalnię.

— Jędrrek, wtedy się już nie pomylę.

Tymczasem Wielki Skarbnik prosił rządców zagród węglowych o sprawozdania. Jeden z brodatych posągów pod kolumną przemówił głosem podobnym do wichru, porywistym i oburzonym na świat i jego ludzkie sprawy.

— Zagroda dzisiejsza? Któż ją jeszcze może porównać z dawniejszą? Wzrzała się w nią maszyna, bestia, która drwi sobie z ciszy państwa podziemnego. Wgryza się hałaśliwie w węgiel, szczeka, wyje, zgrzyta. — Górnik? — mówił Skarbnik jakby sam ze siebie drwił. — Nie szuka już pomocy Matusza. Sam prorokuje za pomocą szklanych rurek, gdzie jest gaz. Przepędza go strumieniem powietrza. Co my? On sam dławi pożary w zarodku, obezwładnia żyły wodne, nie ucieka przed tapaniem.

— To są wszystkie kopalnie? — zapytał cicho Jędrrek.

Olek mrugnął okiem, potem odparł jeszcze ciszej:

— Razy cztery albo pięć.

— Chcesz powiedzieć: podzielone przez cztery lub pięć.

— Wszystko jedno, byle złoto.

Następny Skarbnik opowiedział o jedynym wypadku, kiedy go wezwano na pomoc.

— Był to wałkoń — rzeki ponuro — który chciał od Skarbnika złota. Tedy ja poprowadziłem go przez wyrobiska do mojej złotej komory. Nie czekał nawet na mnie, bym od niego odebrał przysięgę iż nigdy nie powróci do mroków naszego państwa, tylko wpychał

zimny kruszec do kieszeni, za koszulę, do butów i wreszcie do kasku. Obrzydliwiec. Według starej skarbnikowskiej miary winien był wrócić na ziemię po stu latach. Jego wszakże znaleźli już następnego dnia. Tyle że miast złota węglem był obłożony.

— Olek — szepnął już odważniej Jędrak — patrzysz się w tę złotą kupę jak pies w kość.

— Jędrak, jestem bezinteresowny. Ale załaduję to wszystko. Rozumiesz? Rozwiążę złotem naszą sprawę „t”. Złotem omaścisz wszystko, mówi mój wujek. Gdy „t” nareszcie wróci, nie będzie już potrzebował pracować.

I Olkowe ręce zagarnęły złote liczmany kopalń. Potem przysła kolej na większe bryłki. Chłopiec układał je przed sobą, za plecami, wreszcie pokrywał nimi swoje kolana. Wagonik zappełnił się już do trzech czwartych złotą zmorą. Jędrak ponownie zaprotestował:

— Zadusisz nas swoim złotem.

— Jędrak, błagam cię, zrób to dla „t”.

— Więc dobrze. Ale sam mówiłeś nieraz, że skarbnikowe złoto to czysty węgiel.

Tymczasem jeden ze Skarbników referował sprawę tzw. postępu w kopalni. Mówił więc o kombajnach węglowych, kaczych dziobach, wrębiarkach i, co momentalnie wszystkich opiekunów zagród węglowych podnieciło, o monitorach wodnych. Skarbnik jednej z katowickich kopalń opowiadał z humorem o roli dowcipów i żartów w życiu górnika. Bytomski duch podziemi, który w ciągu wieków zżył się tak ze swoją zagrodą węglową, że zupełnie przyjął mazurzącą gwarę i nią się posługiwał w sali, opowiedział braciom historię strasznego pożaru w kopalni, z którego wyprowadził gromadkę górników. Ale zasługę ratunku przywłaszczył sobie jakiś „indzienier”, który dowodził, że to plan uratował ludzi.

Ostrawsko-karwiński Pustecki używał znowu mowy nader rubasznej, ba, nie wstydził się też najprostszych górniczych przekleństw.

Wielki Skarbnik zarządził rozmowę, czyli... dyskusję o życiu kopalni i nowych zadaniach braci Skarbników. Ludzie budują kopalnie odkrywkowe, w których prawdziwy Skarbnik nie ma nic do szukania.

Olek zappełnił już cały wagonik żółtym kruszczem. Chłopcy siedzieli na nim zupełnie widoczni, lecz sędziwi władcy grot węglowych nie spojrzeli ani razu w ich stronę.

— Ach, Jędrak, nie uwierzysz, jak się cieszę. Będzie futro i lisia czapa dla wujka. No i „t”. Kaj otrzyma co dzień porcję kości.

Wtem kolejka zaskowityła w swój charakterystyczny sposób i skoczyła naprzód. Niebawem pochłonął ich znowu labirynt chodników i tuneli. Ale Olka nic z tego, co spotykali i widzieli, nie interesowało. Cała jego uwaga skupiała się na złocie.

— Jędrak — odezwał się po pewnym czasie — czy to złotko pod tobą jest jeszcze złotem? Czy ci się nie wydaje, że mętnieje? Nie? Że niektóre grudki podobne są do okruców węgla?

— Tak — odpowiadał Jędrak machinalnie — to wszystko jest złoto.

— To fajnie. Nie masz pojęcia, jak nie cierpię od pewnej chwili węgla. Nie znoszę go.

— Olek, robisz krzywdę węglowi. Inaczej mówiłeś wczoraj jeszcze. Złoto cię osłepiło.

Kolejka pędziła dalej. Zgrzytała podobnie do wytrwałego świdra i wdrażała się w kamień wytrwale, bez zmęczenia. Ale dla Olka istniało tylko złoto. Obserwował je też bacznie i podejrzliwie. Nagle więc krzyknął:

— Jędrak, Jędrak, spojrzj! Czy to nie węgiel?

— Tak, to na pewno węgiel.

— A powstrzymywałaś mnie, żeby nie brać tyle złota.. I pomyśleć, co by było, gdybym wziął tylko grudkę.

Węgiel pofrunął z wagoniku prosto pod nogi pewnego staruszka, który statecznie kroczył krajem drogi polnej. I dziwcie się: staruszek schylił się, pozbierał skrzętnie czarne grudki i włożył je... do swojej czapki.

I znowu zanurzył się czarodziejski pociąg pod ziemię, mijał dalsze kopalnie pełne pracowitego życia, a potem wyskakiwał jakby dla zaczerpnięcia tchu na wolne przestrzenie. Były to najczęściej typowe dla Śląska obrazy: osiedla, kominy, hałdy, łuny koksowni, fabryki, odlewnie, oazy rachitycznych sosen, ulice i uliczki. A wszystko widoczne jakby we dnie, jakby na dłoni. Dla Olka nie istniało to wszakże. Trawiło go jedno wielkie zmartwienie. Jego złoto zamieniało się nieustannie w węgiel.

— Ach, Olek — wzdychał Jędrzek z oczyma wlepionymi w ten kalejdoskop budowli, stożków, żelaza i ognia — wszystko to z jednego Strapiciela.

Olek w odpowiedzi cisnął kilka tłustych brył na ślepiącą uliczkę. A właśnie tam wysypywała dziewczyna popiół do śmietnika. Czarne kęsy zagroziły jej drogę. Uradowana wrzuciła je do swego wiadra.

— Jędrzek — stękał Olek — nie mogę w to uwierzyć. Węgiel, węgiel... Ginie moje złotko.

Kolejka linowa utykała, jej równy bieg strzepił się i rwał. Mijała ogromne zakłady koksownicze. Z ich objęć wyswobadzał się właśnie długi pociąg z koksem, siarczanem amonu i benzolem.

— I to stworzył Strapiciel — zawołał Jędrzek.

— Ginie moje złoto kochane — jęczał Olek.

Grad czarnych kamieni spadł u podnóża gigantycznej hałdy. Ludzie, którzy tam akurat zbierali węgiel, rzucili się na dar Olka.

— Gdybym teraz jeszcze stanął w Szarej Wsi — mówił Olek ponuro — uratowałbym resztę skarbu. A sprawa „t” byłaby na dobrej drodze.

Ta myśl podziałała na niego jak natchnienie. Podniósł się bowiem i krzyknął w roziskrzoną dal:

— Wielmożny panie Skarbniku!... Ja muszę wysiąść!...

Jędrzek ściągnął go siłą z powrotem i zatkał mu gwałtownie usta. A kolejka spiesząc się znowu przeleciała jak meteor obok lasu masztów i pajęczyn drutu. Liczne, jaskrawe lampy przesiewały w nich swoje elektryczne promienie.

— Elektrownia — anonsował Jędrzek. — Karmi się ją węglem ze Strapiciela.

— Jędrzek, jestem strasznie zmartwiony. Nie widzisz, że stale wyrzucam węgiel.

— A ludzie chętnie się po niego schylają, choć to nie złoto.

Z ciemnej nocy wyrastać zaczęły jakieś niezdarne wieże, koronowane świetlistymi aureolami. Łączyły je żelazne mosty, na nich toczyły się załadowane wywrotki, które wypływały swe nabrzmiałe wole w gardziele wież i odskakiwały. Po nich wyskakiwały hale z wielkimi krwawymi oknami i dziedzińce rozdzwonione metalicznym brzękiem, gorejące pręgami żarzących się szyn.

— Wielkie piece i stalownie — rzekł Jędrzek. — Wszystkim dał życie Strapiciel.

Olek jednak mścił się na swoim złocie. Kopał je wściekle, wreszcie wygarnął na mijający zaułek. Szła tam właśnie jakaś biedna kobiecina, objuczona tobołami. Na widok licznych grad węgla przystanąła i układać je zaczęła w płócienną torbę z ziemniakami.

Jędrzek zmęczony długą jazdą, ukołysany monotonią ruchów żelaznej skrzyni, począł walczyć z wzbierającą sennością. Oczy kleiły mu się tak, że otwierał powieki palcami. Ale w końcu zmorzył go sen tak ciężki, że odgrodził się całkowicie od świata rzeczywistego.

Olka podtrzymywał upór i pragnienie uratowania reszty złota. Co chwilę jednak wyławiać musiał czarne kaski, które następnie ciskał byle gdzie. Gniew i zawód wyczerpały jednak i jego. W końcu sen pochłonął pragnienia i zmartwienia.



## BŁOGOSŁAWIONA PAMIĘĆ

Chłopców zbudził nagły chłód. Słońce, podobne do talarka marchwi, schodziło jakby po stopniach do piwnicy ziemskiego gmachu. Na chorych, poskręcanych sosnach ugoru stado wróbli wyzywało zawzięcie na gromadę mazurków, które uciekały na ścierniska wobec przewagi krewniaków.

Olek wrzasnął i skoczył na równe nogi. Złoto. Co się stało ze złotem? Jędrrek schylił się i podniósł węgiel. Czarny, lśniący węgiel.

— Węgiel.

— Widzę — odrzekł cierpko Olek. — Wyrzuciłem tego śmiecia całą furę, ale chyba się uchowała jakaś grudka...

— Nie, Olek, jest tylko węgiel. Widzisz?

— Te wszystkie klechdy o Skarbnikach to bzdury. Mówię ci to, Jędrrek. Nikt mnie już nie nabierze na górnicze bajki.

Milczeli przez chwilę, potem spojrzeli na siebie — chwila wzajemnego badania — i... ryknęli jednym ogromnym śmiechem. Spozierali wciąż na siebie, a wtedy ogarniała ich nowa fala szalonego śmiechu.

— Hii, jakiś czarny. Ktoś cię pastą wyglansował...

— Kominiarczyk Sadza...

Nawet zadyszane słońce, stojące u kresu swej wędrówki, uśmiechnęło się na widok umorusanych chłopców. Ale oni nagle spowaźnieli. Prędko podbiegli do małej przykopy z wodą i poczęli się chlustać obficie i z zacierzowaniem. Po tej czynności Olek wysunął się naprzód. Niósł lampę, lecz nie myślał o niej. Jędrrek kroczący tuż za nim, zadrżał nagle.

— On — szepnął. — Olek...

— Kto?

— „T”...

Do nich zbliżał się rzeczywiście Meyer. Poznał ich dopiero w ostatniej chwili. Wtedy zgasł jego zakłopotany uśmiech, a spojrzenie zatrzymało się na Olkowej lampie.

— Co to jest? — zapytał, jak gdyby nigdy podobnej rzeczy nie widział.

— Lampa...

— Jaka lampa?

— Górnicza. Stara lampa olejna.

— Lam-pa, lam-pa, lam-pa...

Meyer powtarzał ten wyraz jakimś zamierającym głosem, aż przeszedł w szept długi i beznadziejny. Oczy stanęły mu słupem, były dalekie i nieobecne.

— Pokaż — powiedział Meyer krótko.

Olek podał mu lampę, ale truchlał na myśl, że rozkruszy się ona w jego niepowołanych rękach. Meyer oddychał szybko jakby go trawiła gorączka, potem zakołysał lampą na wysokości oczu.

— Lampa, lampa — szeptał. — W rękę lampa... — Olek, coś się ze mną dzieje...

— Co, proszę ta... pana?

— Czy masz jeszcze inną lampę?

— Wujek wyrzucił swoją na strych.

— U nas też jest lampa górnicza — wtrącił Jędrrek.

— Masz — rzekł Meyer zawiedzionym głosem.

Olek nastawił ręce jak chochlę, lecz lampa wymknęła się mu z rąk i trzasnęła o kamień. Obaj chłopcy krzyknęli przeraźliwie. Sięgnęli po nią, ale nie było już po co. Lampa nie istniała. Na jej miejscu widniała szara kupka. Olek zaszlochał tak głośno, że ulitowałby się

kamień.

— Nie chciałem tego — rzekł Meyer. — Bardzo mi cię żal, Olek. Bardzo mi żal...

Widać było, że Meyer przeżywa coś bardzo głęboko. Oczy mu pały, a oddech był świszający i przyspieszony. Tymczasem chłopcy opadli na trawę i utkwili skonsternowane spojrzenie w szczątkach lampy. Jędrak począł je przesiewać przez palce. Było to oczywiście bezcelowe. Siedzieli więc milcząc do chwili, kiedy Olek zniechęcony wstał.

— Idziesz? — zapytał Jędrak.

Olek na sekundę zatrzymał pełne niepokoju spojrzenie na postaci Meyera, potem ruszył bez słowa ku Szarej Wsi.

— Dokąd lecisz, wariacie? — krzyknął za nim Jędrak.

— Wróć. Czekajcie na mnie. Pan też.

Meyer przez cały czas nieobecności Olka stał oparty na lasce. Milczał. Czoło jego ściągnięte było głębokimi zmarszczkami. Jędrak obserwował go spod oka i doszedł wreszcie do przekonania, że ten dziwny człowiek jest chory. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się niezręczna, więc postanowił się wycofać. Ale wtedy wynurzył się zza górki Olek.

— Oto ona, proszę pana — rzekł.

Meyer wyciągnął drżącą rękę po lampę. Olek dodał szybko:

— Mamie nic nie powiedziałem, proszę...

Pan Kaja wpatrywał się intensywnie w lampę górniczą. Jego czoło i skronie zrosiły się potem. Chłopcy spostrzegli ku swemu zdumieniu, że obrócił się i idzie tam, gdzie była stara sztolnia.

— Boję się go — wyszeptał Jędrak.

— Nie trzeba się go bać. On sobie coś przypomina.

Meyer znikł w krzakach. Chłopcy ponownie usiedli na trawie. Czekali. Upłynęło już sporo czasu, słońce krwawym brzeżkiem dotykało horyzontu, a Meyer nie wychodził.

— Dlaczego nie wychodzi? — zapytał niespokojnie Jędrak.

— Wiem już, szuka tego, co zgubił. Och, Jędrak... Dobrze, żeśmy wtedy do niego pojechali.

— A gdzie Kaj?

— Jest w domu u mamy.

Czerwony pieniążek na zachodzie wsuwał się powoli jakby do skarbonki. Została go już tylko połowa. Na polach dogasały ogniska, a ich długie, szare kity wypełzały aż na ugór. Wreszcie słońce znikło. Pozostała po nim krwawa blizna.

— Olek, chodźmy za nim.

— Nie, poczekajmy jeszcze.

Zmierzchało się już na dobre, gdy krzaki zachrząściły i wyszedł z nich Meyer.

— Co on niesie?

— Boże, Jędrak. Znalazł.

— Ale co to jest?

— Druga lampa. Idźmy za nim. Widzisz, że kieruje się ku kopalni?

Przystosowali swe kroki do jego powolnego, jakby macającego, chodu. On zaś szedł jak lunatyk, jak somnambulik. W prawej ręce kołysały się dwie lampy górnicze. Odprowadzili go aż do portierni. Meyer rozmawiał długo ze strażakiem, wreszcie znikł w wąskim przejściu. Było już zupełnie ciemno, gdy znowu wyszedł. Ale jego droga powrotna nie prowadziła do Grzeni, obrał kierunek na osiedle. Miął je i powędrował do jasnego domku.

Olek denerwował się coraz bardziej. Teraz Jędrak musiał go powstrzymać, by nie biegł jak dziki osioł. Słyszeli jak zaterkotała furka. Kaj szczeptał gdzieś w głębi krótko i ostrzegawczo. Meyer wszedł do sieni. Chłopcy byli tuż za nim. Wreszcie otworzył drzwi kuchni i stanął na progu.

— Jędrak — Olek uszczypnął przyjaciela z całej mocy.

Kaj wyskoczył naprzeciw swego pana. Ale on go nie widział.

W kuchni, oparta o stół, stała matka Olka. Jej wielkie oczy zwrócone były na nieoczekiwanego gościa. Oboje stali minutę, dwie, może więcej w milczeniu. Potem Meyer rzekł jakimś nieznanym, głębokim i pewnym głosem:

— Dzień dobry, Marto.

— Dzień dobry, Józefie.

Gość zbliżył się do niej i pocałował w usta.

— Hura, hura!... — rozkrzyczał się Olek w sieni. — Niech żyje „t”! — i wpadł jak bomba za ojcem do kuchni.

Matka, rozpromieniona cichym szczęściem, skarciła go jednak wzrokiem za ten głośny objaw wesela, a potem zwróciła się z nieodgadzionym uśmiechem do męża:

— To przecież Olek, twój syn.

Meyer — Plecionka zwrócił się do chłopca i przytknął swe drżące wargi do jego czoła znaczonego pyłem węgla.

— Poszedłem, Marto — rzekł wolno, dobitnie — przed laty do pracy. Wracam dopiero dziś, jak wiesz, nie z mojej winy. Towarzyszył mi Burek, ale Burka nie ma. Jest Kaj. Wracam z lampą, której szukałem przeszło trzynaście lat. Tak się jednak stać musiało, że wreszcie ją znalazłem. Ona dopiero przerwała noc, która mnie od was odgradzała.

## ZAPROSZENIE

*Szanowna Koleżanko Leokadio!*

*Jak się łatwo domyślisz, powodzi mi się świetnie, czego i Tobie z głębi uśmiechniętej duszy życzę. Zapewne jesteś ciekawa, Szanowna Leokadio, co się u mnie dzieje. Przed tą krzyżówką jednak muszę Ci zadać jedno naukowe pytanie: Czy wiesz, co to jest rok świetlny? I jak nazywali się ci mężowie, którzy zbadali szybkość światła? A teraz zawiadamiam Cię bardzo pilnie, że tajemnicza zagadka „t” rozsypała się sama jak mokry sznur rzucony do kosza bieliźnianego. Z tego też powodu mój drogi wujcio rozluźnił wszystkie swoje oszczędne klepki i urządza w najbliższą niedzielę rodzinny raut z oranżadowym koktajlem. Do naszej libacji rzępolić będzie na lipowych skrzypkach niejaki pan Bąk, który — jak to słusznie stwierdziłaś, Szanowna Leokadio, jest pożałowania godnym niedowiarkiem (ryby w Leśniówce) i wielce roztargnionym turystą. Donoszę Ci też bardzo radośnie, że przedstawi Ci się na bankiecie pewien człowiek, który trzynaście lat szukał uporczywie marnego grata, a znalazł bezcenny skarb w osobie dobrej żony, „fajnego” syna i rodzinnego, gderliwego wujcia. Jest to, jak pewnie przeczuwasz, Szanowna Leokadio, tajemniczy „t”, który mógł być kopalnianym Skarbnikiem, ale stał się prostym właścicielem Kaja i mnie, co mi bardzo odpowiada. I dlatego cieszy się moim szacunkiem. Na porządku dziennym wesołej pohulanki znajdzie się ostatni rozdział fatalnej lampy, co mnie przejmuje smutkiem i „zmyślona” (!) przygoda, co Cię bardzo zainteresuje.*

*A teraz, Szanowna Leokadio, muszę Ci jeszcze donieść, że na rodzinnej uroczystości obecna będzie pani Krystyna Jancyk, pan Technik, którego umieściłem w pamiętniku mego poważania. Zaszczycą nas też swoją obecnością towarzyszy „zmyślonych” (!) wycieczek, Andreas Duszka i jego rodzice włącznie z Basią.*

*Jak z tego wynika, nie możesz mi postawić wiadomej czarnej polewki. Dorozumiesz się też, że będę z Andrzejem Duzką w niedzielę o 14<sup>18</sup> na przystanku, aby Ciebie, Szanowna*

*Leokadio i Szanowną Koleżankę Małgorzatę poprowadzić do uroczystego stołu, który przywi-  
ta nas czekoladowym tortem.*

*Mam nadzieję, że drogi wujcio nie zrobi mi tym razem przykrej niespodzianki.  
Spodziewam się też, że wszystko potoczy się jak beczka śmiechu z pierwszorzędnym humorem.*

*Do miłego zobaczenia!*

*Niedziela!*

*Przystanek autobusowy!!*

*Godz. 14<sup>18</sup>!!!*

*Wesoły bankiet: ha, ha, ha!!!!*

*Znany Ci Kolega A. (Aleksander) Plecionka*

## SPIS TREŚCI

Jeśli ktoś pomyli Szarą Wieś ze Starą Wsią	002
W zapomnianej sztolni	005
Niesamowita lampa	008
W puszczy karbońskiej	009
Spotkanie ze Skarbnikiem	016
Czy fotografia prawdę mówi	018
Ulica Paprociowa	021
Kto odkrył węgiel	022
Gottlieb Meyer nie jest Skarbnikiem	028
Pięćdziesiąt lat później	031
Pragniemy złudzeń	035
Biedny mały Kaj	038
Jindrzych z dziada pradziada górnik	040
Niedźwiedź i raj ziemski	046
Lampa Aladyna	048
Co się znajduje w torbie górniczej	050
Kaj buduje mosty	052
Co nowego na porębie	055
Niespodziewane odwiedziny	061
Na wesołych urodzinach	065
Schlagwetter w Strapicielu	067
Gdzie się podział Gottlieb Meyer	073
U uczonego bednarza	077
Niech zginie Strapiciel	079
Gottlieb Meyer przestaje być tajemniczy	083
Pan Maszynus, który za Błażka pracuje	086
Pożegnanie	092
Bądźmy pobłażliwsi... dla kłamców	095
Co się stało pewnej nocy przed stu laty na polanie i w Starej Wsi	098
Fotografia	105
Tatusiu, błagam cię, wróć	108
Wycieczka z przygodami	111
W państwie Wielkiego Skarbnika	115
Błogosławiona pamięć	121
Zaproszenie	123